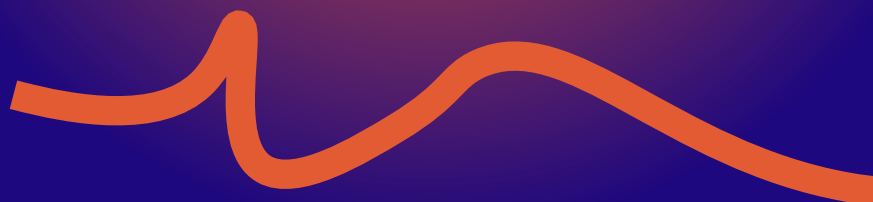


Szkoła Pisania KMLU prezentuje

Kurs Pisania Powieści 2024/2025

Antologia tekstów



SZKOŁA
PISANIA
KMLU



KRAKÓW
MIASTO LITERATURY
UNESCO



Kraków kbf:

Szanowni Państwo, Drodzy Wydawcy,

mamy ogromną przyjemność zaprezentować Państwu dziesięć tekstów, które powstały w trakcie Kursu Pisania Powieści Krakowa Miasta Literatury UNESCO 2024/2025.

Dziesiąta edycja naszej inicjatywy odbyła się pod hasłem *Fikcje. Style i narracje*. W czasie trwającego osiem miesięcy kursu uczestnicy pracowali nad debiutami prozatorskimi pod okiem znakomitych redaktorów – Filipa Modrzejewskiego i Marty Syrwid.

Podczas weekendowych spotkań w Pałacu Potockich, siedzibie Krakowa Miasta Literatury UNESCO, po raz kolejny powstało lub zyskało ostateczny kształt dziesięć świetnych tekstów, których lekturę polecamy z pełnym przekonaniem. Spośród nich jak co roku wyróżniliśmy te, które szczególnie chcemy Państwu zarekomendować.

Pierwszy z nich, czyli fragment ze zbioru opowiadań *Cena tlenu* autorstwa Pauliny Goch-Kenawy to zdaniem Marty Syrwid „opowieść, w której widać wielką wyobraźnię w służbie empatii”. Przedstawione w tomie teksty „prezentują świetnie wykombinowane światy dystopijne: nieprzesadnie wymyślne, a przez to bliskie temu co tu i teraz”.

Drugi tekst, czyli *Śluza* Zu Witkowskiej, według Filipa Modrzejewskiego jest fragmentem „kameralnym”, który „z mocą dowodzi, że fundamentem prozy mogą być styl, nastrój i odmalowany szczegół”.

To tylko krótka zapowiedź tego, co znajdą Państwo na kolejnych stronach pełnych odkrywczych strategii, językowych i formalnych eksperymentów, a także – po prostu – niezwykle wciągających fabuł.

Serdecznie zapraszamy do lektury wszystkich tekstów, a zainteresowanych współpracą wydawców serdecznie zachęcamy do kontaktu z organizatorami Szkoły Pisania KMLU.

Marcelina Karcz

Koordynatorka Szkoły Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

2 Wstęp

4 Teksty wyróżnione

4 Paulina Goch-Kenawy – *Cena tlenu*

22 Zu Witkowska – *Śluza*

Pozostałe teksty

45

45 Alicja Dusza – *Soczewka*

57 Helena Piecuch – *Mamuna*

73 Julia Śliwowska – *Kāmeleona*

92 Katarzyna Kalwak – *Spust*

117 Katarzyna Makarewicz – *Nieważne*

134 Ola Skalec – *Solar*

150 Rafał Masny – *16. urodziny Jordana Johnsona*

159 Ula Idzikowska – *Pstryk*

177 O autorkach i autorze

118 O Szkole Pisania Krakowa Miasta Literatury UNESCO

Teksty wyróżnione

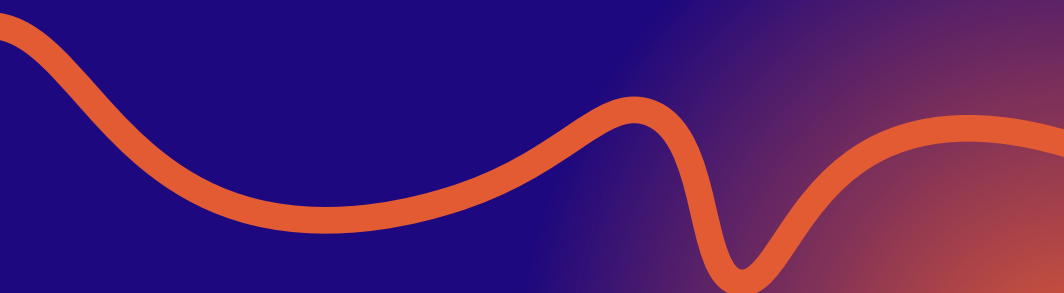
Paulina Goch-Kenawy

Cena tlenu*

Marta Syrwid:

Każde opowiadanie w zbiorze *Cena tlenu* (wraz z otwierającą tom *Brzoskwinką*) to opowieść, w której widać wielką wyobraźnię w służbie empatii. Zarówno *Brzoskwinka* jak i pozostałe opowiadania prezentują świetnie wykombinowane światy dystopijne: nieprzesadnie wymyślne, a przez to bliskie temu co tu i teraz. Dlatego właśnie historie, które zostały w nich zainstalowane, tak świetnie działają. Są to historie niezmiennych – nawet wobec wielkich kryzysów – ludzkich słabościach, dynamikach relacji, tęsknotach i lękach. Na poziomie narracji zostały te emocje klarownie wyłożone przy jednoczesnym zgrabnym umykaniu szantażowi emocjonalnemu, którego pokusa nieraz zamienia literaturę w publicystykę. U Pauliny Goch-Kenawy nie ma miejsca na półśrodki i infantylne gdybania – jest po prostu dojrzałość.

* tytuł roboczy



Paulina Goch-Kenawy

Cena tlenu (Fragmenty)

Brzoskwinka

Przyszli. Znowu. Nie powstrzymał ich upał ani wycieńczenie. Smutek lata i pusty żołądek pchały ich do przodu. Gnani przez ślepy los, fortunę, która kołem się toczy albo wędruje niesiona na lufach karabinów. Nie mają planów, nie realizują strategii, żaden generał nie wydaje im rozkazów. Idą bez mapy. Wstają w zgodzie z wewnętrznym zegarem, o ile nie zaleją go bimbrem. Północ, południe, wschód czy zachód, byli tutaj już trzy miesiące temu. Może ich rok trwa dziewięćdziesiąt dni? Może cykliczność leży w ich naturze? Powroty po swoich śladach, wydeptanych ścieżkach, utracona pamięć miejsc i zamazane krajobrazy. Wszystko to samo. Otępienie witają z ulgą. Zapomniane wspomnienia, zerwane korzenie, swobodne ptaki. Idą przed siebie. I bawią się, kiedy mogą. – Zburzyli starą kapliczkę – powiedziałaś, kiedy odeszli. – Tę przy Sadach Klemensa – dodałaś. Obeszliśmy okolicę jak inspekcja wojskowa. Odnalazliśmy każdy kopnięty kamień i podpalone drzewo. Ofiar w ludziach nie było, wszyscy zdążyli uciec na południe. – Spójrz, pszenica. – Zerwałaś kłos i roztarłaś plewy w palcach. Wiatr porwał je i rzucił nam w twarz. Sofia kichnęła i zachichotała. – Jeszcze! Jeszcze! – Na wyciągniętej dłoni podałaś jej obrane ziarna. Drobne paluszki chwyciły złote łuski i włożyły do różowych ust. Ziarna rozpadły się jak pocisk. W innym życiu zabrałybyśmy ją daleko stąd, do jakiegoś lepszego miejsca, ale w tym życiu miałyśmy tylko piwnicę pod domem pełną puszek z brzoskwiniami i workami cukru. – Dobrze? – Kucnęłaś przed jej niewysokością, jakbyś składała jej hołd, jakbyś tylko w ten sposób mogła zwrócić się do tyrana w sukience w grochy, do jedynej osoby, której rozkazy spełniałyśmy bez wahania. Pokiwała głową.

– Jeszcze! – Drobne mleczaiki domagały się więcej, weszłaś więc w pole pełne zielonych chwastów zmieszanych z żółtą pszenicą. Nikt już nie pilnował porządku, nikt nie przyskał, nie pieliał, nie wskazywał miejsc w rzędzie. Nikt nie mówił, jak ma być.

Świat wysycał na tak wiele różnych sposobów, odchodził w niepamięć czas żyznych plonów. Minęłyśmy poskręcane drzewa, na których rosły małe, kwaśne jabłka. Zdziczałe. Zebrałyśmy trochę do siatki. Były niedobre, ale jadalne. Można je poszatkować, ukusić, przesmażyć, nadadzą się. Wciąż miałyśmy dużo cukru.

Chwyciłam Sofię za rękę, chciałam poczuć miękkość, drobne poduszeczki schowane pod delikatną tkanką, które gładziłam ostrożnie. Jedna z ostatnich przyjemności w życiu. I jeszcze smak brzoskwiń.

– Proszę, kochanie. – Na wyciągniętej ręce trzymałaś garstkę wyłuskanych słodkich ziarenek. Sofia sięgnęła oburącz. Brudne i klejące od potu i zabawy paluszki wepchnęły pszeniczne resztki do ust, a kiedy skończyła, ruszyłyśmy do domu. Nie było tu już czego szukać. Nie naprawimy kapliczki, więcej jabłek i tak nie damy rady przerobić.

– Schowaj się! – powiedziałam do Sofii. – Pamiętasz zasady?

– Tak! – odpowiedziała, kiwając jednocześnie główką tak intensywnie, że zakolysały się oba warkoczyki.

– No to biegnij! – Odwróciłam się, żeby ruszyć do drzwi. Kiedy spojrzałam przez ramię, Sofii już nie było. Bawiłyśmy się w ten sposób od roku, od kiedy Sofia była na tyle duża, żeby zrozumieć zasady. Siedzieć cicho, aż któraś z nas po nią przyjdzie. Nie wychylać się, nie śmiać, nie hałasować.

– Boję się, że kiedyś nie będziemy w stanie po nią przyjść – szepnęłaś. Przytuliłam cię krótko i nałożyłam do miseczki brzoskwinie, jej słodki smak zawsze poprawiał ci nastrój.

– Damy radę jeszcze trochę – odpowiedziałam. – A potem sama już sobie poradzi. To mądra dziewczynka.

– Mądra – potwierdziłaś, przeżuując owoc. Zamruczałaś z przyjemności. Słodki syrop spłynął ci na brodę. Sięgnęłam ręką i wytarłam. Uśmiechnęłaś się i zajrzałaś do miseczki, gdzie w przejrzystej wodzie pływała jeszcze jedna mała łódeczka. – Przypomina mi ciebie.

Machnęłam ręką.

– Uzupełniłaś puszki w schronie? – zapytałam, chociaż wiedziałam, że zawsze to robisz, bo jesteś najbardziej sumienną i najlepiej zorganizowaną osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Bez ciebie nie poradziłybyśmy sobie z Sofią.

– Tak, wszystko jest na miejscu. – Przechyliłaś miseczkę i wypijałaś brzoskwiniowy ulepek do końca. Niczego nie marnowałyśmy. – Zniosłam też baniak świeżej wody. Niczego jej nie braknie.

Pokiwałam głową i zabrałam z twoich dłoni miseczkę. Musiałam zająć czymś ręce. Umyłam ją starannie i sięgnęłam po nóż. Na stół wysypałam stertę dzikich jabłek. Chciałaś pomóc, ale wygoniłam cię z kuchni. Wyszłaś tylnymi drzwiami.

Nigdy już nie wróciłaś.

Tym razem przyszli z zachodu. Od strony starej fabryki przetworów. To stamtąd przyniosłyśmy te wszystkie brzoskwinie, które uwielbiałyście. Dlaczego nikt na nie wcześniej nie trafił, nie wiem. Było ich bez liku. Pamiętam, jak się ucieszyłyśmy. Głód zniknął zastąpiony przez słodycz. Pomiedzy stertami puszek upchnięto też worki cukru. To już coś – powiedziałaś i pobiegłaś znaleźć taczkę albo wózek, żebyśmy mogły je przewieźć do domu. Trzy kółka skrzypiały, kiedy ciągnęłaś je za sobą. W środku siedziała roześmiana Sofia. Była mała. Miała trzy albo może cztery lata.

– Szybciej! – krzyczała, a ty biegłaś, chociaż byłaś cała mokra od potu. Temperatury nie spadały już poniżej piętnastu stopni nawet w zimie. Wszystko schło. Drzewa przestały rodzić owoce, zostały tylko te najwytrwalsze. One i puszki. Wrzuciłyśmy tak dużo, jak się dało. Wracałyśmy jeszcze wiele razy. Fabryka nie była wielka, ale zapasów pozostało sporo. Dla dwóch starszych pań i małej dziewczynki wystarczyłoby na długo. Kiedy zostałyśmy we dwie z Sofią, było tego aż nadto. Sypałam jej cukier na rączkę i pozwalałam zlizywać. Dzieciństwo powinno być słodkie, prawda? Sypałam więc więcej, a czasami pozwalałam jej zanurzać oblizane ręce w worku z cukrem. Sama też parę razy to robiłam. Smutek nie mijał, ale dobrze się bawiłyśmy.

– Znowu pijesz biber? – zapytała dziś rano.

– Nie mam nic lepszego do roboty.

– I bez tego źle się czujesz. – Spojrzała z troską.

Sofia ma szesnaście lat. Szesnaście lat jedzenia cukru i zabawy w chowanego, w tym dziesięć lat żałoby.

Pociągnęłam z kubeczka. Zostały ich tylko cztery. Resztę zniszczyli maruderzy, który wpadali do domu regularnie przez ostatnią dekadę. Chyba wiedzieli, że ktoś tu mieszka, ale nie udało im się znaleźć schronu. Wyniosłyśmy z Sofią większość rzeczy ze składziku, ale te okruszki, które trzymałyśmy na codzienne potrzeby, przyciągały ich jak truchło muchy. Grzebali w resztkach. Przewracali nasz dom jak padlinę, rozszarpywali i ruszali dalej. Po pierwszym razie zebraliśmy, co zostało, a niezbędne rzeczy schowałyśmy w schronie. Zaczęło się tam robić ciasno. Sofia rosła. Czas płynął.

– Nienawidzę brzoskwiń – usłyszałam po raz pierwszy, kiedy miała jedenaście lat. To był jedyny przejaw buntu. Pogłaskałam ją po głowie. Nadal tak samo płowej. Zmieniła fryzurę, wiesz? Teraz nosi włosy rozpuszczone, kazała je sobie przyciąć na wysokości ramion. Są gęste, pełne życia. Moje za to rosną coraz słabiej. I dobrze.

– Musisz zacząć o siebie dbać babciu. – Sofia przysunęła się bliżej. Położyła mi rękę na ramieniu. Odwróciłam głowę, żeby przytulić policzek do jej dłoni. Już nie była taka delikatna jak dawniej. Skóra napięła się i zmieniła odcień, miękkość zniknęła. Przymknęłam powieki. Oddech, w którym bimber mieszał się z brzoskwiniami, musnął jej nadgarstek. Oddałabym wszystko, żeby tak już pozostać, zasnąć.

Otworzyłam oczy i nad brzegiem parapetu zobaczyłam szalone oczy. Bystre, chciwe. Zmęczona pozwoliłam powiekom opaść.

– Schowaj się – szepnęłam do Sofii.

Cena tlenu

Zjawiła się w jego życiu punktualnie, co zawsze poczytywał ludziom za plus. O 13.30 zajęła pokój na prawo od drzwi. Stała koło okna i rozejrzała się po niemal pustym pomieszczeniu. Środek zajmowało zasłane łóżko. Nad wezglowiem tkwiły dwie lampki, niczym poroże dawno zmarłego zwierza. Dłuższą ze ścian zdobiło mnóstwo ramek. Stali oboje zakłopotani, nie potrafiąc zdecydować, jak powinno wyglądać ich pierwsze spotkanie.

O 13.33 w końcu opadła na łóżko, uznając, widocznie, że nic innego jej nie pozostaje, jak usadowić się wygodnie, w trakcie, gdy on wyjaśniał jej zasady obowiązujące w ich wspólnym teraz mieszkaniu. Dłonie złożyła na kolanach, wzrok zatrzymała na ramie wiszącej najbliżej.

– Możesz ustawić dowolny obraz – powiedział. Podszedł do największego z wielu prostokątnych kształtów i machnął ręką. Pojawił się rząd kolorowych miniatur powtórzonych na pozostałych ekranach niczym echo.

– Wolisz malarstwo czy zdjęcia natury? – Rozmawiali parę razy, wymienili wiadomości i dokumenty, ale nie miał pojęcia, co ją interesuje. Procedura nie przewidywała osobistego spotkania, a żadne z nich nie chciało przyspieszać tego, co ostatecznie i tak miało się wydarzyć.

– Zdjęcia. – Zdjęła sweter w drobny wzorek, wielobarwne, rozproszone kropki w pastelowych odcieniach przywiodły mu na myśl te nieliczne poranki, kiedy słońce, wpadając przez szybę, odbijało się od kryształowej wazy w salonie i skakało po sofie i ścianach. Siadał wówczas i patrzył, czasem przekręcał naczynie, żeby zobaczyć, jak światło ożywa, drga. Robiło mu się wówczas lekko i zaczynał głębiej oddychać.

Świeża pościel, którą nałożył rano, zmięła się pod ciężarem jej ciała. Zmarszczył brwi niezadowolony. Odwrócił twarz do ściany, żeby go nie przyłapała.

– Może to? – wskazał palcem i ramę wypełnił błękit wody. Miękkie poruszenia wędrowały z góry na dół ekranu, rozbijając się o czarną krawędź. Zapętlone, zmuszone do ciągłego powtarzania, wracały na początek, żeby bezmyślnie odbyć drogę raz już przebytą.

– Chcesz z dźwiękiem? – Szum falował w uszach. Oddech wyrównał się, dopasowując do łagodnego dudnienia, ramiona opadły, łopatki rozluźniły się. Westchnął i poczuł, że zbliża się ból głowy.

– Nie, dziękuję – ucięła. Moment wytchnienia zmienił się w stęzałe na powrót mięśnie. Uniósł rękę i gestem wyłączył dźwięk. Błękit migotał powtórzoną sekwencją w każdej z piętnastu ramek. Ujęcia mieniły się, ukazując szmaragdowe odcienie, bliższe i dalsze kadry, świat z lotu ptaka i odbity w ekranie monitora.

– Zostawię cię teraz, żebyś mogła odpocząć – powiedział, jakby odbyła podróż z drugiego końca kraju, choć przecież przyjechała z innej dzielnicy. Rozejrzył się po pokoju i zauważył brak walizki. Zniknął, żeby po chwili wrócić z torbą. – Twoje rzeczy. Za tamtymi drzwiami jest łazienka – wskazał dłonią. – Gdybyś czegoś potrzebowała... – uciekł spojrzeniem w kierunku korytarza i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Minął leniwy miesiąc, gdy dreptali na palcach i planowali swoje aktywności tak, by mieć jak najmniej kontaktu. Starannie zamykał drzwi do pokoju Tessy, a mimo to jej rzeczy rozpełzły się po jego życiu błyskawicznie. Odnajdował je w szafkach łazienkowych wypełnionych kolorowymi lakierami do paznokci, gdzie niczym zastęp najeźdźców zajęły trzy półki. Kiedy myślał, że na tym się skończy, Tessa rozgościła się na dobre. Porzucone na blacie kuchennym kubki wprowadzały zamęt. Odstawiał je na miejsce, chociaż miał ochotę zebrać wszystkie i wynieść do jej pokoju. Sprzątał nieustannie, przywracając ład do nieswojego już wnętrza. Segregował na nowo herbaty i napary, układał szklanki, te z delikatnym grawerem wokół rantu, jakich się już nie spotyka, chował na wyższych półkach, na dolnych poustawiał pospolite, proste, nieco już zmatowiałe.

Tego ranka, kiedy szklanka wypadła Tessie z rąk i roztrzaskała się na drobne kawałki, wiedział, że nie uda się ich posklejać. Sprzątał okruchy, a ona stała obok, obserwując, ale nie proponując pomocy. Kiedy podniósł się z kolan, zobaczył na jej twarzy łzy. Zdziwił się, bo nie sprawiła na nim wrażenia nadmiernie emocjonalnej. Próbował ją pocieszyć. Mówił jakieś bzdurne słowa. Nie pomogło. Tessa płakała coraz bardziej. W końcu przytulił ją ostrożnie. Na początku tkwiła sztywno, ale później uległa i wsparła się na nim, puszczając swobodnie ręce. Jej włosy pachniały egzotycznie, słodko i cytrusowo. Przez kolejne tygodnie próbował zachowywać pozory. Nie rozmawiali o tym, co się wydarzyło przy szafce ze szklankami, ani o tym, co stało się potem w jej sypialni. Między nimi zrobiło się jeszcze ciszej, a jednak barwne buteleczki z lakierem wyznaczały nową orbitę, po której nieświadomie krążył od dłuższego czasu.

- Przygotowałem kolację – rzucił w przestrzeń.
- Nie jestem głodna.
- Musisz jeść – nie dawał za wygraną.
- Wiem – odparła. Wziął talerz i ruszył do jej pokoju, zirytowany, że Tessa nie reaguje.

Umowa była jasna. Każde z nich miało do odegrania swoją rolę. Trzymał się ustaleń. Na kursie tutor tłumaczył zasady obowiązujące obie strony społecznego kontraktu, którego gwarantem było państwo. „To jest służba” – znacząco zerkał na całą dziesiątkę, która odbywała przysposobienie. „Nikt nie jest do tego przygotowany, panowie, ale każdy, kto się zakwalifikuje, musi wytrwać”. Zasady ułatwiały życie, regulowały okres, w którym musieli trwać razem, aż do momentu pojawienia się dziecka.

Spokój i opanowanie były cechami, które niezwykle cenił. Konsekwencja, z jaką trwał w swoich przekonaniach, przyjętych sposobach na życie, dawała mu poczucie kontroli. Zmiany były dla niego źródłem stresu. Wprowadzał te absolutnie konieczne i długo się do nich przygotowywał. Kiedy podjął decyzję, że pora spełnić obowiązek, układał się z nią przez kolejny rok. Zgromadził pieniądze, przeprowadził się do czystszej dzielnicy, zgłosił się do urzędu, nie czekał na oficjalne wezwanie. Planował zająć się potomkiem przez najbliższe osiem lat, po czym oddać dziecko do ośrodka na kształcenie i wychowanie albo przekazać na ostatni etap jakiejś bezdzietnej parze. Starał się odgrywać swoją rolę, Tessa na ogół też, ale nie dziś.

W drodze z kuchni minął drzwi łazienki. Stała naprzeciw otwartej szafki, w ręce ściskając miniaturowe buteleczki, czerwień „Madame President” zamigotała w dłoni. Nauczył się rozpoznawać kolory, które najczęściej oglądała. W drugiej ręce trzymała zielony flakonik z „The First Lady of the Nails”. Rozsądną, butelkową zielenią, która przywodziła na myśl stojącą wodę, wyobrażał sobie, że pod gładką powierzchnią ukrywa się niebezpieczna, choć cicha toń.

Lekarz zabronił jej malować paznokcie. Wyciągała buteleczki codziennie, oglądała je i odkładała, a potem wyjmowała kolejne. Przeglądanie ich godzinami wydawało mu się bezsensowną stratą czasu. Tymczasem Tessa wpatrywała się w barwne opakowania, jakby były najcenniejszą rzeczą na świecie.

– Tessa? Dla ciebie. – Wyciągnął talerz. Odłożyła lakiery na miejsce i zamknęła szafkę.

– Dziękuję. – Sięgnęła po posiłek. Patrzył cierpliwie, jak wkłada do ust kolejne kęsy, jak krzywi się i niechętnie przełyka. Aromat jedzenia od pewnego czasu drażnił ją, musiał pilnować, żeby nie opuszczała posiłków.

Nie znał swoich rodziców, sam wychowywał się w ośrodku, wiedział, że Tessa również. Ojca, z którym mieszkał na początku, pamiętał jak przez mgłę, ale z biegiem lat wspomnienia zbladły. W ich relacjach nie było niczego, co zapisałoby się w pamięci, zapachy i smaki z tego okresu pokrywały się z tymi z ośrodka. Trudno było mu wyłuskać jakieś wyraźne momenty. Nie przypominał sobie zbyt wielu rozmów, cisza w jego życiu zapuściła korzenie dość wcześnie.

– Myślałaś już o tym – co dalej? – spróbował, chociaż wiedział, że nie powinien jej naciskać. Do ostatniego momentu nie musiała go informować o swojej decyzji. – Zostaniesz?

– Nie wiem, nie chcę o tym rozmawiać – skrzywiła się, nadgryzając kanapkę. Schudła, co zauważył z niepokojem. Zawsze wydawało mu się, że kobiety w ciąży przybierają na wadze, ale jej twarz wydłużyła się, a szare oczy stały się większe.

– Powinnaś więcej jeść – nie zdołał się powstrzymać.

– Powinnam – pozornie się zgodziła, ucinając rozmowę.

Liczył się z tym, że Tessa będzie chciała pozostać z nimi przez te osiem lat. Być może nawet zdecyduje się całkowicie przejąć opiekę nad dzieckiem po tym czasie. To było jej prawo. Nie znał zbyt wielu takich przypadków, ale wiedział, że się zdarzały. Jeśli chodziło o niego, sprawa była prosta. Zrealizuje plan według zwykłej procedury. Już na samym początku szczerze poinformował Tessę o swoim stanowisku. Wysłuchała go, ale nie zdradziła się ze swoimi myślami. Uznał wówczas, że nie musi się tym martwić, skoro podpisała dokumenty i nie ucieka od zobowiązań. Nie każda kobieta mogła mieć dziecko, więc powinna uważać się za szczęściarę. Po porodzie może odejść. Nikt nie będzie miał jej tego za złe.

Mieszkali ze sobą już pół roku, w tym czasie przeszli procedurę in vitro. Tessa zaszła w ciążę. Brzuch rósł. Zaczęła nosić luźniejsze

ubrania i chodziła do lekarza w wyznaczonych dniach. On pracował, dbał o mieszkanie i o to, żeby jadła. Nie wiedział, co robiła, kiedy nie było go w domu. Każde znało swoje miejsce i odliczało dni. Rozwinęli system sygnałów, który zastąpił rozmowę. Trzymali emocje na krótkiej smyczy. Głos mówiący o bólu krzyża, ciężących piersiach, złości na brudną umywalkę czy potrzebach zgoła innego rodzaju skutecznie uciszali.

Tessa przyglądała się, z jaką troską jej partner dba o naczynia, jak delikatnie trzymając je w dłoniach, ogląda każdy uszczerbek. Jak układa jedzenie na talerzu i podsuwa jej ten ładniejszy listek sałaty, smakujący co prawda gorzko, jakby zbyt długo leżał w ciemnym, dusznym miejscu, bez powietrza i światła, ale troskliwie wybrany, w ciszy i z namysłem.

Raz na jakiś czas zaglądał do jej pokoju, przebierając pościel na świeżą. Nie pozwalał się jej przemęczać. Zmieniał też obrazy w ramach. Morskie fale następowały po rozległych i barwnych łąkach, a po nich pojawiały się śnieżne szczyty. Pokazywał jej świat, dbał, by nigdy nie trafiła dwa razy do tego samego miejsca.

Przyjmowała jego zabiegi z ulgą. Dzięki nim mogła popaść w letarg. Trwała w ciszy jego domu jak zahibernowana. Nie potrafiła myśleć o jego mieszkaniu jak o swoim. Była jak przesiedlona na zupełnie obce terytorium, a kiedy spoglądała na swój rosnący brzuch, czuła, że nawet on nie należy już do niej.

Zawsze miała szczupłe ciało, drobne, potrafiło wcisnąć się w szparę między łóżkiem a ścianą w ośrodku, gdzie nawet parę centymetrów własnej przestrzeni było na wagę złota. Każde dziecko miało tyle samo, odzież, obuwie, miejsca do spania. Ale ona miała coś jeszcze. Tę odrobinę ciepła płynącą z ciała zwiniętego w kłębek, gdy mocno przyciskała do brzucha kolana, wyobrażając sobie, że ktoś zamyka ją w uścisku. Czasami, kiedy słyszała na korytarzu głosy opiekunek, wsuwała się między ramę łóżka a ścianę. Ukrywała się w tym zaimprovizowanym uścisku, czekając, aż odejdą. Jej ręce tkwiły po bokach nieruchomo, skrępowane w niewielkiej przestrzeni, a ona skupiała się na tym, jak jej oddech rozszerza żebra. Czasami sprawdzała, jak długo może tak tkwić w bezruchu, ale zawsze w końcu musiała się poddać. Wynurzała się ze swojej kryjówki, czując, jak ciepło ucieka.

Z brzuchem ciężko jej było nawet zgiąć się w pół. Duszny ucisk, twardy i nieustępliwy, zupełnie inny niż ten, który dotąd poznała, nie dawał pociechy. Wiedziała, że to tymczasowe, ale nie potrafiła wyobrazić sobie, że ciało zapomni, że wróci do stanu sprzed, tak jakby nigdy nie nosiło w środku innej istoty. Jakby kości się nie poluzowały, a lędźwie nie zdeformowały z powodu wygięcia trwającego miesiące. Połączone naczynia tętniące w okolicy pępka tworzyły pomost między nią a płodem, który pewnego dnia ciachnie się nożyczkami. A tymczasem obce komórki sunęły do jej mózgu tłoczone w górę uderzeniami serca. Zasiedlając ją i zmieniając.

Sięgnęła po „Bloody Marry”, poruszyła buteleczką, żeby zobaczyć błysk lakieru. Gęsty jak krew płyn przesunął się po ściankach. Wyobraziła sobie, że oblepia jej żyły, oblewa macicę, przytyka płuca. Od wielu dni czuła, jakby brakowało jej powietrza. Oddychała ciężko, budziła się w nocy. Nie miała tyle energii co dawniej. Wizyty lekarskie powodowały ból głowy. Lakoniczne słowa i krytyczne spojrzenia lekarza przyprawiały o dygot. Jednak kiedy kalendarz pokazywał, że to już czas, zawsze szła.

Wyjęła niebieski flakonik, piękny, głęboki odcień „Midnight Truth”. Lubiała go. Wystawiła buteleczkę na blat. Podniosła wzrok na półkę. Będzie musiała zacząć je przeglądać, wyrzucić przeterminowane. Nie mogła ich używać, ale kupowała kolejne, dodawała do kolekcji, cieszyła oczy chaosem faktur, prowokacyjnie zestawiając brokaty i barwy matowe, różane pastele i ostre metaliczne fiolety. Zajrzała do szafki i wyjęła wszystkie. Rozłożyła na podłodze i zaczęła porządkować. Oglądając pod światło, podziwiała konsystencję albo przeklejała naklejki, żeby lepiej pasowały.

Znalazł ją na podłodze w sypialni, kiedy wrócił do domu. Próbował ją ocucić, ale nie reagowała. Przyniósł wodę, przemył jej czoło, położył wilgotną ściereczkę na karku. Powtarzał jej imię. W końcu otworzyła oczy i głęboko odetchnęła.

- Już dobrze – powiedział, chociaż nie miał pewności, czy nie kłamie.
- Zaraz umówię wizytę u lekarza.

W ciągu godziny siedzieli pod drzwiami w szpitalnej poczekalni.

- Zapraszam do gabinetu – w korytarzu rozbrzmiał głos z automatu

umieszczonego na ścianie tuż obok krzesel, na których siedzieli.

Tessa starała się zbyt dużo nie myśleć. Naciągnęła krótką sukienkę, która jeszcze niedawno wydawała jej się całkiem elegancka i luźna. Kwiatowy wzór wił się, wybrzusząc się nienaturalnie pod piersiami. Nabrzmiące kwiatowe pąki odsłoniły lichy splot materiału. Wyprostowała się. Żadna pozycja nie przynosiła ulgi.

Zwalista postać w kitlu wtoczyła się przez drzwi. Lekarz okrążył biurko, pocierając dłoń o dłoń, rozprowadzając lubrykant. W powietrzu rozeszła się różana woń maskująca ostry zapach płynu dezynfekującego. Mężczyzna przysiadł na brzegu krzesła. Ruchy miał zdyscyplinowane, ale ukryte pod białym kitem zwały tłuszczu zdradzały namiętność do niezdrowych przekąsek i długiego porannego snu. Nad ustami perlił się pot. Sięgnął po stojące na biurku chusteczki i usunął go. Spojrzał na parę przed sobą. Kolejną już dziś.

Młoda kobieta o szarej cerze. Oszacował jednym spojrzeniem kiepski materiał sukienki i zapiętą na ostatni guzik koszulę mężczyzny. Znał ich, pamiętał twarze, ale zupełnie nie mógł przywołać imion. Licząca niewielu lekarzy ekipa szpitala miała jeden cel – pomóc ludziom, których przypisało im państwo. Starał się tę misję zrealizować, a przy okazji, jeśli nadarzyła się sposobność, dobrze na tym zarabiał. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Przeprowadzał procedurę in vitro, nadzorował przebieg ciąży, a jak trzeba, za dodatkową opłatą i nieoficjalnie, rozwiązywał inne problemy.

– W czym mogę pomóc? – Zerknął na ekran. – Widzę, zgłoszenie. Mam nadzieję, że to nie przeziębienie? – Uważnie spojrzał na wymęczoną twarz kobiety.

Tessa oparła mocniej ręce na podłokietnikach i z widocznym trudem kolejny raz podciągnęła się wyżej na krześle. Czowała, że jej twarz również pokrył pot, nie wzięła ze sobą chusteczek i nie śmiała sięgnąć po opakowanie stojące na biurku. Ciało miała napuchnięte, jakby cała woda wypita w ostatnim czasie magazynowała się w komórkach.

– Nie wiemy – jej towarzysz odchrząknął, żeby nadać głosowi głębsze, silniejsze brzmienie. Tessa milczała. – Od dwóch tygodni Tessę boli głowa, ale nie ma gorączki. Niepokojmy się, co z ciążą. Sam pan doktor wie, ile jest zagrożeń. Nie chcemy ryzykować. Dzisiaj znalazłem Tessę

na podłodze. Straciła przytomność, nie mogłem jej dobudzić.

– Rozumiem. Wszystko sprawdzimy. – Rozpogodził czoło, dbając, by kąciki ust były nieco uniesione. Starał się, żeby pacjenci mieli do niego zaufanie, to ułatwiało pracę. Rzadko zdarzały się takie przypadki, którym nie był w stanie pomóc. W końcu zawsze znajdzie się jakieś wyjście z sytuacji. Wyciągnął dłoń i paluchem dotknął ekranu. Stuknął w niego trzy razy, szukając najnowszych wyników badań.

– No tak, tak, widzę. Niby wszystko w porządku, ale odczyty saturacji są niepokojące. Czy pani dobrze sypia, Tesso?

– Tak – odpowiedział mężczyzna.

Tessa poruszyła się niespokojnie. Chciałaby coś dodać, ale podejrzewała się o brak odpowiedniej wiedzy, o lekkomyślne zaniedbanie, o głupstwa, które okażą się sprawami życia i śmierci dla niej, dla dziecka.

– Nawet powiedziałbym, że śpi ostatnio coraz więcej, jest jakby zamroczona, coraz bardziej zmęczona, często zapomina, gdzie zostawiła różne przedmioty.

Lekarz teatralnie mrugnął do Tessy, po czym sięgnął ponownie po chusteczkę i krzywiąc się, otarł czoło.

– Słodkie ciążowe dolegliwości?

– Czuję, że coś jest nie tak – Tessa mówiła cicho. – Ciągle mam zadyszkę, jest mi niedobrze. No i jeszcze te bóle głowy – wzięła głębszy oddech.

– Proszę się nie martwić, zajmiemy się panią. Zapraszam do gabinetu obok, zaraz zrobimy badania, sprawdzimy, jak się miewa nasz dzidzius. Lekarz wskazał ręką na zamknięte drzwi po drugiej stronie gabinetu.

– Proszę wejść, zna pani procedurę, ja będę miał podgląd na monitorze w gabinecie, za chwilę będziemy mieli pełen obraz sytuacji.

– Zadowolony poklepał urządzenie przed sobą. – A pan zostanie tutaj, jeszcze porozmawiamy.

Kiwając się na boki, Tessa ruszyła w kierunku drzwi. Nacisnęła klamkę i weszła do środka. Niewielkie pomieszczenie rozbliżyło, oślepiając ją na chwilę.

– Połóż palec na okręgu – padła mechaniczna instrukcja i punkt na gładkiej ścianie rozświetlił się na niebiesko. Wpatrywała się w niego bez ruchu. Co odczytają z jej ciała? Dowiedzą się o opuszczonych ćwiczeniach, jedzeniu niedozwolonego cukru albo o tym, że dwa razy

pomalowała paznokcie mimo wyraźnego zakazu? Namierzą wszystkie krążące w żyłach mikrocząsteczki?

– Połóż palec na okręgu – powtórzył mechaniczny głos. Wyciągnęła dłoń. Pukanie do drzwi rozproszyło ją.

– Tesso? Wszystko w porządku?

– Tak, tak, przepraszam, szukałam tylko, gdzie przyłożyć palec – odpowiedziała.

– Pospiesz się, proszę, bo lekarz czeka. – Za drzwiami zaległa cisza.

Wyciągnęła rękę. Wiedziała, że kiedy ją zbliży, ostra jak żądło igła wysunie się ze ściany i naruszając skórę palca wskazującego, zanurzy się na dwa milimetry i pobierze próbkę. Zamknęła oczy i pozwoliła się ukąsić.

Na ścianie wyświetliła się ludzka sylwetka. Różnorodne kolory i ukryte struktury. A w centralnym punkcie – ONO. Głęboko wewnątrz. Bezpiecznie otulone. Zwinięte w kłębek. Bezcenne. Podpięte do niej, wysysające soki. Oddychające jej oddechem. Niepodobne do niej ani do niczego, co знаła.

– Potwierdzam dane pacjentki – w zamkniętej przestrzeni zadudnił głos. – Lat 24. Pierwsza ciąża. In vitro. Próba 10. Przechodzę do pomiarów. Stań w oznaczonym miejscu.

Stanęła.

– Badanie skończone. Proszę przejść do gabinetu.

Z ulgą, że wykonała wszystko jak trzeba, Tessa ruszyła do drzwi. Otworzyły się bezgłośnie, wypuszczając ją z białej kapsuły gabinetu ambulatoryjnego.

– Gdzie państwo mieszkacie? – Głos lekarza brzmiał serdecznie, nawet lekko współczująco.

– Niedaleko czwartego kwartału. Wiem, że to nie jest idealne miejsce, ale...

– Nie, nie jest idealne – lekarz przerwał w pół słowa. – Tam jest za dużo zanieczyszczeń. To miejsce nie nadaje się dla kobiety w ciąży. Muszą państwo zmienić lokalizację.

– Nie stać mnie na nic innego.

– Pani Tessa nie może dłużej tam przebywać. To jest ze szkodą dla niej i dla dziecka. Sam pan rozumie, że albo rozwiążecie ten problem,

albo będę musiał poinformować o całej sytuacji administrację. Niedobory tlenu w ciąży mają poważne skutki. Zgłaszając się do programu, zobowiązał się pan zadbać o dobrostan matki i dziecka. Nie możemy sobie pozwolić na tworzenie zagrożenia dla płodu, to nieodpowiedzialne.

W gabinecie zapadła cisza. Tessa zbliżyła się do krzesła.

– Powiem inaczej. – Lekarz odwrócił do nich ekran, przesunął palcem, wskazując migoczące na czerwono statystyki. – Tutaj jest nasz problem. Widzą państwo te wskaźniki?

Tessa zerknęła na swojego towarzysza, który z napięciem wpatrywał się w pulsujący punkt. Jej ciało rozebrano na kawałki i przetłumaczono na szereg wykresów widocznych na monitorze. Niezwykle istotnych i zupełnie niezrozumiałych. Lekarz opowiadał o poziomach tlenu, które trzeba ustabilizować, ale do niej niewiele docierało. Nie potrafiła przejąć się tym, co słyszała. Chciała uciec, schować się, wcisnąć między ramę łóżka a ścianę. Wstrzymać oddech. Nie wiedziała, czym jest tęsknota, ale wiedziała dobrze, czym jest niepokój. Gdyby mogła, położyłaby się i czekała, aż sytuacja sama się rozwiąże.

– Muszę do toalety. – Dziecko kopnęło Tessę w pęcherz. Wstała ponownie z krzesła, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Obaj mężczyźni wymieniali uwagi na temat możliwych scenariuszy, które najwyraźniej ją czekały.

– Muszę do toalety – Tessa podniosła głos.

– Jest na korytarzu – lekarz machnął ręką w kierunku drzwi. Cieknący katar, którego nie miała o co wytrzeć, podrażnił nos. Kichnęła i poczuła, jak jej pęcherz poddał się, a po nogach popłynęła cienka strużka ciepłego moczu.

– Pani Tesso, czy potrzebuje pani pomocy? – zapytał lekarz, a jej towarzysz spojrział na nią, przerywając na chwilę dyskusję. Chciał coś dodać, bo otworzył usta. Tessa czekała, szukała w jego wzroku czegoś, co by ją uspokoiło. Może gdyby odezwał się wówczas, przełamał dzielącą ich ciszę, gdyby zobaczyła w jego wzroku coś więcej niż złość i zawód, że wszystko poszło nie tak, jak planował, odpowiedziałyby inaczej, ale niczego takiego nie zobaczyła.

– Nie, wszystko w porządku. Zaraz wrócę. – Tessa wyszła na korytarz. Rozejrzała się w poszukiwaniu toalety lub informacji. Mrugający zielony hologram na końcu korytarza sygnalizował, że powinna pójść w prawo. Do samego końca. Drobiąc, żeby nie uronić ani kropli więcej i nie zmoczyć sukienki, ruszyła w kierunku znaku.

Kiedy dotarła na miejsce, drzwi otworzyły się. Postawny mężczyzna z wielką plamą w okolicach krocza wyszedł z toalety. Chociaż Tessa starała się nie gapić, jej wzrok przylgnął do miejsca, które wyraźnie się odznaczało.

– To nic, tylko woda – mężczyzna burknął, zerkając na brzuch Teresy.

– Przepraszam. – Tessa przepchnęła się, chcąc wejść do środka. Z nosa poleciało więcej kataru.

– Proszę. – Mężczyzna odsunął się nieporadnie i podał jej papierową chusteczkę, z logo OxyGen. – Pani nos...

– Dziękuję.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Zamknęła za sobą drzwi, zostawiając natręta za nimi.

Olga liczyła się z tym, że Lu mógł być zagrożeniem dla jej planów związanych z awansem. Ot, zwykły koleś, który potrafił się obrócić i to tu, to tam sprzedać całkiem sporą dawkę, ale awans dostawali ci, którzy upłyniali dużo towaru, a do tego trzeba mieć dobrą miejscówkę. Ich była nie najgorsza, chociaż szpital znajdował się w podrzędnej dzielnicy. OxyGen było globalną korporacją, ale z dużymi udziałami państwa, więc cisnęli ich o coraz lepsze wyniki sprzedaży. Od dwóch lat Lu był jej partnerem w firmie i od dwóch lat więcej czasu spędzał w kiblu, niż sprzedając pakiety. Firma rozliczała ich bezwzględnie, ale sprawiedliwie, zawsze dzieląc miesięczny utarg na pół między oboje partnerów, oczywiście już po odjęciu swojego solidnego procentu.

Nie mogła zaprzeczyć, że Lu potrafił być czarujący, ale to ona codziennie mozolnie zdobywała małych klientów, co pozwalało im przetrwać od jednej dużej umowy do drugiej, bez upomnień z kadr.

Swoją drogą, Lu nigdy nie wyglądał, jakby brakowało mu kasy, co było dziwne, bo ona nieraz stawała na głowie, kiedy przychodziły chude miesiące, tak jak teraz. Zmęczenie nieustannym kombinowaniem pchnęło ją do myślenia o awansie, o przeniesieniu się do biura, gdzie to ona będzie mogła cisnąć innych o wyniki i nie będzie musiała notorycznie sprawdzać, czy osiągnęła już miesięczne minimum.

Niestety, Lu nie był zaangażowany, wyglądało, jakby siedzenie w szpitalnej poczekalni było spełnieniem jego marzeń. Mogłaby wystąpić o zmianę, ale słyszała o przypadkach, gdy partner w ogóle nic nie robił, tylko odbierał kasę. Dlatego tkwiła z Lu. Na razie.

– Będziesz jeść tę kanapkę? – spytał, strzepując resztki pieczywa z przewiewnych błękitnych spodni. Okruchy opadły na wykładzinę, pozostawiając jednak tłustą plamkę w pobliżu krocza.

– Cholera! – Wytarł palce w papierową chusteczkę, zmoczył ją odrobiną wody i potarł spodnie. Biała koszula z ciemnoniebieskim logo OxyGen napięła się na wydatnym brzuchu. Plama zrobiła się jeszcze większa. Olga spojrzała na partnera z obrzydzeniem.

– Jeszcze tutaj – machnęła ręką w jego kierunku.

Poprawiła się na twardym krześle. Niewygodny błękitny hoker, na którym była zmuszona siedzieć cały dzień, miał niskie oparcie. Wiszące w powietrzu nogi desperacko szukały zaczepienia pod siedziskiem. Zdrętwiałe od ciągłego napięcia stopy dokuczały Oldze i wprawiały ją w zły nastrój. Albo to, albo będzie musiała stać, co na dłuższą metę wykańczało jej kręgosłup.

Zerknęła na kromkę upchniętą pod blatem biurka. W szarym plastyku z logo firmy nie zachęcała do jedzenia, dlatego Olga nie sięgnęła po nią od razu. Zbyt często sama czuła się jak ta kanapka. Podstemplowana na kieszonce wielkim „O”, upchnięta w uniform. Z datą przydatności wydrukowaną w pracowniczych dokumentach. Podejrzewała, że w kadrach mają ustawione specjalne alerty, które wyskakiwały, ilekroć pracownik kończył czterdziestkę i już nie rokował.

Miała jeszcze trochę czasu, ale zdawała sobie sprawę, że nie może zwlekać w nieskończoność. Obciągnęła białą koszulę. Poprawiła identyfikator z numerem licencji i nazwiskiem przyczepionym do kieszonki. Z boku plakietki wydrukowano takie samo „O” jak na jej koszuli. O jak odnowa i OxyGen. W tym ubraniu wyglądała jak własność firmy, kupiona za korporacyjne benefity, darmowe kanapki i zniżki na zabiegi. Kiedy rankiem patrzyła na siebie w lustrze, czuła niesmak, ale bez firmowych upustów nie miała szans załapać się na terapię tlenową, warunek konieczny, jeśli miała ubiegać się o wyższe stanowisko.

Paulina Goch-Kenawy

Cena tlenu

Premiera: marzec 2026, Wydalem

Cena tlenu to zbiór siedmiu opowiadań osadzonych w niedalekiej lub nieco dalszej przyszłości. Łączy je refleksja nad światem deficytów – tlenu, wody, bliskości – oraz nastrojowy ton i świadomość nadciągających problemów.

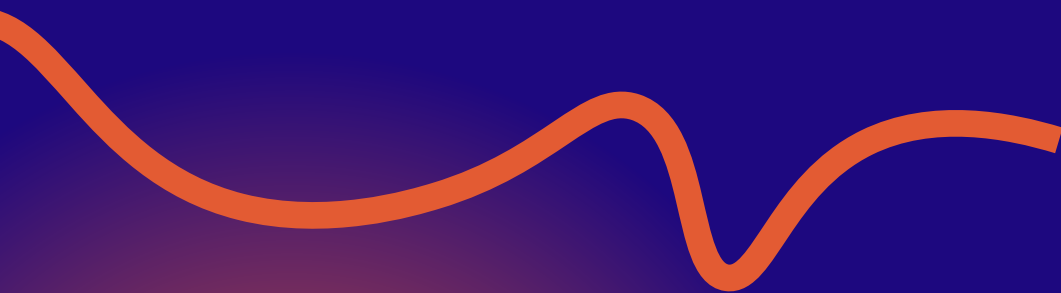
Brzoskwinka i **Tato** podejmują temat dzieciństwa w świecie przemocy. Pierwsze z opowiadań można odczytywać jako opowieść o wojnie – w tle odbija się wyraźnym echem konflikt w Ukrainie – i opowieść o braku wody. **Tato** to historia prób zbudowania relacji z nieobecnym ojcem, którego zastępuje sztuczna inteligencja – opowiadanie najbliższe naszej codzienności.

Cena tlenu i **Muriel** ukazują losy kobiet żyjących pod presją społecznej kontroli – nad ciałem, rozrodczością, procesem starzenia. W tytułowym opowiadaniu śledzimy parę oczekującą dziecka w świecie, gdzie dostęp do tlenu staje się towarem handlowym. **Muriel** przedstawia bohaterkę odbywającą karę w sanatorium. Izolowana od społeczeństwa, zostaje pozbawiona dostępu do środków antyagingowych po popełnieniu zbrodni.

Bagno i **Sieci** przenoszą nas do świata, w którym natura wymknęła się spod kontroli. W **Bagnie** Tom włącza dwutlenek węgla pod ziemię, zmieniając gaz w węgiel. Jego monotonna praca przerywa niepokojące odkrycie. W **Sieciach** Maria w świecie pustoszonego przez huragany czeka na Rybaka, który ma uratować ją i jej brata. Jedynym źródłem wody są przypominające sieci konstrukcje wyłapujące wilgoć z powietrza. Co się stanie, gdy przestaną działać?

Zbiór zamyka **Kasandra** – opowieść o położnej, która podczas porodów doświadcza wizji. Z czasem zaczyna je rozumieć i staje przed dramatycznym wyborem. To opowiadanie spaja cały zbiór, zawiera echa wcześniejszych historii i prowokuje pytanie: czy wszystko, co przeczytaliśmy, było rzeczywistością, czy może wizją lub snem?

Inspiracje literackie zbioru obejmują dystopie Margaret Atwood, realistyczny styl Ernesta Hemingwaya czy Raymonda Carvera, a czasem parabolę i magiczny pierwiastek bliskie twórczości Olgi Tokarczuk. Bohaterami są ludzie zwykli – bezbronni wobec systemu, poszukujący relacji i sensu w świecie u progu katastrofy.



Teksty wyróżnione

Zu Witkowska

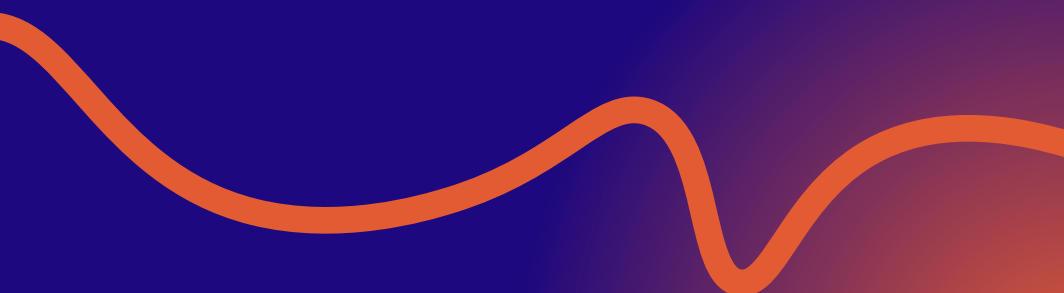
Śluza

Filip Modrzejewski:

To jest fabuła!

Łucja nawet nie przypuszcza, że w jej życiu coś zgrzyta i trzeszczy. Tymczasem poszczęści się jej nie lada, gdyż na jej drodze pojawia się pewna kobieta. To cierpka, lecz ciepła mentorka i opowiadaczka, na co dzień operatorka śluzy. Głosy obu kobiet, ich myśli i światy, zderzą się i dadzą krytyczny wgląd w rzeczywistość, więcej: stworzą ją na nowo.

Powieść Zu Witkowskiej jest kameralna, a Łucja budzi szczególną sympatię, to przecież bohaterka naszych czasów. *Śluza* z mocą dowodzi, że fundamentem prozy mogą być styl, nastrój i odmalowany szczegół. Z uznaniem stwierdzam: powieść jest oryginalna i udana. Takiej od dawna nie było w krajowej literaturze.



Zu Witkowska

Śluza

(Fragmenty)

Żyjąc przy śluzie, czujesz, jak gdyby czas przebiegał ci po plecach. Dni, miesiące, lata są tu zawsze obecne jak domownik albo jak pies, który wiesz, że cię przeżyje. Kiedy przepuszczasz spienioną wodę przez śluzę, to jakbyś przepuszczała ją przez siebie. A z nią te wszystkie kajaki, motorówki, rowery wodne z jeziora za lasem, żaglówki na silniku, pontony. Śluza łapie wodę i ludzi, wstrzymuje ich jak oddech i na moment wszystko zastyga. Ale po chwili wodę oddaje w jedną stronę, ludzi w drugą, a ty patrzysz i czujesz, jak słabnie. Jak gdyby upuszczali ci krwi. Za każdym razem opóźniam otwarcie wrót o choćby chwilę, o trzydzieści sekund... Zawsze mam ochotę raz je zamknąć i po prostu odejść, zatrzymać tam wszystkich, razem z ich drożdżówkami i ogórkami kiszonymi sprzedawanymi z pomostów.

*

Las po obu stronach drogi gęstnieje i ciemnieje. Niebo jeszcze odznacza się jasną plamą, ale zmrok jest kwestią kilku chwil. Łucja włącza długie światła. Kilka par oczu spogląda na nią z rowu, więc zwalnia, wytężając wzrok. Sarny? Błyszczące punkty nagle znikają, ale trawy pozostają nieruchome. Pozwala fiatowi przetoczyć się wolno, nie dodając gazu. Sarny. Trzy. Nieruchome, ich kształtne łebki zwrócone są w kierunku szosy.

Jedzie w ciszy, droga jest zupełnie pusta. Telefon leży na siedzeniu pasażera obok kosmyka włosów zwiniętego w idealną obrączkę. Nie bardzo wie, gdzie dokładnie się znajduje. Mija zielone drogowskazy z nic jej niemówiącymi nazwami wiosek i kolonii. Przez uchylone okno wpada wilgoć – lubi zapach torfowisk, więc na moment ożywia się, ale zaraz znowu zapada się w sobie. Ścisła mocniej kierownicę i marsz-

czy czoło na wspomnienie dzisiejszego popołudnia i przesyłki, którą znalazła w skrzynce po powrocie z zebrania konsorcjum.

Koperta była prosta, niewielka, płaska. Pożółkła, z twardymi grudkami wykruszającego się kleju, ale nadal zamknięta. Ile minęło lat, osiemnaście? Dwadzieścia? Miał to być po latach, jak wspomniał w załączonej notce wychowawca z liceum, „czuły prezent, stopklatka z młodzięczego czasu”. Nie pamiętała niczego takiego. Wahała się. Czuła, jak narasta w niej opór i dziwny wstyd, ale przecież, myślała, listu w butelce nie znajduje się codziennie. Takim chwilom należy się chyba odpowiednia oprawa – powinna nalać sobie odrobinę valpolicelli ripasso i w końcu chociaż raz użyć noża do papieru, który dostała z okazji obrony doktoratu. Ogarniająca ją coraz mocniej fala gorąca zamieniła się w krople potu na plecach, więc zrzuciła z siebie sweter i resztę ubrań, po czym odruchowo wsunęła palec w niesklejony fragment zamknięcia i gwałtownie rozerwała kopertę. Cholera. Sięgnęła do środka. Na obszarpanej kartce w kratkę znalazła krótką wiadomość:

„Cześć. Nie tłumacz się. Wiedziałaś, że mnie zawiedziesz”.

Gdyby zapytać ją, co w tym momencie pomyślała, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Nic, lub raczej wszystko naraz, jak wtedy, gdy w krytycznym momencie całe życie przelatuje komuś przed oczami. Strzępy, czarne plamy, urywki przewijane w przód i w tył.

Włoski na jej ciele zjeżyły się. Dłuższą chwilę stała naga w słońcu ostro oświetlającym ten fragment pokoju. Skanowała pamięć, ale wspomnienia rozbiegały się na wszystkie strony jak rozlana na stole rtęć. Żaden z mniej lub bardziej rozmytych obrazów nie chciał się kleić z tą jedną linijką. Wyraźnie jednak widziała swój charakter pisma i czarny długopis, szybko i zdecydowanie prowadzony po papierze.

Dwie walizki, torebka i złożone w kostkę ubrania na podróż były od dwóch dni gotowe, więc po szybkiej decyzji wyjście z domu zajęło jej kilka minut. Przekręciła klucz i jak zawsze powiedziała do siebie:

„Zamknięte”, a potem wróciła z połowy schodów jeszcze raz złapać za klamkę, żeby się upewnić. Wsiadła do samochodu, spojrzała w tylną szybę i krzyknęła z palącego bólu – całe pasmo włosów zostało jej w dłoni. Wzięła kosmyk w palce, starannie go zwinęła i położyła na siedzeniu pasażera. Była zbyt zdziwiona, żeby płakać.

*

Kiedy tu przyjechała, była ni to zdenerwowana, ni sztywna. Czy ja wiem? Smutna. Niedobrze, pomyślałam, kiedy smutek wejdzie w młode oczy, zostaje na zawsze. Kilka razy widziałam to ze zbyt bliska. Tacy już tylko nawigują ciałem, chociaż do pełnej rozciągłości życia mają tak daleko. Czasem coś łykają, ale częściej biorą na siebie tyle, żeby ich mocno przygniotło, i więcej, żeby się upewnić. Znikają, chociaż często dożywają nawet i starości, ale patrzą na świat widmowym wzrokiem. Zawsze to mówię: jeśli bierzesz kogoś obok siebie, to patrz, czy mu widmo w oczach nie siedzi.

*

Dopiero przy bliższym przyjrzeniu się widać, że służy wybudowano z wielką dbałością o detal. Łucja podchodzi aż do skraju, dotyka geometrycznego rzeźbienia biegnącego przez długie bale, po czym siada na rozgrzanym betonowym skraju. Pod jedyneką nikt nie odpowiedział na jej pukanie. Poczeka tutaj.

Drewno ma głęboki, tłusty kolor. Obie pary wrót wyposażono w mostek z żelazną kutą poręczą zawijającą się zgrabnie po obu stronach. Teren wokół domu łagodnie wznosi się ku zalewowi – z tej perspektywy ledwie widać różnicę poziomów, ale ściany słuzy sięgają głęboko w dół. Wokół nie ma nikogo, pewnie za wcześnie na turystów. Chociaż nie, jakaś para manewruje kajakiem w szuwarach, ona z przodu, on z tyłu. W końcu udaje im się uwolnić i odpływają, a wyraźnie przejęta kaczka szybko udaje się w tamtą stronę. Na pewno matka. Rzeczywiście, bo wkrótce w tataraku odzywają się ciche popiskiwanie.

I mimo że jeszcze długo nie miała tego w planie, Łucja sięga po telefon i wybiera numer siostry.

– Tak, jestem już na miejscu. Mam prośbę. Potrzebuję tego pudła, które zostawiła dla mnie mama. Wyślesz mi je tutaj, proszę?

Kiedy się rozłącza, w głębi jej brzucha żołądek zaciska się i sztywnieje. Znowu siedzi na skraju łóżka matki i widzi stojące na podłodze sypialni kartony. Kiedy wiadomo już było, że weszła w ostatnią fazę choroby, wezwała je obie i pokazała im dwa pakunki, każdy podpisany imieniem. „Tu jest całe wasze dzieciństwo, wszystko, co udało mi się pozbierać po domu. Nie chcę, żebyście przez przypadek wyrzuciły w rzeczach po mnie coś swojego”.

Na to wspomnienie niemal brakuje jej tchu, wie jednak, że to ten moment, że nie ma wyboru – projekt toczy się swoim rytmem, ale ona przez ostatnie dni ma wrażenie, jak gdyby poruszała się jednocześnie dwiema trajektoriami. Jak gdyby stała się podwójną sobą, kiedy otworzyła niewinną, zdawałoby się, przesyłkę. Samochód, list. Kalendarz, list. Rozmowa, list. Łóżko, list. Biomasa, list. Projekt, list. Hałas żurawi, list. Ściana lasu, list.

List. „Wiedziałam, że mnie zawiedziesz” – jak wytrawiona metalowa płytka wstawiona jej eksperymentalnie w głowę.

A więc dobrze. Zobaczy, czy znajdzie wśród tych szpargałów coś, co sprawi, że w końcu cholerna płytka zamilknie. Chyba że w ogóle nigdy nie chodziło o list, a zawsze o to, co zostawiła jej matka? Palec Boży czy przeznaczenie to ostatnie, w co wierzy, ale może w tej całej chorej historii wszystko sprowadza się do otwarcia pudła-spadku, pudła-prezentu, pudła Pandory. Minęło kilka lat, kto wie, czy matka nie gada do niej z zaświatów. Zawsze skrzętnie zbierała wszystkie drobiazgi i drobiażdżki należące do obu córek, ale Łucja nigdy nie była miłośniczką pamiątek dawniejszych niż rok czy dwa. Od zawsze wprawiała ją w zażenowanie stare szkolne dyplomy, zaświadczenia, zdjęcia i suweniry z wakacji. Nawet nie chodzi o to, że nie jest sentymentalna.

Może nawet i jest. Może właśnie o to chodzi, że jest.

– A, dzień dobry! – Rozmyślania przerywa zawołanie właścicielki, która właśnie zajęła na posesję samochodem równie starym jak zaparkowany pod drewnianą fiat. Łucja wstaje, otrzepuje spodnie i podchodzi, a tamta przygląda się jej badawczo. – Co, nie spałaś dobrze? Ja wiem, że to nigdy nie to samo co w swoim łóżku, nawet w Marriottcie. Przyzwyczaisz się, mam nadzieję. Zaparzę herbaty. Lubisz earl greya? – pyta, a Łucja kiwa głową potakująco. Rzeczywiście lubi.

Na parterze jest nieco ciemniej, bo po ścianach domu z czerwonej cegły snuje się bluszcz okalający framugi dolnych okien. Kiedy Łucja rozgląda się po pokoju i w końcu siada, podbiega do niej poznany wczoraj pies. Ma długą, zadbaną sierść i nie wydaje żadnych dźwięków. Kręci się chwilę, wybiega do pomieszczenia obok, po czym wraca i upuszcza u jej stóp zieloną piłeczkę. Gospodyni w tym czasie krząta się w kuchni, brzęcząc zastawą, a Łucja, zupełnie zdezorientowana, postanawia to, co zwykle – nie reagować. Pies bierze piłeczkę do pyska i ponownie ją upuszcza, tym razem na but Łucji, a za chwilę jeszcze raz, z drugiej strony krzesła, co budzi w niej coś w rodzaju roztkliwienia, ale ona wie swoje i nie odważa się wyciągnąć dłoni w kierunku nieco już obślinionej zabawki. Przecież to się skończy wściekłym warczeniem w obronie własności albo i nawet sprawdzaniem aktualności szczepień. Nie, nie, dziękuję.

– No, gotowe. – Taca z parującymi filiżankami i kruchymi ciastkami z cukrem ląduje na stole. – Apis, odejdz mi z tą piłką, nie teraz... Gdyby mógł, nie jadłby i nie spał, tylko w kółko ganiał za tą piłką. Za rzucenie mu byle patyka oddałby i mnie, i swoją miskę! Ostatnio na spacerze w lesie piłka wpadła mu do lisiej nory. Co to była za tragedia, co za rozpacz! W życiu go takiego nie widziałam. Co miałam robić, wyciągałam. Grzebałaś kiedyś po pachę w lisiej norze? Dobrze, że akurat była pusta! Ach, cukier! – Wstaje zza stołu i podchodzi do serwantki.

– A co, jak wpadnie do wody?

Gospodyni stawia cukiernicę między filiżankami.

– Prawda, że do służby wpadło nam wiele różnego. Ale dotąd żadna piłka

Apisa. Nie wiem, jakoś zawsze mu się upiecze. Dobry pies, to dlatego. Na pewno się polubicie, o, patrz, zaraz mu ogon odpadnie od tego merdania! No, co my tu mamy w tych papierach... O, tu trzeba dane wpisać. – Podsuwa plik kartek Łucji, która zawiesza długopis nad miejscem do złożenia podpisu.

– A kto się właściwie zajmuje służą? Ona w ogóle jest w użyciu? – pyta jeszcze, na co gospodyni zamiera w pół gestu, zdziwiona.

– Przecież ja tu jestem służową! A to – wskazuje ręką na mieszkanie – to jest dom służowego. No, teraz to pani służowej – mówi dobitnie, po czym podpira się pod boki, patrząc bacznie na Łucję, jakby zbita z tropu. W jej rysach uderza mieszanka hartu ducha i przenikliwości.

– Teraz jeszcze jest przed sezonem, to mało kto dzwoni, że trzeba mu otworzyć. Ale niebawem zrobi się tu ruch i będą stałe pory służowania, co pół godziny od dziewiątej do dwudziestej. Tak jak było napisane w ogłoszeniu o wynajem.

– W ogłoszeniu? Godziny służowania? Nie, nic takiego nie było. W ogóle nie wiedziałam, że tu jest jakaś służa przy domu – mówi zaskoczona Łucja.

– Nie? A, to nie wiem. Daliśmy nowe ogłoszenie z lepszymi zdjęciami, ja na pewno kazałam to wszystko napisać. Ale może nie napisali, ja się na tym internecie nie znam...

Nadal patrząc badawczo na Łucję, teatralnie załamuje rękę.

– Jak zadzwoniłaś, to tak sobie myślałam, że specjalnie wokół naszej służy będziesz całe lato robić tu jakieś ważne badania dla uniwersytetu. Nie wiem, tak jakoś sobie wyobraziłam, że może staniemy się sławni. No trudno. Ale nie będzie ci to służowanie przeszkadzać? Wszyscy goście dotąd chwalili sobie taką atrakcję. A chociaż służowałaś się kiedyś?

Łucja nie tylko się nie służowała, ale nigdy nie miała takiego pomysłu. Woda wszelkiej maści od zawsze wydawała jej się bezbrzeżnie nudna. Z cieniem jak gdyby lekkiego zawahania podpisuje umowę i dopija herbatę. Żegna się serdecznie, jak zawsze z każdym.

Ciągle powtarzam, że życiowe wybory są zwykłymi przypadkami. Nie wybrałam słuzy. Nawet nie czuję, żebym wybrała Tadeusza. Zepsuł mu się rower pod moim domem – ile w tym mojego wyboru? Zresztą przed Tadeuszem był Eustachy. Staszek. Staszek mógł tylko wtedy pójść do łóżka, kiedy ja najpierw na jego oczach zabiłam kurę. Nie przeszkadzało mi to, lubię rosół. Kur mieliśmy trochę. Staszek miał dużo werwy, ale i dużo łagodności, szczególnie po. A Tadeusz chyba nigdy nie widział mnie nago. Wchodził tylko na mnie, podwijał koszulę i nakrywał nas kołdrą, a po wszystkim zęgnął się i dokładnie się mył, i kazał też mnie, to się zęgnęłam i myłam. I tak trzydzieści lat. Tęsknię czasem za Staszkiem. Ale nic to. Wiem, że popatrzę chwilę przez okno i ot, dołączę do niego. Kto wie, może też na dnie słuzy.

*

Ostre słońce niemal od razu sprawia, że jędrne jeszcze przed chwilą pióropusze paproci więdną w oczach. Jest bezchmurnie, poza kilkoma wysokimi soczewkami. Wspólnymi siłami słuźowa i Łucja sprawiają, że w niecałe pół godziny nerecznica jest rozłożona. Łucja wyklada zawartość ostatniego worka, obserwując zajętą już przy słuźie gospodynię, pokazującą właśnie turystom, że są stanowczo za blisko. Zawsze trzeba ich przeganiać. Grupy kajakowe i pojedyncze łódki zatrzymują się zwykle tuż przy wrotach, jak gdyby ściana wody zupełnie nie robiła na nich wrażenia. Słuźowa wskazuje ręką miejsce, gdzie stoi znak STOP i gestami prosi o przesunięcie się wszystkich w tył. Niechętnie, ale bez protestu cofają się kilkanaście metrów. Trzymają się potem nadbrzeża i siebie nawzajem, składają wiosła, wyciągają prowiant ze schowków, wykładają nogi na kadłuby. Niektóre dziewczyny w kajakach mają na głowie wianki. Rozmawiają, śmieją się i dryfują leniwie, aż wrota nieco się uchylą i słuźa zacznie wypuszczać z siebie kaskady spienionej jasnozielonej wody. Kiedy w końcu mogą wpłynąć do środka, słuźowa poleca im złapać się długich metalowych łańcuchów i zamyka ich na głucho w drewniano-betonowej klatce. Zwykle wśród

towarzystwa robi się wtedy zupełnie cicho, a ona niespiesznie przechodzi do drugich wrót, ponownie karcąc co niektórych za zbytne podpłynięcie do przodu. Czasem patrzy jeszcze na nich moment i za chwilę pomału zaczyna wpuszczać do środka pienistą wodę z zalewu. Ściany śluzy centymetr po centymetrze znikają w głębinie, a kajaki i małe łódki wznoszą się, kołysząc się delikatnie, nim w końcu sięgną poziomu zalewu. Zanim je wypuści, śluzowa puszcza jeszcze w obieg mały koszyk, niemal jak w kościele. Niekiedy moneta wymknie się komuś z rąk i znika bez śladu.

Dziesięć worków rozłożonej na płasko nerecznicy wygląda teraz jak wielka arabeska. Miękkie, wyjątkowej urody ciemnozielone liście okalają cały dom aż do drewni z jednej strony i niewielkiego ogrodu warzywnego z drugiej. Łucja z ukłuciem żalu obserwuje, jak tracą wilgoć i blask, ale szybko otrząsa się z sentymentów. Paproć nie toleruje suszy – i dobrze, w tym upale maksymalnie jutro do wieczora woda z tkanek powinna odparować i będzie można wysłać biomasę do ekstrakcji. Sytuacja opanowana. Pozostaje jeszcze wymyślić, skąd wzięć nową rzęsę, ale postanawia odłożyć to na inny moment. Ten dzień ją wykończył, musi odpocząć. Mimo że planowała wrócić do siebie na górę, zmienia zdanie i decyduje się zostać w przyjemnie teraz zacienionej altanie. Idąc w jej kierunku, rzuca jeszcze podejrzliwe spojrzenie kręcącemu się po posesji Apisowi, ale ten tylko gryzie jakiś patyk i wydaje się zupełnie niezainteresowany paprocią. Dźwięki dobiegających z wody rozmów zmieszane z odgłosami ptaków i trzepotem skrzydeł przelatujących od czasu do czasu kaczek rozchodzą się po okolicy przyjemnym białym szumem.

W zasadzie co ona ma zrobić z tym pudłem od matki i znalezionej w środku szpargałami? Może oprawić w ramki? Prędzej spalić. W dodatku na myśl o tych wszystkich papierach, szczegółach, niemal materiałach dowodowych na siebie samą Łucję opanowuje trudny do zrozumienia wstyd. Ale akurat to uczucie jest jej dobrze znane. Ogarnia ją za każdym razem, kiedy cień dawnego życia przebija się przez jej rzeczywistość. Więc co, co zrobić – wyrzucić? Zakleić z powrotem

i włożyć pod łóżko? Po co, żeby ją straszło?

Najchętniej wpakowałaby to wszystko matce do grobu.

– Co ty pierdolisz, Łucja? – myśli tak głośno, że prawie na głos. – Przecież masz, czego chciałaś. Ale coś ci powiem. Wiesz, czym jest kompromis? Sposobem na utknięcie w miejscu.

Mruży oczy i długo wpatruje się w rozciągające się przed nią morze paproci. Za chwilę leniwe letnie słońce zacznie chować się za koronę lasu. Łucja wie, że jeszcze dwa miesiące temu cieszyłaby się tym widokiem. Może nawet przyznałaby się Grahamowi, że zawałiła jedną dostawę, ale podeszła do sytuacji wynalazczo i, *voilà*, z nercznicą wszystko się udało. Ale teraz marzy tylko, żeby dotrzeć do końca projektu. Dotrzeć, a w międzyczasie zdobyć rzęsę i przysiąc do wiszących nad nią publikacji, których nadal jeszcze nawet nie tknęła mimo przypomnień w telefonie i przyklejonej na lustrze karteczki. Coraz częściej myśli o tym, że cały wysiłek związany z pisaniem spadł na jej barki, a lista nazwisk współautorów wydłużyła się ostatnio do dziewięciu osób, z których połowa na oczy nie widziała ani biomasy, ani ekstrakcji, a o samym projekcie wie tyle, co śluzowa. O ile do Grahama czy Oliwii nie ma zastrzeżeń, to co do diabła robi tam habilitująca się z innego tematu koleżanka z instytutu albo profesor zajmujący się krystalografią? Raz zapytała o te praktyki, jeszcze na doktoracie. Usłyszała oschłe „bo wypada”, resztę z czasem dopowiedziała sobie sama. Gdyby rozrysować gęstą siatkę politycznych sojuszy i zwalczających się uniwersyteckich obozów, można by nakręcić niezły serial.

Z zamyślenia wrywa Łucję dziwny, wysoki dźwięk. Rozgląda się i widzi wijącego się na trawie Apisa, który wydaje z siebie bolesny pisk, jakby zaatakowany, chociaż w pobliżu nie ma żadnego innego zwierzęcia. Zastanawiając się, czy to jakaś dziwna zabawa, Łucja rozgląda się za gospodynią, która właśnie napuszcza wodę do śluzy. Apis jednak wydaje kolejny żalorny skowyt, więc zdezorientowana Łucja woła ją głośno, ale gospodyni nie słyszy. Zresztą nawet gdyby słyszała, prze-

cież teraz nie może przyjść. Jasna cholera. Jasna cholera!

Zbiera się w sobie i podchodzi wolno do psa, który ma dziwnie rozwar-ty pysk. Rzuca łbem we wszystkie strony, jakby próbował coś strząsnąć. Łucja wyraźnie widzi jego wszystkie zęby i chociaż czuje, jak miękną jej nogi, podchodzi powoli do miotającego się i piszczącego zwierzęcia. Widzi, co się stało: wokół rozrzucone są fragmenty bambusowego kija, który Apis gryzł całe popołudnie. Jeden na oko dziesięciocentymetrowy kawałek wbił mu się w podniebienie i tkwi teraz pionowo w pysku. Pies próbuje go z siebie wytrząsnąć, charcząc i rzucając się, ale na darmo. Żołądek podchodzi Łucji do gardła. Ogląda się jeszcze za siebie i ponownie głośno woła gospodynię, ale bez skutku.

– Co ja mam robić! – krzyczy do siebie i do skomlącego psa. – Co się robi w takim momencie?!

Wyciąga przed siebie dłonie i próbując go uspokoić, woła:

– Spokój, Apis, spokojnie, zrobisz sobie krzywdę! Nie rzucaj się tak, zaraz pani przyjdzie!

Szuka telefonu w kieszeni spodni, żeby znaleźć kontakt do jakiegoś weterynarza, ale od razu widzi absurdalność swojego pomysłu. Ostrożnie klęka przy płaczącym psie i przerażona dotyka jego miękkich, czarno-białych włosów. Apis nieco się uspokaja, a jego oczy lśnią smutno. Nadal wstrząsa łbem, próbując pozbyć się patyka.

– Cicho, cicho. Ja to wyjmę. Tylko mnie nie ugryź, błagam, nie ugryź mnie, nie ugryź – szepcze Łucja, sięgając trzęsącą się dłonią ku obnażonym zębom. Przełamując panikę, sięga głębiej i kiedy jej palce zaciskają się na bambusie, na ułamek sekundy przymyka oczy. Dolny koniec patyka się uwalnia i już, już prawie wypada, ale Apis przechyła głowę i zdrewniała łodyga, zamiast wysliznąć się z pyska, utyka na podniebieniu poziomo, tkwiąc teraz między zębami a gardłem. Prawie nieprzytomna ze strachu Łucja, nie przestając szeptać błagalnie, wkłada powoli całą dłoń do pyska. Apis się wzdryga, na co Łucja krzyczy do niego stanowczo:

– Daj sobie pomóc!

Pies na krótki moment cichnie i w tym momencie Łucja wyjmuje ostro zakończony kawałek bambusa, a Apis natychmiast się podrywa

i skomląc co sił biegnie do futryny drzwi, gdzie kładzie się skulony na wycieracze.

Łucja patrzy na swoją obślinioną drżącą dłoń, na fragment patyka w palcach, na skulonego w drzwiach psa i wzbiera w niej płacz. Zbiera wszystkie bambusowe kawałki walające się po trawniku i wrzuca do śmietnika. Podchodzi do psa, patrzy na jego rozbiegane ze strachu oczy, kuca i delikatnie dotyka jego grzbietu. Jego włosy są długie, delikatne, puszyste.

– Już, już dobrze, pani obejrzy cię w środku i jeśli trzeba, zabierze do weterynarza. Wszystko będzie dobrze. Nic się nie martw.

Głaszcze go ostrożnie przez moment i po chwili robi ruch, jakby chciała wstać, ale nie potrafi zostawić przestraszonego psa samemu sobie. Siada i siedzi przy nim tak długo, aż widzi, że słuzowa jest w końcu wolna. Macha do niej, woła. Gospodyni zauważa i podnosi rękę na znak, że już idzie.

– Co to? Nagle się zaprzyjaźniliście? – dziwi się, po czym zauważa zapłakaną twarz Łucji i drżącego Apisa. Przyspiesza kroku z niepokojem w oczach.

– Już wszystko dobrze – mówi Łucja uspokajająco. – Ale musi pani dla pewności obejrzyć jego pysk – i opowiada w kilku zdaniach, co zaszło.

– Idziemy do środka – zarządza pośpiesznie słuzowa.

Wchodzą w chłód korytarza i dalej do mieszkania. Apis natychmiast wbiega do środka i wskakuje na kanapę. Zwija się w kulkę wśród pluszowych poduszek, jakby chciał między nimi zniknąć. Jego opiekunka pochyla się nad nim, bierze w dłonie jego kształtną głowę i prosi, żeby otworzył pysk. Ku zdziwieniu Łucji pies posłusznie go otwiera, a gospodyni dokładnie ogląda różowe wnętrze, bez żadnego strachu rozwierając jeszcze szerzej błyskające białymi zębami szczęki.

– Weź, kochana, latarkę z szuflady. Tam jest, pod filizankami – mówi, wskazując na serwantkę.

Wśród drobiazgów Łucja odnajduje latarkę i podaje ją słuzowej. W ostrym świetle widać małe zadrapania podniebienia. Nie wydają się poważne, ale na wszelki wypadek trzeba będzie iść do pana Zdzisława, który jest tu w okolicy weterynarzem.

Gospodyni podnosi się z kanapy i podchodzi do czerwonego aparatu telefonicznego z obrotową tarczą. Lucja dobrze zna ten stary model. O ile w ostatnim roku nic się nie zmieniło, w domu babci stoi identyczny. Śluzowa trzyma go po prostu na parapecie, obok równie czerwonej pelargonii, ale telefon babci stoi w rogu salonu na specjalnym okrągłym stolczku z ręcznie dzierganą na szydełku serwetką. Urodziny Lucji wyznaczają żołnierski rytm wykonywanych z niego corocznych połączeń, bo jeśli się nad tym zastanowić, babcia chyba nigdy nie zadzwoniła do niej tak po prostu, zapytać, co słychać i czy na pewno ma się dobrze. Sama natomiast wymaga regularnych telefonów do siebie, w razie zbytnej zwłoki nasyłając na Lucję którąś z ciotek, a wcześniej też matkę.

Lucja nigdy wcześniej o tym nie myślała, ale teraz ten układ wydaje się jej jednak dziwny. Czy babcia jest bardziej człowiekiem niż Lucja? Czy tak w ogóle babcie są bardziej ludźmi niż wnuki? Czy wnuki są mniej ludzkie, więc bardziej odporne na smutek czy samotność? Cemu mniejsza sprawność babć wymaga wykonywania rozprasających ich przygnębienie telefonów, ale, powiedzmy, złamane serce wnuczki nie? Albo długie diagnozowanie guza piersi, który Lucja wyczuła tuż nad sutkiem dwa lata temu? Dopiero po sześciu miesiącach czekania na swoją kolej w ośrodku diagnostyki nowotworowej i po tylu też nieprzespanych nocach okazało się, że jest łagodny.

– Pan Zdzisław wyjechał, wróci dopiero za godzinę do domu, wtedy pójdziemy – mówi śluzowa. – To znaczy ty nie musisz. Ale możesz.

– Chcę iść – odpowiada bez wahania Lucja i przebiega ją widoczny dreszcz.

– Zimno ci? W tym upale? – Śluzowa przekrzywia głowę. – Hm, zdenrowowałaś się – konkluduje. – Zaparzę ci miętę, mnie też zresztą się przyda.

Lucja siada na kanapie przy psie. Patrzy na niego, już się nie boi. Wyciąga rękę i długimi ruchami głaszcze jego grzbiet, a on przymyka oczy i przesuwa się kilka centymetrów w jej kierunku. Napar stygnie

długo, a świeżo rwana mięta wypełnia zapachem całe pomieszczenie, kiedy siedzą tak w trójkę w milczeniu.

– Jak to się stało, że została pani słuzową? – decyduje się zapytać Łucja. Zastanawiała się nad tym już od jakiegoś czasu, przypatrując się pracy gospodyni nad wodą, i doszła do wniosku, że jest w tej kobiecie coś twardego, coś zahartowanego, jakby miała w sobie rdzeń, na którym można się oprzeć, albo jakby były w niej jakieś wewnętrzne wrota, którymi potrafi manewrować według woli. Coś, co u drugiego człowieka można podziwiać, ale czego też można się przestraszyć.

– Przypadek – odpowiada gospodyni, wyglądając przez okno na podschniętą już paproć i na służę w głębi. – Chyba wszyscy są kimś po prostu z przypadku. Jeden tylko Lesław ze wsi obok zawsze wiedział, że będzie sprzedawać pomidory. Od dziecka było to jego największe marzenie: mieć sklep z pomidorami, cały dzień ważyć dla klientów bawole serca i malinówki. Wkładać je do skrzynek, skrzynki wykładać na pochyle półki stoiska. I patrz, ma! Dobrze mu idą też żółte, a ostatnio nawet sprowadził skądś czekoladowe. Dobrze, ale nie ma to jak malinówka. Lesław też najbardziej lubi malinówki, a on zna się na rzeczy.

– A słuza? – Łucja próbuje wrócić do tematu.

– Ktoś musi ją obsługiwać – odpowiada krótko, jakby na odczepnego. Łucja nie naciska. Długo obie milczą, gdy wtem gospodyni podejmuje temat zmienionym głosem, niższym i cichszym. Wpatruje się przy tym w Apisa i mówi w rytm posuwistych ruchów dłoni Łucji na jego ciepłym grzbiecie.

– Ot, historia jakich wiele. Słuza przypadła mi wraz z Tadeuszem, którego dziadek pracował przy budowie kanału. Dziadka zostawili tu jako służowego, dali mu kawałek gruntu i pozwolili wybudować dom. Potem robotę przejął jego syn. I właśnie słuza to było pierwsze, co Tadeusz zobaczył, i ostatnie, co widziała jego matka, która zaczęła rodzić, wybierając wodę ze studni, tu obok. Tadeusz nauczył się wszystkiego wokół słuzy, kiedy był jeszcze dzieckiem. I tak się stało, że od czterdziestu lat otwieram i zamykam wrota, najpierw z Tadeuszem, a później już sama.

– I tak całe życie? – pyta niezdarnie Łucja, próbując podtrzymać rozmowę.

– Z przerwą na zakład – odpowiada słuzowa, nadal wpatrując się w okno. – Na tamten czas zmienił mnie chłopak ze wsi, bo spuszczenie wody i napełnianie śluzy jest proste, prawie każdy może to robić. Chociaż można i potopić ludzi, trzeba uważać na kolejność. Wyszło, że tutaj akurat robię to ja, bo trafił mi się Tadeusz. Pewnie dlatego czas w zakładzie minął mi raz-dwa. Nic się tam nie działo, każdy dzień był podobny do drugiego. Kiedy myślę o tym teraz, to jakbym tam weszła i wyszła. Tych parę lat składa się może na dwa dni, może na tydzień. Nic szczególnego, ale potem ciężko było się połączyć ze światem. Telefony inne, telewizja inna, ludzie mówili do siebie jakoś inaczej, tylko kajaki te same.

Łucja już chce dopytać, o jakim zakładzie właściwie jest mowa, ale zatrzymuje się w pół oddechu. Patrzy na głębokie zamyślenie słuzowej, której wewnętrzne wrota jakby przymknęły się nieco. Nie mówi więc nic, tylko obserwuje, jak kobieta wpatruje się w widok za oknem, a po chwili nawet to przypatrywanie się wydaje się Łucji zbyt nachalnością. Opuszcza więc wzrok na Apisa, który wzdycha i kładzie głowę na jej kolanie.

Kiedy tak tkwią w ciszy, osobne, pogrążone w myślach, przez bluszcz wpada jeszcze ostatni promień zachodzącego słońca i robi się ciemno.

*

Śluzowa i Łucja stoją na progu i rozglądają się z niedowierzaniem po terenie wokół domu. Powietrze ma zapach ozonu, wszystko jest mokre od deszczu, a na rozłożonej wczoraj tkaninie leżą już tylko pojedyncze liście paproci. Za to powierzchnia zalewu wygląda tak, jakby w ciągu nocy wyrósł na niej nieznaną gatunek nenufaru, pod którym zręcznie nurkują teraz łyśki. Gdzie spojrzeć, wszędzie porozrzucane grupkami mokre strzępy nerecznicy – od śluzy, przez bukszan i dalej krzaki porzeczek, aż po drogę prowadzącą w głąb wsi.

– To ci noc świętojańska... Zasypałyśmy paprocią całą okolicę! – Gospodyni kręci głową, unosząc ze zdumieniem brwi, a jej rysy jakby od-

młodniały. – Jeszcze długo będzie się tu o tym mówić – dodaje z ożywieniem, w którym pobrzmiwa nuta ekscytacji.

Łucja nie odpowiada. Stoi blada, wodząc oczami po ogrodzie, zalewie i drodze. Po chwili milczenia służowa delikatnie bierze ją za ramię.

– Chodźmy.

Zbierają z posesji, co się da. Zaglądają do bliższych i dalszych sąsiadów, ale Łucja już wie, że większości materiału nie odzyska. Prawie wszystko przepadło w gwałtownej porannej burzy. We wsi będzie to kiedyś co najwyżej anegdota, jak to w Świętego Jana spadł na mieszkańców deszcz paproci, ale dla niej ta sytuacja oznacza kłopoty – poważną rozmowę z Grahamem i kto wie, co jeszcze.

– A nie dasz rady jeszcze raz tej paproci zdobyć? – dopytuje gospodyni, widząc wyostrome rysy twarzy Łucji, która od dłuższej chwili nic nie mówi, tylko mechanicznie i z ociąganiem wkłada pojedyncze liście do worka.

– Takiej ilości?... – odpowiada z rozgoryczeniem. – Raczej nie, no i kto by miał za to zapłacić? Co ja teraz zrobię? Nie dość, że nie mam nercznicy, to rzęsa wodna też mi się zmarnowała! – Zaciska powieki, a jej głos zaczyna się trząść.

– Jak to, rzęsa wodna też? A gdzie ona jest, suszyłaś ją gdzieś indziej? Nic nie mówiłaś – dziwi się służowa, prostując się znad grządki z koprem.

– Zgniła pod suszarnią w beczkach. Moja wina, bo pomyliłam terminy, więc musiałam z własnej kieszeni zapłacić za wywiezienie jej na wysypisko. I ta zniszczona nercznica też jest moją winą! – Łucja woła płaczliwie i chowa twarz w dłoniach.

– Dziecko, ale to nie jest powód do załamywania się! – Gospodyni podchodzi do niej i bierze jej ręce w swoje, potrząsając nimi lekko.

– Pani nie rozumie! Tego się nie uratuje. Konsorcjum ustaliło... Profesor... – Łucja zaczyna gorączkowo tłumaczyć, otwierając ledwie do połowy wypełniony worek z paprocią.

– Rzeczywiście, nie rozumiem – przerywa jej służowa, zatrzymując ją w pół gestu. – Ale że na pewno nie jest to powód do załamania się, to ci mogę obiecać – mówi stanowczo, a w jej głosie jest jakaś przytomność. Łucja milknie i spogląda uważnie na krzepką, pewną siebie kobietę,

stojącą przed nią jak góra, spokojną, mocną. Nieruchomą, ale pełną życia – życia jakiegoś innego rodzaju, Łucji niedostępnego, w którym ma się własne, niezawisłe prawo do decydowania o istotności katastrof. Takiego życia, które Łucja mogłaby wieść, gdyby nie jej obecne życie.

– Tylko skąd pani może wiedzieć, że... – pyta odruchowo, ale szybko urywa, nagle zmieszana dziwnym odczuciem, jak gdyby po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest dorosła. Że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby była tak autonomiczna, jak stojąca przed nią kobieta.

Śluzowa nie odpowiada, tylko ściska zimne dłonie Łucji w swoich, pełnych i mocnych.

*

Czasem musisz zaprzestać zmagania, bo nie na wszystko jest miejsce i pora. Do zamkniętej śluzy nie wpłyniesz, choćby nie wiem, jak mocno napierać. A ludzie i tak próbują i próbują, i chcą postawić na swoim, przekonani, że za wrotami jest dla nich może sowita nagroda albo odpoczynek w wygodnym fotelu. Skąd te pomysły w nich, nie wiem. Walczą, mocują się, jakby życie brali sobie na cel i chcieli je pokonać. I w końcu udaje im się, bo czas kapie chyłkiem, po troszku, ubywa go kropla za kroplą, aż w końcu ich woda całkiem się przeleje, a oni wielce zdziwieni pytają: „To już?”. Myślą wtedy w ostatnim zrywie, co też mogliby byli zrobić, gdyby nie poszli z życiem na wojnę. Można wtedy tylko powiedzieć: „Ba, a kto to wie?”. I zamknąć im oczy.

Zu Witkowska

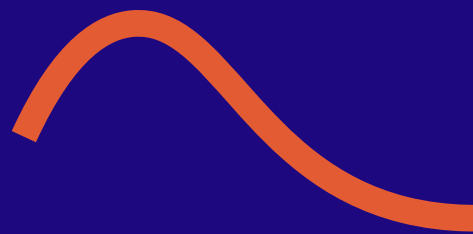
Śluza

Książka zostanie wydana w czerwcu 2026 roku nakładem wydawnictwa Znak

Śluza jest powieścią o zdradzeniu samej siebie. Łucja, żyjąca według scenariusza narzuconego jej przez rodzinę i społeczeństwo, spotyka na swojej drodze operatorkę śluzy, która twierdzi, że „niektórym wydaje się, że siebie to mogą trzymać na łańcuchu”. Poprzedzające każdy rozdział monologi pani śluzowej – mistrzyni życia – przeplatają się z historią Łucji, referowaną przez trzecioosobowego narratora stojącego za jej ramieniem. Napięcie, które tworzy się ze zderzenia dwóch bohaterek, stanowi oś powieści.

Wzorowa uczennica, przykładna studentka, pilna doktorantka, obowiązkowa naukowczyni: Łucja zrobiła w życiu wszystko, żeby uniknąć samej siebie. Przed nią pięciomiesięczna delegacja związana z prestiżowym projektem badawczym, realizowanym pod okiem znanego profesora Grahama, w który zaangażowanych jest kilka uczelni i przedstawiciele Big Pharmacy.

Nie wie jeszcze, że kiedy wróci do domu z ostatniego przed wyjazdem zebrania konsorcjum, znajdzie w skrzynce przesyłkę od szkolnego wychowawcy – list sprzed dwudziestu lat napisany do samej siebie, którego treść brzmi: „Cześć. Nie tłumacz się. Wiedziałam, że mnie zawiedziesz”. Podczas delegacji list będzie ją codziennie prześladował, a Łucja zacznie szukać wskazówek, co w jej życiu poszło nie tak.



Projekt badawczy zacznie schodzić na coraz dalszy plan, a ona sama powoli zacznie się rozpadać. Kiedy złapany na stopa kierowca śmieciarki zapyta ją, czy lubi swoją pracę naukową, nie będzie umiała odpowiedzieć. Przy innej okazji powie na głos, że została biolożką, bo ją przestraszano.

Nie wie też, że wynajęte na czas projektu mieszkanie znajduje się tuż nad śluzą, a wkrótce pani śluzowa stanie się centralną postacią w jej życiu. Łucja będzie patrzeć z podziwem na jej autonomię i wewnętrzną siłę. Kiedy poranna burza rozwieje po całej wsi zebraną do badań paproć, śluzowa będzie trzymać dłonie Łucji w swoich i pozwoli jej zrozumieć, że o istotności katastrof można decydować samemu.

A przede wszystkim Łucja jeszcze nie wie, że wkrótce zakwestionuje całe swoje życie i że powrót do siebie samej nie będzie prosty, a może w ogóle nie będzie możliwy.

Pozostałe teksty

Alicja Dusza – Soczewka

Helena Piecuch – Mamuna

Julia Śliwowska – Kameleon

Katarzyna Kalwak – Spust

Katarzyna Makarewicz – Nieważne

Ola Skalec – Solar

Rafał Masny – 16. urodziny Jordana Johnsona

Ula Idzikowska – Pstryk



Alicja Dusza

Czereśnie (Fragment)

Fragment: Soczewka

Bar jest ciemny i pachnie kuchnią. Napis na lustrze za ladą głosi: „Tylko grzybowa z łązankami i naleśniki z serem, ale za to codziennie”. Lampa byczy jak nachalny komar, dwóch podstarzałych panów gra w wista w półmroku, mocząc wąsy w pianie z piwa. Czuję się zaskakująco swojsko. Szczupła barmanka z ustami obrysowanymi brązową kredką obrzuca mnie ciekawskim spojrzeniem, ale jeszcze nic nie mówi. Ściągam dzinsową kurtkę i obciążam dekolt zielonej sukienki znalezionej w miastowym butik. Uderza mnie bezsens całej tej operacji, szukanie sukienki, przymierzanie jej i strojenie się do lokalnego baru, ale chuj mi tam, co jeszcze może się wydarzyć?

Ufryzowana ruda podchodzi do barmanki, zamawia „to, co zawsze”, co okazuje się wyrafinowanym drinkiem wódka pół na pół z colą i szczerze się dziwię, że nie podają jej tego w szklance z koszyczkiem. Za nią podąża siwa drobna kobieta. Wszystkie witają się wylewnie, chociaż z rozmowy wynika, że widziały się nie dalej jak dwa dni temu.

– Mam świetne łupy z ryneczku, zaraz wam pokażę. Bluzka z brokatem dla ciebie, Beatko!

Siadam przy barze i proszę o whisky na lodzie, chociaż wcale jej nie chcę, ale piwo będzie niedobre, wino ciepłe, a nie chcę zwracać na siebie uwagi drinkami. Dostaję srogą porcję – i czekam. Lustro naprzeciwko mnie odbija wejście do baru. Obserwuję wchodzących i siebie.

Czuję, jak świat zwalnia, zegar jakby nie pracował, może to wynik wczorajszego zażywania leków przez ostatni tydzień. Natychmiast postanawiam coś z tym zrobić, tak się nie da żyć, w tej ciszy, w tym limbo,

zawieszeniu. Nawet wolniej mi się myśli, pocałunek Irki zmieszany z szorstkim zarostem Marka ocierającym się o moje plecy kotłują się we mnie w zwolnionym tempie. Zastanawiam się, które z nich mam ochotę widzieć jeszcze raz. Lustro odpowiada „ją”, przez drzwi natomiast wchodzi on.

Ma na sobie czarny podkoszulek i spodnie pobrudzone cementem. Przechodząc przez próg, odwraca się do kogoś. Czyżbym właśnie miała spotkać Panią Markową, żołądek mi się ściska, ale przecież ktoś, kto ma kalie na ślubie, nie chodzi do wątpliwych barów w małych miasteczkach. Za Markiem wchodzi więc postawny mężczyzna o siwych, gęstych włosach, w koszuli z grubej białej bawełny z czarnymi guzikami i ciemną fastrygą. Spokojnie zamyka za sobą drzwi i daje się prowadzić do baru. Nasze spojrzenia spotykają się w odbiciu lustra i na chwilę zamieramy.

– Agata. – Dotyka mojego ramienia, ale tylko wierzchem dłoni, gestem nieznaczącym. Nic nie zdradza, żeby ta dłoń całkiem niedawno wędrowała przez moje włosy łonowe. To jest profesjonalista, myślę i spoglądam mu w oczy, obiecujące coś bardzo pysznego.

– Cześć, pomyślałam, że może cię tutaj spotkam. – Dotykam swojego sztywnego karku, starając się opanować własne ciało – I przy okazji poobserwuję trochę, no wiesz, tutejszych.

– A co, u ciebie pewnie nie ma takich wykwintnych miejsc? – uśmiecha się z ironią i, by usiąść przy barze, wyciąga portfel z tylnej kieszeni. – Wujku, zjesz coś może? Ja będę jadł grzybową. – zwraca się do swojego kompana, którego teraz oglądam oświetlonego mrugającym neonem. No proszę. Wujek Marka. Ile doskonałego materiału genetycznego kryje jeszcze ta rodzina? Wyciągam dłoń w jego stronę.

– Agata.

– Tadeusz.

Mocny, męski uścisk dłoni. Zapada cisza. Zaczyna boleć mnie głowa.

– Dorwałam świetny sztruks, o, patrzcie – mówi siwa z drugiej strony i nurkuje ręką w reklamówce. – Taki kobaltowy...

– To nie jest kobalt, tylko chaber – mówi barmanka.

Ruda przepuszcza materiał przez zgrabiałe palce.

– Dziewczyny, to jest lapis lazuli.

Marek porusza się niespokojnie.

– Grzybową i dwa piwa, Dorotko, proszę.

Płaci gotówką. Barmanka znika na chwilę i wraca z talerzem, po czym nalewa piwo i rzuca mi przeciągłe spojrzenie. Lakier na paznokciach Dorotki jest złoty, ale już złazi, jej bluzka z dekoltem w łódkę jest z poliestru, rzęsy przedłużane, ma wyblakły tatuaż na brwiach i kreskę z błędnie wyprofilowaną jaskółką. Wyobrażam sobie, jak się ubiera – starannie, dbając o szczegóły, widzę przecież, że kolczyki ze stali chirurgicznej pasują do pierścionka, może z pięćdziesięciu metrów uznałabym ją za zadbaną. Ale tak blisko widzę wszystko – kim ta kobieta chciałaby być, a nie może zostać, na co nie ma pieniędzy ani czasu, a jednak podejmuje trud, żeby jakoś się ubrać, gdzieś pracować, mieć jakieś życie.

Farmakologiczne spowolnienie sprawia, że widzę, jak godne pożalowania są wszystkie te przemyślenia, wypijam duszkiem całego drinka i proszę o kolejnego. Mam przecież złote kolczyki i nową sukienkę. Rzucam Markowi spojrzenie dokładnie w chwili, w której on siorbie zupę, a pojedyncza łazanka spada z łyżki z powrotem do talerza, zachlapując jego koszulkę. Usiłuje ją wytrzeć barową serwetką.

– Więc, Tadeuszu, co tu robisz? Mieszkasz czy jesteś przejazdem? – Mężczyzna odrywa się od meczu lecącego w telewizorze w kącie pomieszczenia.

– Jestem tu tylko na parę dni. Odwiedzam rodzinę, chciałem zobaczyć mamę na święta, załatwić jakieś sprawy urzędowe. I odwiedzić bra-

tanka, rzecz jasna. – Klepie Marka po plecach, co kończy się tym, że ten krtusi się borowikiem. – A pani?

Jest spokojny i uprzejmy. Zupełnie inaczej niż ja.

– Ma tylko jedną małą dziurkę, o tu! – Po mojej lewicy Beatka zachwyca się bluzką.

– Ale to nie szkodzi! Zaszyję i będzie jak nowa.

Wszystkie jesteście już podpite.

– Męża szukam. – Tym razem zupa wylatuje Markowi przez nos. Łapie garść chusteczek i zakrywając nimi twarz, ucieka do łazienki. Tadeusz śmieje się tak szczerze, że i ja się uśmiecham, chociaż nie chcę. – Poważnego męża, z mojego miasta rodzinnego, Tadeuszu, żeby zajął się mną i moim niedomagającym dziadkiem.

Dziwnie brzmią te słowa, od kiedy dziadek jest niedomagający? Gdy już to powiedziałam, to zdaję sobie sprawę, że od dawna.

– No cóż, piękna z ciebie kobieta, życzę ci powodzenia. Niestety nie znam żadnego kawalera, którego mógłbym polecić.

– A ty?

– Mnie nie chcesz.

Dopijam drugiego drinka.

– A może chcę?

Tadeusz uśmiecha się, tym razem ze smutkiem, pije piwo i mówi, że jest żołnierzem i musi wracać do pracy.

– To jest coś, w co nikt nie chce wchodzić. Nie mogę patrzeć na moich kolegów, co robią w pracy, co poza nią, na te czekające żony, na to życie podwójne... potrójne... albo służba, albo rodzina, kiedyś próbowałem, ale to wydaje się bardzo niesprawiedliwe.

– Dla kogo niesprawiedliwe? – pytam, ale on tylko rzuca mi spojrzenie i dopija piwo. Marek wraca, na koszulce widzę plamę z wody.

– Mam nadzieję, wujku, że mi nie bajerujesz koleżanki ze szkoły. Agata pracuje w dużej firmie i niedługo wraca do miasta.

Olśniło mnie, że ja mu imponuję, a on, głupi jak zwykle Marek Ogarek, nie widzi wcale mojej wewnętrznej nędzy duchowej, a jedynie przedstawicielkę wyedukowanej klasy średniej.

– Gdzie pracujesz, Agato? – Tadeusz nachyla się w moją stronę, żeby usłyszeć odpowiedź.

– W korporacji finansowej, zajmuję się planowaniem budżetu. – Z jakiegoś powodu te słowa wypowiedziane do Tadeusza nobilitują moją kiepską pozycję w tej firmie, która prawdopodobnie przynosi mi dwukrotnie więcej dochodu niż ciężka praca na kierowniczym stanowisku w tym mieście.

– Brzmi bardzo odpowiedzialnie – mówi na poważnie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam brana na poważnie. Marek robi się czerwony i rzuca łyżką na talerz.

– Ja też się zajmuję budżetami, wujku. Kierownik budowy musi znać się na wszystkim. Liczyć budżet. Zatrudniać ludzi. Pilnować wszystkiego. W zasadzie to jest jak bycie takim... – Telefon Marka dzwoni. – ...takim dyrektorem... – Rzuca nam zakłopotane spojrzenie i wychodzi, żeby odebrać. Tadeusz przesiada się na jego miejsce, bliżej mnie.

– Czemu ty się zajmujesz dziadkiem? Gdzie są rodzice?

– Mama jest w sanatorium i prędko nie wróci. A jeśli wróci, to nie na długo. Do dziadka przychodzi pielęgniarka dwa razy w tygodniu, ale mam wrażenie, że ostatnio jest gorzej. Dziadkiem opiekuje się pies.

– Pies?

– Pies. Mną też się opiekuje ten pies.

– A tata gdzie?

I wtedy mnie uderzyło. Nie mam pojęcia, gdzie jest mój ojciec. W zasadzie powinien być w domu. Był w domu, kiedy ostatni raz tu byłam.

– Wyjechał.

– Nie ma go – Tadeusz milknie i zamawia nam po kolejnym drinku. – Mojego też nie ma.

– Wyjechał? – pytam. Czuję jak jego kolano dotyka mojego uda. To miejsce mnie pali. Poprawiam włosy.

– Mój tata utopił się w jeziorze, jak byłem mały. Wyszedł z kolegami wieczorem i nigdy nie wrócił. Rano ojciec Marka znalazł jego ciało w wodzie.

– Przykro mi – odpowiadam, chociaż nie czuję, żeby jemu było przykro. Zakładam nogę na nogę, usiłując sprawić, żeby dotknął mnie jeszcze raz, tym razem nie mimowolnie. Głowa boli mnie już tak, że słyszę krew pulsującą w moich uszach, ale nie chcę wychodzić.

– To było bardzo dawno temu. Ale mama mówi, że wyglądam jak on. Całe życie się zastanawiam, kim był ten mężczyzna, którego mam w sobie. Wymyśliłem sobie za dzieciaka, że pewnie był wysportowany, skoro poszedł pływać w nocy. A kiedy byłem młody, to niewiele było zawodów, w których trzeba było być wysportowanym. Wojsko wydawało się dobrym wyborem. Przemyślanym. – Wypina klatkę piersiową.

– Takim wyborem, co ma początek i koniec. I sens.

Marek wraca i oświadcza, że musi pilnie wracać do domu, bo jego syn dostał gorączki.

– Więc, wujku, zobaczę, co w domu i spróbuję jeszcze podjechać, żebyśmy się zobaczyli. No i cześć, Agata.

I tyle, po mojej zielonej sukience.

Na chwilę zapada cisza, ale nie czuję jej ciężaru. Oglądamy z Tade-

uszem mecz, zamawiamy orzeszki i piwo. Zastanawiam się, jakie wybory doprowadziły mnie do tego baru, żebym siedziała w letnią noc z tym pięćdziesięciolatkiem, wujkiem mojego przypadkowego i niezbyt dobrego kochanka. Ruda prosi o trzecią wódkę, trzyma się mocno kontuaru. Plotkują, ale nie wiem o czym, bo jestem zbyt skupiona na tym, że Tadeuszowi spod wyprasowanej koszuli wystają siwe włosy na klatce piersiowej. W końcu on spogląda na mnie i ciemne oczy rodzi-ny Jastrzębskich prześwietlają mnie kolejny raz w tym tygodniu.

Podnosi dłoń i kładzie ją na moim karku. To nie pora na pocałunki, ale Tadeusz wcale nie pochyla się w moją stronę. Przez moment bada mnie przez skórę, a potem wpija się palcami w mięsień. Coś przeszywa mój układ nerwowy, a potem – nagle ból głowy znika, cały. Ulga spływa po mnie strugami, jakby ktoś mnie polał wodą. Nie mam nic do powiedzenia, dotykam szyi i patrzę na niego oniemiała.

Ujmuje moją dłoń i powoli całuje opuszek mojego palca serdecznego. Czuję na skórze jego ledwie widoczny zarost.

– I tak zakończymy – mówi i płaci za nasze drinki. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Wychodzi. Skóra na palcu mnie parzy. Przysuwam go do ust, po czym chowam twarz w dłoniach. Czuję, jak czyjeś palce zaciskają się na moim ramieniu. Otwieram oczy. To Dorotka.

– Niech pani się nie martwi – mówi. – Po ciąży też miałam dodatkowych parę kilo, ale zgubiłam. – I stawia przede mną, Beatką i siwą banię czystej wódki.

No ja pierdolę. Ale nie mogę ich zawieść. Pijemy na raz, ruda otrzępuje się jak pies. Ktoś wyłącza telewizor, zapada cisza. Nie pamiętam, kiedy nie dzwoniło mi w uszach. Czuję wciąż palce Tadeusza w karku, wbił się tak mocno, że z pewnością będę miała siniaki.

– Mam nawet taką nitkę za barem, żebyś sobie zaszyła tę bluzkę, kolor prawie identyczny – mówi Dorotka. Beatka klaszcze w dłonie z uciechy. – Ale nie mogę ci dać całej, bo mi jest potrzebna! Musimy się podzielić.

Wyciąga zza kontuaru grubą fioletową nić i podaje rudej wątek, trzymając wciąż szpulę. Beatka odmierza w rękach kawałek i obie zwracają się do siwej, która już trzyma w dłoniach wyciągnięte z torebki nożyczki krawieckie. Zamaszystym gestem odcina fragment nici.

Pora na mnie.

– Dobranoc, pani Doroto...– Podaję dłoń barmance – Pani Beato... – i rudej – I dobranoc, przepraszam, ale nie usłyszałam pani imienia – zwracam się do trzeciej.

– Atropos – mówi siwa i ściska moją dłoń, aż bieleją mi kłykcie.

– Co za niezwykle imię – rzucam na odchodnym i zakładam kurtkę.

– Papa był Grekiem... przyplynał tu w czterdziestym dziewiątym.

– Przez Gibraltar! – czka Beatka.

– Prawdziwym statkiem – potwierdza Dorotka i wyciera ladę ścierką w czerwoną kratę.

Wychodzę, powietrze pachnie ciepłem i świeżością, mam w głowie obraz jasnych, świeżych liści, pełnych wody i chęci życia. Uderza mnie, że znam ten zapach i to uczucie wczesnego lata, a znam je stąd – tylko to miejsce może tak pachnieć. Rozglądam się po jezdni, a kiedy odwracam głowę w drugą stronę, dochodzi mnie mokry wiatr znad jeziora. Tadeusza już nie ma, gdzieś mi się musiał skryć. Czeka mnie piękny spacer, myślę sobie. I chujowa reszta życia, przygaduje mętne odbicie w szybie przejeżdżającego auta.

Auto zajezdza mi drogę. Wysiada Marek.

– To nieprawda, że czeka mnie chujowe życie – mówię i wkładam rękę w kieszenie kurtki.

– Przecież tak nie powiedziałem.

Powiedział? Auto powiedziało.

– Czego chcesz? Idę już do domu.

– Odwiozę cię.

– Jezu, Marek, przecież piłeś. Przejdę się.

– Tylko jedno piwo. Musiałem jechać do domu. – Zagradsza mi drogę i znika zrównoważony kierownik budowy. Chwyta mnie za łokieć i dociska do auta. – Daj się odwieźć.

Jest mi w zasadzie wszystko jedno, podnieca mnie zapach jego potu zmieszany z dezodorantem i jawna desperacja. Jedziemy do mojego domu. Marek prowadzi monolog.

– Ja nie mogę tak zniknąć z domu, musisz zrozumieć, że ja tu mam życie, ty stąd wyjedziesz... – Prowadzi pewną ręką, wyprostowany. Opieram czoło o chłodną szybę. Przejeżdżamy przez zagajnik, widzę, jak locha z młodymi znika pomiędzy drzewami, uciekając przed światłami reflektorów. – Więc chyba rozumiesz, że nie możemy się już spotykać, to jest zbyt niebezpieczne, chociaż oczywiście bardzo cię lubię... – Przejeżdżamy przez most nad strumykiem. – Mam nadzieję, że zostaniemy jakoś w kontakcie, może następnym razem, jak przyjedziesz... – W końcu docieramy pod dom.

Przesiadam się na tylne siedzenie. Marek przez chwilę siedzi bez ruchu, po czym wstaje, żeby zdemontować dziecięcy fotelik obok mnie. Wrzuca go do bagażnika i siada obok. Milczymy przez chwilę, po czym sięga po zamek mojej sukienki, czuję chłód na plecach, kiedy ją rozpina, radzi sobie też z zapięciem stanika i pociąga mnie na swoje kolana. Sukienka spada z moich ramion. Czuję oddech na dekolcie, Marek przytrzymuje mnie i bada spojrzeniem. Wychylam się do przodu

i skręcam lusterko kierowcy tak, żeby mógł się w nim zobaczyć. Jęczy z zadowolenia. Potem dopiero pochylam się do pocałunku.

– Masz gumkę? – Prowadzę jego dłoń na tył mojej głowy, żeby chwycił mnie za włosy.

– Twoje cycki zajebicie skaczą – argumentuje Marek i rozpina pasek u spodni.

Dom jest pogrążony w mroku, telewizor w pokoju dziadka to jedyne źródło światła przesączającego się na korytarz. Napuszczam wody do wanny, rozbieram się, w lustrze widzę ślady zębów na dekolcie. Spinam włosy kłamrą, wchodzę do wrzątku, przecieram twarz wodą, czuję, jak maskara płynie po moich policzkach. Przeglądam wiadomości w komórce.

Irka z tej strony. W sobotę przypada moja kolej na sprzątnięcie kościoła. Pomyślałam, że zostawię małą z rodzicami i możemy spędzić trochę czasu razem, jeśli chcesz mi pomóc.

Śmieję się na głos. Oczywiście, jedynym logicznym krokiem po puszczeniu się z lokalnym przedsiębiorcą na tylnym siedzeniu jego auta będzie sprzątnięcie kościoła. To się nazywa balans, myślę. I odpowiadam:

Świetnie! O której się widzimy?

Wyciskam tabletki z blistra prosto do wanny. Woda okala mnie szczelnie. Obserwuję, jak krople spływają po brzoskwiniowych płytkach. Kark dalej trochę mnie boli, ale głowa już nie. Telefon brzęczy, mam nadzieję, że to Irka. Ale nie, niezapisany numer.

Pani Agato, zawsze może Pani do nas wrócić.

Kasuję wiadomość. Zanurzam się głęboko w moim wrzątku.

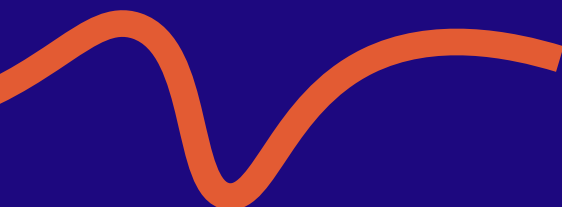
Alicja Dusza

Bohaterką powieści jest Agata, pracowniczka korporacji, która w związku z pogarszającym się stanem psychicznym zostaje wysłana przez psychiatrę na przymusowy urlop zdrowotny. Kobieta, z braku lepszych pomysłów, postanawia powrócić do małego miasta, w którym się wychowała. Rodzinny dom zastaje pusty – jeśli nie liczyć dziadka Andrzeja i starej suki pilnującej obejścia. Paląc papierosy i włączając się po mieście, odkrywa, co się zmieniło, odkąd ostatnio oglądała znajome ulice i ich mieszkańców.

Nuda i desperacja skłaniają ją do nawiązywania skomplikowanych relacji, które miewają niespodziewane konsekwencje. Począwszy od romansu z licealnym kolegą, przez zakochanie w eterycznej pracowniczce domu kultury, aż po niespodziewany związek ze starszym wojskowym, bohaterka zagłębia się w codzienność miasteczka, poważnie naruszając jej zasady.

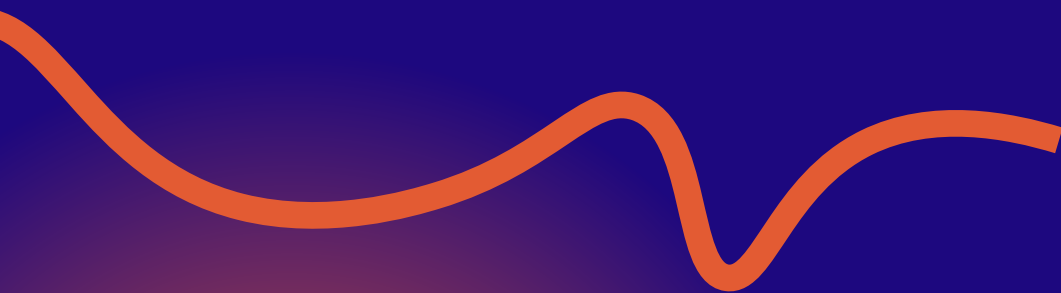
W miejskiej tkance bohaterka niespodziewanie zaczyna dostrzegać odbicia mitu, który zgodnie z odwiecznymi zasadami wskazuje bohaterom drogę działania i włacza ich w koleiny historii. Mojry pijące drinki w barze wieszczą nieodwołalne wyroki. Wejście do Hadesu otwiera się w piwniczce z warzywami. Nad jeziorem rozciągają się Pola Elizejskie. A nad Agatą ciąży pytanie: czy historia musi się powtórzyć?

Osią powieści są zmagania bohaterki, która musi skonfrontować własny obraz siebie z historią swoich przodków, życiem w małej miejscowości i niedawno zdiagnozowanym załamaniem nerwowym. W tym procesie towarzyszy jej apokaliptyczne przecucie końca, indukowane narastającymi stanami depresyjnymi.



Agata, klucząc między porzuconymi kochankami a porzuconym domem, odkrywa rodzinną historię, której (nierzetelnym) narratorem staje się dziadek. Mierzący się z demencją starszy mężczyzna opowiada o czasach swojej młodości, wyciągając na światło dzienne tajemnice rodziny. Pochodzenie Agaty okazuje się splecione z historią senego dotychczas miasteczka, a duchy przeszłości osaczają bohaterkę coraz bardziej, w miarę jak ta uporczywie szuka własnego odbicia w oczach kolejnych partnerów.

Kobieta mierzy się z pustką dosłownie i w przenośni. Podejmuje próby zapelnienia jej wspomnieniami dziadka i ożywienia opuszczonego domu. Przekonuje się jednak, że nie może odciąć się ani od domu, ani od przeszłości.



Helena Piecuch

Mamuna

premiera: sierpień 2026, Wydawnictwo Czarne

Prolog

Mieszkały koło polany, gdzie kiedyś wieszali złodziei. Zbudowały sobie szałas pokryty mchem, w środku sine klepisko i kamienie, na których skraplała się woda. Żyły tam we trzy, choć niektóre pamiętały, jak cała grupa składała się z dwudziestu.

Trudno było im samym w lesie. Zwłaszcza kiedy latem robiło się sucho. Chodziły po wykrotach i wąwozach, szukały wilgoci. Bez niej ich skóra stawała się szara, szorstka, a kolana i łokcie swędziały tak, że nawet nacieranie rdestem ptasim nie pomagało. Pomóc na to wszystko mogło jedynie niemowlę, miękkie i ciepłe, które przyciskałyby do swoich starych ciał, które ssałyby jak matkę.

Zimą starały się spać. Był to czas wesel, odpoczynku i płodzenia, a dla nich czas melancholii, kiedy godzinami patrzyły na zaśnieżone jodły i szukały w nich jakiegoś wzoru, byle tylko uciec od okropnego bólu, który nie był ani w ciele, ani w głowie. Chciały zasnąć, ale przewracały się z boku na bok na posłaniach z igliwia i wyciągały gołe odmrożone stopy na zebrane w czerwcu korzenie żywokostu. Sen nie nadchodził całymi miesiącami.

Kiedy śnieg zaczynał topnieć, tuż przed świtem schodziły nad strumień. Mgła wisiała ponad drzewami, dzieliła się na pasma i pojedyncze włosy, a potem wpadała do nurtu. Koło ich szałasów był głęboki banyor, przez który z hukiem przetaczała się woda. Tam chodziły prac bieliznę, zwłaszcza na przednówku, kiedy trzeba było rozbijać cienką skorupkę lodu długimi paznokciami. Chciały się przygotować na wiosnę i lato, a podczas prania zawsze najlepiej im się myślało. W banyorze czasem pojawiał się topielec – idiota owinięty długą pępowi-

ną, z czerwoną czapeczką na głowie – ale nie traktowały go poważnie. Wrzeszczały na niego, żeby wracał do swojej groty, a on w popłochu chował kolorowe wstążki, swój największy skarb, i nurkował w spienionej wodzie. Śmiały się z niego głośno i złośliwie, bo tak trzeba. Tak robiły od pokoleń.

Kiedy w lesie zakwitły żywce, a potem zawilce, nadchodził czas, by się wyprawić do wsi. Wcześniej myły się dokładnie w strumieniu, nacie-rały kaczym mydłem, a włosy pokrywały popielatą gliną. Patrzyły na swoje twarze ze smutkiem, ale żadna nie pamiętała, skąd on się wziął, chyba był w nich zawsze, jak język w ustach.

Przed pierwszym wyjściem do wsi pojawiała się niezdrowa ekscytacja, niektóre z nich krzyczały, inne zanosily się kaszlem i żuły koszyczki dziewięcisiłu. Nago i boso stawały przy bramie lasu wyznaczonej przez dwa kalekie świerki. Na polnej drodze w kałużach zbierały się żaby – ich ciała zmieniały kolor na niebieski i wszystkie oddawały się orgii, włączając jedna na drugą, a nieraz łącząc się w trójki. Trzymały się wtedy pazurami za karki i wrzeszczały, napęlniając powietrzem obwisłe fałdy skórne. Niektóre płazy były już martwe, a mimo to inne zawzięcie z nimi kopulowały. Jedna z żab wypełzła z kałuży i ruszyła do wsi.

To znaczyło, że już pora.

Szły jedna za drugą przez szare i nagie pola, niknąc na ich tle. Potem wspięły się na grzbiet przecięty drogą i dalej, na pooraną bruzdami łąkę. Dzień był pochmurny i zanosilo się na deszcz, opuchnięte chmu-ry wisiały tak nisko, że gdyby podskoczyć, można by dotknąć ich wilgotnego spodu.

Na rozstajach przy krzyżu spotkały planetnika, który wracał ze wsi. Włosy miał mokre, a z kołnierza kapala woda. Kiwnął im głową i ruszył w stronę zagajnika, gdzie łatwo mu było się wspiąć na sosnę i dalej do chmur. W jego plecaku podzwaniał lód, który musiał zebrać w dolnym biegu potoku, gdzie zawsze zalegał gęsty cień i pachniało łopianami.

Szły dalej po błocie, w którym zagłębiały się ich szerokie i płaskie sto-py. Nie patrzyły na siebie. Najmłodsza z nich, która przyszła nie wiado-

mo skąd, miała usta pełne czerwonych jagód przestępu, bo dzięki nim myśli były bardziej zrozumiałe i w środku też coś mniej bolało. Trzymała się na końcu i rozglądała uważnie, co chwilę poprawiając obwisłe piersi opadające na brzuch. Ta pierwsza wiosenna wyprawa była po to, żeby wypatrzyć dziewczynę w ciąży, najlepiej samotną, ważne, żeby to było jej pierwsze dziecko. Najlepiej bękart spółdzony gdzieś w szopie, może być przez księdza. Albo diabła. Takiego noworodka ludziom mniej szkoda, wiedziały o tym. Skoro matka nie miała ślubu, zasługiwała na karę, z tym się zgadzała cała wieś.

Żaba, która pełzła z nimi od leśnej bramy, przyjęła teraz postać kobiety i szła do domu, gdzie chłop, stary Widłok, miał kołtun i czekał, aż ten sam odpadnie. Bez słowa skręciła w boczną drogę i ruszyła w stronę gospodarstwa. Dzień jeszcze nie wstał, ale musiała się śpieszyć, jeśli chciała odciąć chłopu kołtun we śnie.

One tymczasem weszły do wioski. Powoli zapalały się nieśmiało i blade światła, ludzie wstawali i zaglądali do stajni. Czarny pies wybiegł na drogę i obwąchiwał je dokładnie, tę najmłodszą polizał po łydce, a potem kichnął i odbiegł z podkulonym ogonem. Stały na błotnistym placu otoczonym domami i zaglądały w żółtawe okna. Beblok obudził się na swoim barłogu i wyjrzał przez okno. Zobaczył je i przeklął, a potem znów się położył. Krowa mu zdechła jesienią i nie miał już do kogo wstawać. Nie miał rodziny, bo młoda żona zmarła dawno temu na gruźlicę. Nie poszedł przestrzec ludzi we wsi, a zresztą nikt by mu nie uwierzył, bo śmierdział wódką i przepoconym kozuchem, w którym sypiał.

One tymczasem wymieniły spojrzenia zaczerwienionych z podniecenia oczu, oblizwały fioletowe wargi i rozstały się. Każda ruszyła w inną stronę, ale żaden pies nie zaszczekał i tylko koty wychodziły im na spotkanie, ale po chwili odbiegały, tuląc uszy.

Najmłodsza z nich ruszyła na północ. Sine stopy grzęzły w błocie, zaczęło padać. To dobrze. Co roku czekała na taką pogodę. Droga była pusta, a domy stały w napięciu po obu jej stronach, cofnięte w głąb, jakby chciały udać, że ich tu nie ma. Nikt nie wybiegł na ganek ani

nie patrzył przez podlane światłem okno. Była sama, tylko ten chlupot i szum. Zimno przynosiło jej przyjemny dreszcz, dzięki wilgoci jej skóra błękitniała. Podobała się sobie.

Doszła na skraj wsi, nieco dalej był jeszcze jeden dom. Ludzie we wsi źle o nim mówili, ale dla niej był taki sam jak inne. Spojrzała: za szybą w kuchni coś zajaśniało. Obeszła budynek. Za nim była szopa na drewno i dalej już tylko kałuże, a w nich znów żaby rezonowały swoim wulgarnym śpiewem – rozumiała każde ich słowo. Zbliżyła się do okna. W środku siedział mężczyzna pochylony nad stołem. Nie potrafiła rozpoznać, czy jest młody, czy stary. Szyba była zaparowana, w środku na kuchence grzał się biały czajnik. Tych ludzi nie było tu rok temu. Czowała, że nie są stąd, wokół mężczyzny leżały rozłożone książki, żarówka krztusiła się resztkami prądu.

Wspięła się na palce i węszyła. Jej wydatny nos z szerokimi nozdrzami potrafił wyczuć ten szczególny zapach krwi ciężarnej, taki słodki, miodowy, otumaniający. Gdy wybrała kobietę, towarzyszyła jej codziennie, podglądała ją, stawała się jej niewidzialną przyjaciółką. Kobieta nie czuła się więc samotna, słyszała głos, który raz ją chwalił, a raz z niej szydził – był jak głos matki, który wabi po to, by dzielić witką po łapach.

Teraz podeszła do wschodniego okna i łagodnie zawołała kobietę. Płoj, płooj do mnie. Psewzimko. Panno. Płoj łobocyc. Płoj pogodoc. Płoj tu, pikno panno. Paradnico. Coś ci spokozuje. Coś ci dom. Ino płoj tu.

W domu coś zachrobotowało, potem zaskrzypiały deski podłogi. W sieni zapełgało słabe światło i drzwi się uchylły. W szczelinie pojawiło się szare oko.

– Czego chcesz? – spytało oko.

– Płoj ze mno. Spokozuje ci coś. Łobocys samo.

– Nie rozumiem cię – przyznało oko ostrym tonem.

– To płoj. Samo łobocys. Zrobis łoglyndziny.

Drzwi trzasnęły sucho. Ona odeszła od drewnianej ściany domu i za-

nurzyła nogi w kałuży. Cisza szumiała wokół.

Po chwili na próg wyszła kobieta z szarym okiem, drugie było zielonkawe z ciemną obwódką. Miała na sobie wełniany sweter, a ona czuła jego owczy, duszący zapach.

– Czego chcesz? – powtórzyła kobieta.

Ona popatrzyła na jej lekko zaokrąglony brzuch. Tuż za połowę ciąży, pomyślała, to dobrze, urodzi się w czerwcu, dwunastego. Milczała i chwytła zapach w nozdrza. Kobieta się nie bała, jej krew była pełna... ufności.

– A ty czego chcesz? – spytała ona, robiąc krok w tył. Błoto mlasnęło, za domem wzmógł się żabi śpiew pełen przekleństw.

– Czy... możesz to zabrać? – Kobieta rozpięła sweter i wskazała okrągły brzuch.

– Bżuk musi samo donosać.

– A potem?

– Potym łobacym. Ino płoj ze mno tera.

Kobieta zmarszczyła brwi i owinęła się swetrem. Spojrzała ponad głowę tamtej, na miękką linię lasu i szare niebo z niemą groźbą zwisające tuż nad drzewami.

– Ja... chciałam to wyjąć. – Jej głos dochodził z daleka.

– Musi zacekoć – odparła ona. – As samo wnijdzie. A tera płoj.

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę i popatrzyła bez lęku prosto na nią: na jej sklezione gliną włosy, na długie puste piersi i stopy o owłosionych palcach z poźółkłymi paznokciami.

– Idź stąd. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

Ona ani drgnęła, jej pokryte bielmem oczy wlepiały się bezmyślnie w kobietę.

– Słyszysz? Idź stąd. Dziecka ci nie dam, chciałam, żebyś zabrała ten brzuch, rozumiesz? Miałaś zabrać brzuch...!

Gdzieś nad polem głupio zakwilił skowronek, ale zaraz urwał, jakby się zorientował, że to nie dziś. Znów cisza. Kobieta splunęła pod nogi, a ona stała, przejęta nagle zapomnianym uczuciem, gdzieś z głębi, pierwotnym, z poprzednich żyć, z czasów, gdy była jakąś częstką unoszącą się w lodowatej kałuży. Bała się.

Kobieta tymczasem weszła do domu. Minęła kuchnię i weszła na górę. Położyła się na łóżku i mocno nacisnęła brzuch, w którym spało dziecko. Nie miała już łez, został tylko gniew – zupełnie suchy, parzył ją od środka.

Jej ostatnia nadzieja zawróciła i mokrą drogą ruszyła na południe.

Ona, najmłodsza mamuna z tych, co mieszkały koło polany, gdzie kiedyś wieszali złodziei, tej wiosny nie znalazła żadnej kobiety, której mogłaby odebrać dziecko. Nie mogła podzucić w zamian odmieńca, którego ludzie poiliby wódką ze skorupki jajka, a potem okładali pokrzywami, byleby wróciła i oddała niemowlę. Nikt nie skakał przez pryzmę gnoju, żaden parobek bękart spłodzony przez wikarego. Tej wiosny nie tuliła ciepłego ciała, w którym krążyło świeże życie. Zostało jej tylko własne puste ciało, piersi bez mleka, z których już nikt się nie napije.

Wioletta

Wysiedliśmy z autobusu wprost na drogę z błotnistym poboczem. Śnieg leżał nieregularnymi plamami na polach w górze i przykrywał zębatą linię lasu. Pachniało pięknie: wilgocią, ziemią, gliną.

To miejsce było mi zupełnie nieznanne i cieszyłam się, że każdy ocenia mnie po raz pierwszy, że w mojej kartotece pojawiają się pierwsze słowa i liczby. Na szczęście udało nam się przed wyjazdem kupić kalosze, bo błoto było wszędzie, ale szybko przestałam zwracać uwagę na jasne zaschnięte plamy na nogawkach spodni. Zresztą nie wiedziałam, jak długo będę je jeszcze nosić.

Wkładałam więc co rano te kalosze i chodziłam po nowych ścieżkach. Każdy krok zbliżał mnie do zadomowienia się w tej okolicy, więc starałam się przemykać bokiem, żeby nikt mnie nie zauważył. Las był pełen zielonego światła, z wykrotów wyskakiwały sarny i zające. Patrzyłam na ich szarą sierść znikającą między nagimi pniami i zastanawiałam się, czy czują się podobnie do mnie. Być może każda z samic miała w sobie pięć albo dziesięć małych żarłoczych ciałek.

Kiedy zaszłam z Jerzem w ciążę, byłam pewna, że poronię. Tak jak moja matka. Byłam szczupłą, leczylam się na anemię, do tego wrodzona wada serca i powikłanie po operacji w postaci zwężenia pnia płucnego. Dziecko musiało się odkleić i ze mnie wypaść.

Ale Jerz był zachwycony. Oczy mu się śmiały, nawet kiedy czytał te swoje książki o żabach. Współczułam mu, a to współczucie wyglądało jak zakochanie, nie mogłam ich od siebie odróżnić. Słowa, które wypowiedzieliśmy, mijały się i leciały gdzieś dalej. Zastanawiałam się, do kogo trafiały. Żal mi było moich, chciałam, żeby wróciły, mogły mi się jeszcze przydać.

Nie poroniłam. Kiedy brzuch zaczął być widoczny, przestałam chodzić na zajęcia. Nie chciałam, żeby ktoś się dowiedział, zwłaszcza Szlaj, młody asystent. Zanim poznałam Jerza, byłam pewna, że jesteśmy na

skraju romansu. Szlaj miał czarne zmarszczone brwi i przez cały rok nosił skórzaną kurtkę. Podobał się wszystkim dziewczynom z roku, ale wybrałby mnie.

Po trzecim roku pojechaliśmy na plener. Szlaja nie było, ponoć jego żona poważnie się rozchorowała, mówiło się, że na głowę. Dlatego zajęłam się Andrzejkiem, zdolnym rzeźbiarzem. Sporo pił, a po alkoholu albo się awanturował, albo płakał. Nudziłam się. Wtedy pojawił się Jerz. Chudy i blady chłopak, student biologii, który prowadził tam badania terenowe. Zaprosił mnie na spacer nad rzekę. Szłam pół kroku za nim, przyglądając się jego dużym dłoniom. Okazały się ciepłe i suche. Niestety często grzebał nimi w mule, szukając skrzeku, odchodów płazów czy czegoś jeszcze. Potem dokładnie mył ręce, jak lekarz, podwinawszy rękawy aż po łokcie.

Kiedy pierwszy raz mnie dotknął, poczułam się jak dziecko kołysane przez matkę.

We wrześniu Jerz odebrał dyplom i zaproponowali mu pracę na uczelni. Zaczął doktorat, miał badać małe żabki z żółtymi plamistymi brzuchami. Pod wpływem stresu przewracały się na plecy i wyprężały ciało. Jerz szukał martwych osobników i kroił je, a potem szukał w ich wnętrznościach pasożytów. Chyba tego miała dotyczyć jego praca badawcza. Otwierał te maleńkie brzuszki i wątróbki. Rozczulało mnie to.

Zazwyczaj wstawał o czwartej rano i jeździł autobusem za miasto. Nigdy z nim nie pojechałam. Wolałam sobie wyobrazać, jak chodzi sam po szarych polach, pojedyncza sylwetka między kałużami. Nie zdawał sobie sprawy, jakie uczucia wywoływał we mnie ten widok.

Kiedy wracał, jego szare ruchliwe oczy się śmiały. Przytulał mnie mocno, szczerze. Pomiędzy nami był brzuch z dzieckiem w środku.

Kiedy zaproponował, żebyśmy się przenieśli na wieś, zgodziłam się bez zastanowienia. Tak samo było ze ślubem. Wszystko zaczęło się od ciąży, która nie znikła. Ta ciąża to grzech, wiedziałam o tym. Grzech jest czymś, co przynosi cierpienie. Teraz czas na karę. Wiedziałam, że będzie trwała przez długie lata. Na myśl o tym zalewała mnie wielka, trudna do opisanego czułość.

Dlatego już nigdy nie poszłam na uczelnię. Jerz dogadał się z jakimś gospodarzem i po miesiącu mogliśmy się wprowadzić do G., do dużego domu na skraju wsi. Mój mąż był szczęśliwy, widać to było w kąciakach oczu i ust. Większość rzeczy przywieźliśmy pekaesem, zresztą niewiele mieliśmy. Guzik szarego płaszcza w jodełkę rozpiął mi się na brzuchu, kiedy szliśmy z przystanku do naszego nowego domu. Jerz szedł przede mną, włosy podkręcały mu się na karku. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Mój ojciec powiedziałaby, że to niechlujne, matka spuściłaby oczy. Może tak jak ona nie miałam własnego zdania.

Kiedy weszliśmy do środka, uderzył mnie zapach wilgotnego drewna. Wnętrze było puste, nie czułam w nim niczyjej obecności. Światło, które wpadało przez okna i osiadało na blacie z laminatu, było chłodne. Stałam w kuchni przed niedokładnie umytą szybą. Widziałam przyproszone śniegiem łąki i ciemną linię lasu, a nad tym ciężkie niebo.

Wieczorem położyliśmy się na posłaniu z koców, bo materac jeszcze nie dojechał. Dziecko jak na złość spało w dzień, a w nocy się budziło, próbowało wymyślać zabawy. Ogień w piecu trzaskał i szumiał, przez szpary w blasze rzucał na sufit jasne plamy. Nie chciałam zasypiać, pierwsza noc w nowym miejscu jest przecież tylko raz. Melodia z paleniska zdawała się przekazywać jakąś wiadomość, ale nie umiałam jej odczytać, choć wydawało mi się, że jestem coraz bliżej. Wtedy zasnęłam.

Noce w G. były wielkie, nakrywały nas jak obrus. Gwiazdy nie mrugały, tylko gapiły się na nas zimno, pogardliwie. Czułam ich spojrzenia, kiedy rozpakowywałam pudła z książkami Jerza i malowane talerze, które dała nam jego matka. Te gwiazdy się ze mnie śmiały. Mimo to lubiłam bezsenne noce, bo byłam sama, mogłam na chwilę porzucić moją rolę i być tamtą sobą. Zastanawiałam się, czy było to widać na mojej twarzy, w ciele. Może dziecko wtedy zniknęło?

Kiedy byłam pewna, że Jerz głęboko śpi – oddychał cicho i miarowo jak szwajcarski pociąg – wstawałam z łóżka. Stopy dotykały szorstkiej sosnowej podłogi, a ja mówiłam sobie w myślach: Wioletta wróciła. Dla Jerza zawsze byłam tylko Wiolą. Potem siadałam przy stole pod nisko

Tata

Cyclum vitae

Wioletta znaczy fiołek.

Najczęstsze choroby fiołków to fytoftorozą i szara pleśń. Mój chorował na coś innego.

Zorientowałem się późno, chyba kiedy kończyłem habilitację. Jeśli Wiola miałaby być rośliną, jej korzenie musiały już jakiś czas temu zająć zgnilizną. Mieszkaliśmy w G. od dawna, po pierwszym roku straciłem rachubę i przestałem liczyć. Moja żona zapadała się w głąb. Patrzyłem na nią i zbierałem materiał badawczy, układałem sobie w myślach objawy. Pierwsze, co zauważyłem, to skórki przy paznokciach. Być może onychofagia. Były ogryzione do krwi, suche, opuszki zaczerwienione. Włosy nie były czarne jak kiedyś, zdawały się suche i sypkie jak popiół, a grzywkę zaczesywała do tyłu, odsłaniając blade czoło z pionową zmarszczką. Całe jej ciało zdawało się tracić gęstość. Piersi były ciężkie i zmęczone, oparły się więc z cichutkim westchnieniem na miękkim białym brzuchu. Zaokrąglone ramiona pochylały się do przodu. Potem jej oczy zmieniły kolor: jedno stało się szarobrazowe jak woda w kałuży. Drugie zyskało zielonkawą obwódkę.

Oczywiście, że to były symptomy choroby, nie trzeba być lekarzem, żeby to zauważyć.

Może zaczęło się już, kiedy była w ciąży? Wyrzucałem sobie, że nie zareagowałem od razu. Byłem wtedy zajęty pracą, musiałem przecież jakoś zarobić na nie obie, na nas troje, na dom, na... Wiola nie zamierzała pracować, zresztą – jak, gdzie? W G. nie było pracy dla niedoszłej konserwatorce sztuki.

Kiedy byłem już pewny, chciałem ją zabrać do lekarza. Chciałem z nią jeździć po wszystkich lekarzach. Było w niej coś zepsutego. Kiedy pytałem, jak się czuje, z tym samym sztywnym uśmiechem odpowiadała, że jest tu bardzo szczęśliwa. Wypowiadała to słowo z jakimś obrzydzeniem, jakby było zimnym przedmiotem, który chciała jak najszybciej wypluć.

Dlaczego miałaby mnie okłamywać?

Potem zwykle nadchodziła wiosna, żaby moczarowe miały okres godowy, a ja znikąłem. Czasem spałem na skraju lasu: głowę kładłem na sztywnej górskiej trawie, a nogi wśród mchu, między krzakami borówek. Niebo nade mną wysokie, lodowate. Chmury gnały po nim szybko, odsłaniały milczące złośliwie gwiazdy, które nie chciały mi nic powiedzieć.

Coraz rzadziej używałem jej imienia. Przestało do niej pasować. Patrząc na nią, czułem ból gdzieś w okolicy gardła. Wołałem zawiesić wzrok na oknie, tam gdzie samotna grusza wyznaczała granicę wsi. Czułem się bezsilny i po pewnym czasie ta bezsilność zaczęła się przesączać do innych czynności, innych dziedzin życia. Tak sobie to potem tłumaczyłem. Wiola oddzieliła się ode mnie, stała się osobna i obojętna. Przyjąłem to tak samo jak wszystko inne.

wiszącą lampą i przeglądam książki, które były w tym domu, zanim tu przyjechaliśmy. Wcześniej mieszkał w nim weterynarz, ale się powiesił. W nieużywanej stajni. Dowiedzieliśmy się tego od sąsiada, który przyszedł do nas tydzień po przeprowadzce z butelką wódki i oskubaną kaczką. Polubiłam go. Nazywał się Władek Myszogład.

W książkach były modele anatomiczne, rysunki różnych organów, w innych opisy substancji zawartych w lekach. Poza tym kilka powieści, w tym *Zazdrość i medycyna*. Zastanawiam się, kim był weterynarz, bo poza książkami chyba nic po nim nie zostało. Nikt go nie wspominał. Pewnie też nie był stąd. Nie znałam jego imienia ani nazwiska, chyba nie miał rodziny.

Ale ja ją miałam.

Siedziała w moim brzuchu.

Ruta

Ucieczka z raju

Obudziłam się bardzo wcześnie rano. Z łóżeczka widziałam kołyszącą się gałąź na skrawku jasnego nieba. Obok mnie leżała pluszowa krowa Pafnuca. Tata spał, słyszałam jego oddech i pochrapywanie. Nie zorientował się, że odległości między balaskami są na tyle duże, że bez problemu mogę się między nimi precyzyjnie przemieszczać. Oczywiście cała operacja wymagała ostrożności, ale udało mi się wyjść z łóżka i wymknąć przez uchylone drzwi sypialni. Przed wyjściem zerknęłam jeszcze na tatę – starego człowieka nakrytego po szyję kołdrą. Seledynowa poszewka z kory pachniała jajkiem na twardo.

Mama spała na dole, zajmowała żółtą wersalkę. Przejście koło niej byłoby znacznie trudniejsze, ale na szczęście mogłam się wymknąć tylnym wejściem. Jej wersalka wyglądała jak samotna łódź ratunkowa. Jak długo już tam dryfuje?

Wolno uchyliliłam drzwi, całe ciało miałam napięte. Czy robiłam coś złego? I skąd to przekonanie? Problem polegał na tym, że choć niedawno się urodziłam, umiałam już chodzić i rozumiałam niemal każde słowo. Ukrywałam to przed rodzicami, Izą i Agatą. Czekałam na odpowiedni moment, żeby się ujawnić. Nikt nie mógł mnie teraz zobaczyć.

Wyszłam na taras, ceramiczne płytki były zimne i mokre, więc zbiegłam na trawę. W krzaku jaśminu tkwił jeszcze zielony mrok, niżej przy potoku unosił się strzęp mgły. Żaby spały zagrzebane w mule. Słońce niedawno wstało, udało mi się uchwycić ten moment, kiedy dzień był jeszcze zupełnie nowy, nieużywany.

Czekałam, aż się pojawią.

Poranna cisza była pełna szumów i szelestów, a mimo to zdawała się idealna, czysta. Jakby trwała tam tylko dla mnie, bez świadków. Zeszłam w stronę potoku, który płynął tuż za przegniłym płotem. Stałam na granicy ogrodu i zarośniętego śmietniska, z którego wystawały połamane płyty winylowe i emaliowane garnki.

Usłyszałam głos, który rozdarł ciszę jak czystą kartkę.

Były tam. Każda z nich tak nieskończenie wspaniała – fioletowa babczka z maślanym kremem udekorowana wielkimi falbanami z tiulu. Brokat sypał mi się w oczy, w tle rozbrzmiewały szklane dzwoneczki i głos ociekający słodyczą. Śpiewał dla mnie, wołał mnie: „Płooj, płooj. Płoj do mnie, bóncko. Płooj, chowanico”.

Wszystko migotało i lśniło, jakby za płotem otwierał się inny świat, z innymi mamami, siostrami i domami. To był świat pełen miękkości, łagodnych dźwięków, świat, w którym na śniadanie jadło się pączki z lukrem. Patrzyłam na nie, jak tańczą, w słońcu skrzyły się ich szklane witrażowe skrzydła i sukienki z fiołkowego batystu. Wyciągały do mnie drobne, smukłe dłonie z wrzosowymi paznokciami.

Ale ja stałam za zmurszałym płotem i się nie ruszałam. Zanim tam pójde, chciałam jeszcze przez chwilę popatrzeć. Wokół roznosił się oszalamiający zapach niecierpków, więc usiadłam na wilgotnej ziemi. One tymczasem – teraz widziałam, że były trzy – podleciały do mnie. Oparły się o zielonkawę sztachety i patrzyły szeroko otwartymi oczami. Długie, wywinięte rzęsy poruszały się jak skrzydła.

– Płoj z nami. Płoj do nasego domu. Pobowiamy sie. Bydziemy tajcować. Domy ci skrzydła.

Muzyka wypełniała mi głowę szczelnie jak fioletowa wata. Spojrzałam na nie z bliska. Stały teraz w wysokiej trawie, która rosła za płotem, i między źdźbłami zauważyłam ich stopy. I może to był pierwszy raz, kiedy to poczułam: jakby w wilgotne dno mojego brzucha uderzył zimny owalny kamień. Plum. Cały świat oddzielił się ode mnie warstewką lodu. Ich stopy były duże, owłosione i pokryte niebieskawą gliną. Pożółkłe paznokcie wystawały poza paluchy z węzlastymi stawami. Zemdliło mnie.

Podniosłam wzrok. Nagle muślinowe falbany przestały się wydawać gładkie, gdzieniegdzie prześwitywała porowata skóra obsypana rzadkimi włosami. Szyje były silne, z nabrzmałymi żyłami, a piersi ciężkie jak worki ziemniaków, które Władek Myszogład pakował do przyczepy.

Zamrugałam, ale nic się nie zmieniło. Strumykiem płynęły ścieki, na brzegu siedziała nieruchomo duża ropucha. Patrzyła na mnie złotymi oczami mędrca, jakby nie dowierzała, że dałam się nabrać.

– Idźcie stąd! – Głos rozbił ciszę, jej odłamki spadły na trawę.

Ale one ani drgnęły. Najmniejsza pochyliła się nade mną. Wyciągnęła dużą, spracowaną dłoń.

– Płój się pobawiać – powiedziała łagodnie, ale jej głos był chropowaty.

Nie odpowiedziałam. Znów nie umiałam mówić.

– Won stąd! – wrzasnęła mama za moimi plecami. – Nie chcę was tu więcej widzieć, rozumiecie?!

Wszystkie uniosły wzrok. Nie widziałam już skrzydeł ani tiulu. Były to trzy brzydkie i stare kobiety o obwisłych piersiach i długich małych ramionach.

Mama podeszła do mnie, była boso. Szarpnęła mnie za rękę i wzięła w ramiona, a potem ruszyła w stronę domu po chłodnej trawie. Nie obejrzałam się za siebie. Otoczyła nas zwykła poranna cisza.

Cienki lód, który oddzielał mnie od świata, nie zniknął.

Helena Piecuch

Wioletta nie chce tego dziecka.

Mamuna, leśny demon, nie chce go zabrać, dopóki się nie urodzi.

Jerz znika na polach wśród kałuż, szuka płazów gatunku *Bombina variegata*.

Wioletta i Jerz przyjeżdżają do G., wsi na skraju gór, do której prowadzi jedna droga. Ludzie stamtąd mówią, że w lasach kryją się demony, a pogodę trzeba zamawiać u planetnika. Ale Wioletta i Jerz nie rozumieją praw, które rządzą tym światem. Są ludźmi z miasta: ona niedoszłą konserwatorką sztuki, on – herpetologiem, który w G. ma prowadzić obserwacje kumaków górskich. Wioletta jest w ciąży, choć nigdy nie myślała, że zostanie matką. Mimo to postanawia się poświęcić macierzyństwu i zrywa kontakty z rodziną, znajomymi i akademią. To jej pokuta za popełnione błędy.

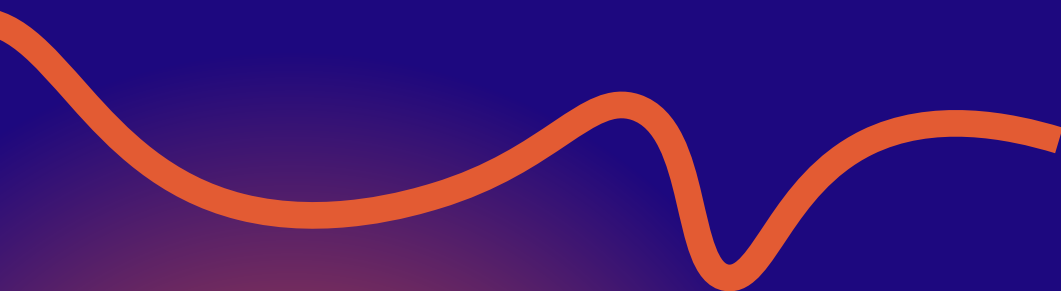
Pewnej zimowej nocy Wioletta ma sen, przez którego pryzmat interpretuje kolejne wydarzenia. W ciągu siedmiu lat rodzą się trzy córki Wioletty i Jerza: Iza, Agata i Ruta. Iza staje się przedłużeniem matki. Agata zostaje przez nią odrzucona i oddana pod opiekę ojca. Ruta jest niczyja.

Jerz ucieka z domu na konferencje herpetologiczne i bezradnie obserwuje, jak jego żona się zmienia, zapada, osuwa. Tymczasem ona chodzi po polach, zbiera zioła i zastanawia się, kiedy to wszystko się skończy. Szuka pocieszenia w lokalnych zwyczajach i czeka na jakiś sygnał. Jej świat się przechyla, zaczyna się do niego wlewać to, co nierzeczywiste.

Kiedy znika Staszek, wiejski dziwak, życie rodziny traci pozory normalności.

Po latach ojciec wzywa córki, a one po kolei otwierają drzwi do domu, które wydają dobrze znany zaśpiew. Muszą wykonać ostatnie zadanie – może spłacić dług, a może odebrać to, co im się należy.

Mamuna to polifoniczna opowieść snuta przez pięcioro członków rodziny. Ich narracje tworzą studium braku porozumienia. Rodzina składa się z obcych, czasem wrogich wobec siebie osób mówiących innymi językami. Na krańcach tej historii przemykają czarownice i podzuczone przez mamuny odmieńce, a niepokojąca przyroda wlewa się do domu i nie pozwala zasnąć pod niebem pełnym uparcie milczących gwiazd.



Julia Śliwowska

Kāmeleona



Jedną ręką Kama karmi Lenkę łyżką z musem mango, a drugą pisze do szefa, że dzisiaj musi zdalną, bo ma *emergency*.

Kama mówi: „Mamusia będzie za kilka godzinek”, a Lenka mówi: „Tak”, i jakoś się dogadują. Kiedy Kama powtarza: „Nie patrz w laptopa” i zakrywa ręką ekran, Lenka śmieje się i gryzie jej palce, ślina wymieszana z musem mango spływa na klawisze klawiatury. Gdy Kama idzie do łazienki, Lenka siada na nocniku obok niej, a kiedy Kama pracuje, Lenka walczy o jej uwagę, rzuca w kąt wszystkie zabawki, które zostawiła dla niej mama.

Kama zdaje kilka wcześniej skończonych tłumaczeń, w których nie ustawiła trybu śledzenia zmian. Przyjmuje kilka kolejnych i domawia szczegóły z pośrednikami. Generalnie: rozciąga czas. Robi z niego gumę, którą właśnie Lenka żuje, zasadza na paluszku, wydmuchuje w niej nieudolnie bąble. A potem zostawia na kanapie i idzie gdzieś dalej, nie oglądając się za siebie.

Małe plecki oddalają się, małe nóżki człapią na boki. Na wprost pojawiają się myśli: *jesteśmy takie podobne, takie same*.

Tylko ja jestem starszą wersją, którą zapomnieli zapdejtować, która zapomniała zapdejtować się sama. Mam może dłuższe nogi, ale też chodzę krzywo. Zakrzywiony kręgosłup, „od siedzenia na łóżku” – tak mówi mama. Trochę więcej liter w pełnym imieniu, choć mniej w krótszym, używanym przez wszystkich mi bliskich.

Kiedy myślę o tym, jak blisko jestem z mamą, od kiedy zwiększyła się między nami odległość, nie widzę różnicy. Zawsze byłam słaba w geografii, lokalizację i lokowanie uczuć. Żółty ludzik zwisa gdzieś w połowie linii między domem rodziców a mieszkaniem rodziców, pętla zaciska mu się na szyi. Ruszam palcem po telefonie, próbując go wyswobodzić. Szukam najlepszej trasy.

Rozpoczyna podróż od kanapy do łazienki, odkręca wodę w kranie, kiedy Lenka siada na sedes. Siiii – mówi i odwraca wzrok, kiedy śmieje się, piszczy: nie patrz.

Ta sama mama, ta sama woda, cienkie brązowe włoski, tej samej długości i więcej podobieństw: zostawianie, nieoglądanie. Tylko tata nie jest ten sam.

Nie oglądała się za rodziną, gdy postanowiła zamieszkać sama – nie muszę tego mówić, widzi to w ich spojrzeniu.

Kiedy zaproponowali, żeby została w ich mieszkaniu, mogła przecież powiedzieć, że nie, że coś własnego znajdzie, nie będzie im od pensji odbierać. Mogła też powiedzieć, że po co się mają rozdzielać, że ona chce być przy pierwszych krokach malutkiej, pomagać spracowanej mamie, odciążać Rafała wiecznie zajętego firmą. Mogła wymyślić tysiąc powodów, żeby zostać. Albo tysiąc, żeby odejść. Ale nie powiedziała nic z tego: powiedziała tylko, że chętnie.

Kiedys była ich trójka, zawsze razem, w za ciasnym mieszkaniu. Ale to było dawno, w czasach, kiedy Kama nie знаła tęsknoty, pakowania walizek i awantur o weekendy. Teraz są/żyją rozdzielni na trzy domy, jedną rodzinę i dwie dryfujące jednostki.

– Wiesz, właściwie to byłabyś wielką pomocą dla nas – mama powiedziała jej, kiedy Lenka zaczęła ząbkować. Sąsiedzi nie mogli nic po-

wiedzieć, bo nie wypadalo, ale odwracali wzrok, gdy widzieli kogokolwiek z mieszkania spod trójki. „Będę przyjeżdżać” – Kama wyszeptala, nie wiedząc nawet, czy mama usłyszy ją zza krzyków dziecka. Lenka płakała i płakała, dopóki nie zasnęła na podłodze z pupą do góry. Siostra podłożyła jej poduszkę pod głowę i na palcach poszła do swojego pokoju – tego, który służy jej za sypialnię do dzisiaj. Rzuciła jeszcze tylko krótkie „dobranoc” do mamy, ale ona siedziała już z głową na oparciu kanapy i otwartą buzią. Kama chciała pogłaskać ją po głowie, ale jej ręka jakoś nie mogła posłuchać.

Teraz kanapa stoi po drugiej stronie pokoju, a miejsce, w którym leżała mała Lenka, zajmuje wielki niebieski kaktus. Laptop dyszy na dywanie, a obok niego one.

Kama patrzy jej w oczy, bo teraz pozwala. Podnosi ją na stopach, opiera jej kości biodrowe na swoich łukach podłużnych. Podpiera jej dłonie na swoich, dopóki nie poczuje, że może latać sama. „Ja latam” – piszczy, śmieje się, a Kama razem z nią. Samolocik, ptak, wolność. W oczach Lenki zamyka się jej dzieciństwo.

Zamyka pokrywę laptopa i przełącza tryb na telefoniczny. Kilka szybkich wiadomości i mogą wychodzić z mieszkania, łapać autobus, kasować bilety, obserwować pasażerów. Podziwiać wysoką bramę do zoo, balony z helem w kształcie małp, żyraf i słoni.

A potem przechodzą obok małp, żyraf i słoni, jedzą orzeszki w karmelu z papierowej torebki, skaczą jak kangury i ryczą jak lwy. Lenka wskakuje na barierki i próbuje przechodzić przez bramki, a Kama odwraca wzrok od tablic informacyjnych. Nie musi czytać o tym, że wilki żyją w watachach. Czuje to. Samotny wilk przechadza się po pokaznym wybiegu, po chwili dołącza do niego wilczyca. Okrążają cały otoczony teren, ale po innych osobnikach nie widać nawet śladu.

– Kiedy byłam w twoim wieku, uwielbiałam chodzić do zoo.

Mała Kama ukrywała się pod liśćmi palmy i rzucała cień na beton. W orientarium robiła teatrzyk, grała w nim rolę drugoplanową. Nieświadomy tata dołączał do zabawy, szukając jej pod ścianami. Krążył po wybiegu, wołając jej imię, otwarte usta przypominały szczęki krokodyla. Przez długi czas, z ukrycia, obserwowała ruchy, światła i zmieniające się barwy.

Z czerwonego w pomarańcz, żółć i zieleń. Z zielonego w błękit, granat i fiolet.

Na niebie jest tęcza, w powietrzu energie, a wiwarium jest ciemne i wilgotne. Lenka przykleja się do szyb, Kama udaje, że ją odciąga. Najchętniej sama oparłaby nos o szkło, zostawiała ciepły oddech na jedynym, co oddziela ją teraz od trujących żab, cętkowanych żółwi i jaszczurek o fioletowych językach. Gady czają się pośród wielkich zielonych liści, kryją za ciekawostkami na swój temat.

Waran *indicus* broni się za pomocą defekacji. Pyton rombowy jest aktywny głównie nocą. Anakonda Andzia wygrzewa się w słońcu, żeby przyspieszyć swój metabolizm.

– Kameleon, kameleon! – Lenka wskazuje na jaszczurkę, ostatnie łuski zmieniają kolor na czarny. Na szybie widnieje tabliczka z podpisem: agama brodata.

Przypominam sobie agamę brodatą w swoim przedszkolu. Co tydzień inne dziecko brało ją do domu na weekend, przez pozostałe dni zostawała w placówce – w ciągu dnia otoczona przez hałas, w ciągu nocy przez ciszę i pustkę.

Gapimy się na czarną jaszczurkę. Pamiętam tłumy chylące się nad agamą, wystawiające ręce w jej kierunku. Małe ciała pchające do jeszcze mniejszego. A wśród nich była też ona. Gad na podłodze, na środku pokoju, kulił się, wtapiał nieudolnie w kolor linoleum.

– Chodź. – Kama bierze siostrę za rękę. – Poszukamy prawdziwego kameleona.

Idą. Być może płyną. W każdym razie wyciągają ręce do przodu, po omacku. Dotykają ich ciała: liście paproci i palm, drewno ławek i krople pary.

Wiwarium wciąga, zasysa. W zasadzie cały budynek jest wielkim szklanym terrarium. Brakuje powietrza. Ciała zahaczają się o ciała i płaczą. Widoczność jest coraz mniejsza i Kama znajduje się w labiryncie, z którego nie może znaleźć wyjścia. Oczy pocą się od mrużenia, a myśli zlepiają się w jedną: gdzie jest kameleon?

Gdzie jest kameleon, kiedy może być wszędzie? Jest ciemno i ciepło, zielenie cieknie z kątów, zza szyb, ze sztucznej roślinności, z ust Bożych. Po ptakach został zapach jabłoni, po cieniach wspomnienie. Zwierzęta rechoczą i szyczą, a ludzie toczą rozmowy, nie rozróżniam ich. Ktoś podgłasnia muzykę w głośnikach. Kątem oka dostrzegam pracownika wiwarium, ma zieloną bluzkę i identyfikator z imieniem. Gdzie jest kameleon? Nie mam pewności, że on nim nie jest.

Lenka ciągnie ją za rękaw, a pracownik dotyka ramienia, Kama się wzdryga. Pachnie potem w milczeniu, w tęsknocie, do której nie dochodzą głosy. Ludzie zatrzymują się wokół i czuje, jak ich otaczają, patrzą z góry, wyciągają kłykcie do pukania w szybę.

Znajduję się za szybą i myślę, że mnie nie widać. Stopami zanurzam się w zbiorniku wodnym, gdzie jest cała moja rodzina. Kapiemy się, na ręczni-

ku zostawiliśmy plecak z aparatem i rękawki. Tata szuka mnie pod wodą i wygląda na zmartwionego, mama biegnie na plażę, chyba chce zrobić zdjęcie, uwiecznić chwilę zapomnienia. Bąbelki wylatują mi z ust i dają przyjemne uczucie, mała klatka się zaciska, a głowa staje się ciężka. Stopami dotykam już chyba dna, ale palce nie chcą się odbić, niebieski zamienia się w czarny, głos taty ucicha. Znajduję się za szybą i zapominam, że jest przezroczysta.

Uchwyt na ramieniu się zaciska i podnosi do góry, druga ręka leci w dół szarpana przez małe dziecko.

– Gdzie jest kameleon?

Pracownik przynosi jej wodę i prowadzi do terrarium w kącie sali. Napój przelewa się przez gardło, Lenka też pije. Do uszu dociera bulgotanie, a do żołądka perlanka. Kama zaciska palce na dłoni małej i patrzy w jej oczy, uśmiechają się.

Fale w głowie ustają, tata trzyma mnie w objęciach i znika. Z czarnego w niebieski, błękit i zieleń. Z zielonego w żółty, pomarańcz i czerwień. Wokół znów są kolory.

– Tu jest!

Kiedy Lenka odsłania powieki i piszczy, *Chamaeleo calytratus* chowa się pod sprzętem grzewczym. Oplata tyczkę bambusa dwupalczastymi nogami i ogonem. Nie porusza się, latają tylko jego oczy, rzucając szybkie spojrzenia w każdą ze stron z wyjątkiem naszej.

Lenka odruchowo wyciąga palce w stronę szyby, ale Kama ją zatrzymuje. Znów zaciska, z czułością, ze spleconymi dłońmi obserwują kameleona, który zdaje się ich nie widzieć. Prawe oko dogania drugie, spojrzenie w końcu zatrzymuje się i skupia na owadzie w misce. Dziw-

ny język kameleona wykonuje szybki ruch i wprowadza świerszcza do wnętrza.

Kameleon trawi w bezruchu. Nie słyszy pisków i rozmów wokół, nie relaksuje go muzyka z głośników. Kama wyczytuje, że nie ma błon bębenkowych. Mimo wszystko milczą. A kiedy Lenka nabiera powietrza w płuca, żeby się odezwać, Kama ucisza ją, ściskając dłoń mocniej.

– Spróbuj spojrzeć mu w oczy – szepcze.

I wyczekują tak jak on, w bezruchu. Prawe oko gada odskakuje i spogląda za siebie, więc ich wzrok łąduje na podłożu, na białych płatach skóry. Wylinka sterczy, wygląda jeszcze jak ciało. Dopóki pracownik w zielonej koszulce jej nie sprzątnie, będzie trwać w etapie przejściowym, przypominając o poprzednim życiu. Kameleon rozdzielił się, wyszedł z siebie i stanął obok. Ten nowy jest zielono-żółty, w czerwone pasy, pewnie jeszcze nie raz zmieni kolor. Stary to pozbawiona barw za mała powłoka, będzie rozpadać się na jeszcze mniejsze kawałki. To naturalny proces wzrostu.

W zrośniętej powiece zamknięta jest starość. Ruchliwe oko posiada niewielki otwór na źrenicę i czerwoną tęczówkę. Kameleon łypie, nie złapią dziś jego spojrzenia. Czekają jeszcze przez chwilę, licząc na pokaz przejścia kolorów, kiedy Kama wyczytuje z informacji na szybko, że kameleony, mimo powszechnej opinii, nie dostosowują się do otoczenia. Największy wpływ mają na nie emocje.

Zaczyna po cichu tłumaczyć to Lence, nie odwracając wzroku od gada, który w końcu się rusza, przechodzi na tyczkę obok, zawisa na niej i zerka. Otwiera buzię i zamyka. Jego oko jest białe.

Kiedy wracają do mieszkania, mama podnosi się z kanapy i biegnie do drzwi. Bierze małą na rękę, kieruje do niej podwyższony głos, pyta,

jak spędziła czas z siostrą, czy Kama dobrze się nią zaopiekowała. Do Kamy też rzuca kilka słów i spojrzeń, dziękuje jej, opowiada o tym, co u niej i kiedy jej jeszcze będzie potrzebować. A potem całuje ją w czoło, zostawia ślady pomadki ochronnej i wychodzi. Tak jak weszła, używając własnego klucza, bezszelestnie.

W mieszkaniu robi się cicho i właściwie smutno. Śmiech dziecka i przyjemny głos mamy jeszcze odbijają się od ścian, Kama wyobraża sobie, jak jadą samochodem, jak Lenka opowiada półsłowami, gdzie były i co widziały. Muszą być jeszcze w drodze, kiedy Kama chwytą za telefon i wystukuje numer do ojca.

– Cześć, mała – słyszy jego głos w słuchawce. – Miło, że dzwonisz.

Taty głos też jest przyjemny, przypomina jej fale i ciepły piasek.

– Pamiętasz, kiedyś nad morzem? Pamiętasz, jak byłam w wodzie?

Taty głos milczy, słysząc przetykaną ślinę, czuć poklepanie po plecach, silne i miłe, a jednak niezręczne.

„Nie myśl o tym” – rzuca, ale Kama nie myśli, ona czuje. Znowu czuje brak tlenu w gardle i bąbelki na wargach, słoną wodę w kącikach oczu i płucach. Strach, swój i cudzy. Wzerający się w krew kolor czarny. „Bardzo się bałem o Ciebie” – słowa odbijają się od słuchawki, w mieszkaniu nie słysząc nic więcej.

– Myślałem, że nie pamiętasz.

Pamiętam wakacje nad morzem i podniesione głosy w domku letniskowym, naukę pływania i strach. Pamiętam sine dłonie i fioletowe usta, niebieskie fale i czerń. Siniaki na ramieniu, gdzie powinny być rękawki, krzyk zatrzymany w gardle i ten dochodzący do ucha. Pamiętam, jak potem po-

szeliśmy do zoo, gdzie nabierałam jaskrawszych kolorów. Pamiętam brzoskwiniowe lody, które jadłam w wiwarium, wśród płazów i gadów, w tunelu pełnym ryb, płaszczyk i rekinów. Pamiętam ich smak i zapach, jak ściekały po brodzie i palcach, jak mama wycierała te palce zimną mokną chusteczką. Pamiętam, jak byliśmy jeszcze razem.

– Zastanawiałam się, czy mi się nie przysniło.

Rozłącza się czerwoną słuchawką. Jeszcze chwilę parzy w ucho. Kama patrzy na zegarek w lewym dolnym rogu ekranu laptopa, chwilę jeszcze popracuje, przygotuje sobie kolację, poczyta książkę albo posty na Instagramie, i będzie mogła znowu łapać taksówkę do wewnątrz. O dwudziestej pierwszej trzydzięci zdejmuje pierścionki z palców i smaruje dłonie kremem, moczy stopy w wypełnionej gorącą wodą misce z solami, po czym eksfoliuje je i zakłada pięciopalczaste skarpetki. Jeszcze tylko umycie twarzy, hydrolat, serum, krem, umycie zębów, królicza maska na oczy i koronkowe body na ciało.

Pod kołdrę wchodzi ze stopami w butach.



Leżę, a nade mną sklepienie. Palec na ustach, uciszenie. Sz, sz, szum morza. Muszelki wydzielają zapachy, te toczą się koło nosa. Dłoń obmywa ręcznikiem coś, co jest moim ciałem, zrogowaciały naskórek na długościach kończyn. Mieni się to na różowo, to na błękitno. Gumowe nogi umoczone benzyną.

Dłoń się rozmywa w ręczniku i rozwiewa na wietrze, szukam reszty. Sucha skóra gadów chroni je przed utratą wody, ja jej nie mam. Nasąkam. Krople z ręcznika wyciskają się do akwenu niby pot z ręki bez ciała, mięsa i kości. Wiotkie palce suną po bezwłosej powierzchni.

Wokół unoszą się lilie i wszystkie są dla mnie.

– Zostaniesz moją walentynką?

– Więc jesteś.

Leon jest, zawsze. Uniesienie za uniesieniem, kiedy wdycham woń kwiatów *Georgia Peach*, kiedy ostre płatki wbijają się w ciało. Zapach intensywny i delikatny, wyczuwalny z odległości, ale ja jestem blisko, z kwiatem we włosach, na twarzy i w środku. Z kwiatem na szyi i w sercu, z kwiatem w miejscu serca i głowy. Moje ciało jest pudrowym kwiatem obwiązany czerwona kokardą, mam setki rąk, nóg i pręcików. Jeden słupek z trójdzielnym znamieniem na długiej szyjce. Ani jednej myśli.

– Jestem, zawsze.

Lilie są może orchideami, a morze basenem. Moje ciało tkanką roślinną lub tłuszczową, energetycznym skupieniem nerwów lub spokoju. Moje więzadła naczyniowe lub poboczne kolana. Mój naskórek na pięcie lub wszędzie pełen keratynocytów, wylinka leżąca u boku, dłoń masująca moje podbrzusze. Moje naczynie wody i krwi, moje naczynia krwionośne. Moje komórki pigmentowe, moje ja i ty i on, ona, ono.

Myję się z liści, otrzepuję z piasku. Kwiaty Leona stawiam na szafce nocnej, przy łóżku, przy jednym flakonie dla niego i drugim dla mnie. Przez szkło przytulają się Hugo Boss i Hugo Boss Woman, nieznające granic etery. Esencje zamknięte w fizycznych kształtach nie godzą się z etykietami. Napierają, pękają, wylewają się na dywan.

Chcę być twoją woman, zawsze. Pachnieć nie od święta. Szykować się jak co noc. Szukać twojego ciała w pościeli. Kręcić się razem w kole życia, w kołowrotku maszyny losującej, która wypluje mi ciebie naprawdę lub mnie tobie na niby.

Na dywanie jesteś o krok bliżej, w drugiej osobie. Kładziesz się na plecach i przysuwasz do siebie, trochę dalej, na dotyk stóp do bioder, unosisz mnie na sobie. Sprawiasz, że latam, nie chcesz mnie tylko przelecieć. Piszczymy unisono, zachwycamy się razem. Ja światem, który mi pokazujesz, ty tym, że możesz mi go pokazać. Leżysz, a pode mną sklepienie.

Widzę mieszkanie rodziców, cztery ciała w dwóch łóżkach, trzy klatki schodowe, pusty i pełny blejtram. Kierowniczka wciąż siedzi na kasie w sklepie obok, tonie w pudełkach paracetamolu i ślinie chorych klientów. Widzę most obok i dziurę w przelyku, ciemną drogę do domu – nie lecę nią teraz. Wznoszę się wyżej. Do góry, do góry, do gór.

Obszary nizinne są zielone, niskie góry – żółte, a wysokie – pomarańczowe i czerwone. Najwyższy wulkan wybija się na białą z dna spokojnych wód. Tuż nad palmami unosi się śnieg.

Na szczycie odpoczywa mroźna kobieta: wiatr to jej włosy, a w nim leżą sople lodu i plumerie, płatki śniegu pokrywają nagie ciało. Głaszczę białą pokrywą, wypuszczając idealne struktury zamrożonej wody spod palców. Pochyla się nad nimi, patrzy czule, szepcze, że mają pamiętać. Słyszę, jak szepcze, że mam pamiętać, jak szepcze: „dziękuję” i „proszę”, wypowiada magiczne słowa. Duch Leona prowadzi mnie do niej, za nami kolejni wędrowcy, zbłąkane dusze, z góry dolatują anielskie pieśni, ze środka wychodzą bogowie. Kobieta patrzy na mnie zmrużonymi oczami, są niebieskie.

Z wierzchołka widzę ogień pożerający olbrzyma Maui, jego wędka zamienia się w popiół, lina zaplątana na słońcu urywa się i dogasa w poparzonych dłoniach. Dom słońca jeszcze stoi, dając schronienie chmurom i niczemu innemu. Słysząc śmiech i winny bełkot, z iskrami w powietrzu lecą tusze do rzęs, rzucają cienie na powieki. Krzyk jest tłumiony, ale odbija się w moich uszach. Wyspę dalej ludzie bawią

się w barach na plaży i przemierzają fale na deskach. Woda wybucha z dziur w skałach, kamienie latają, ktoś tonie. Membrana nie poddaje się i trzyma gardę. Wołanie o pomoc przybiera dźwięk zgody.

Gwałtownie opadam na miękką podłogę, Leon przywraca mnie do siebie.

– Chcę cię spotkać naprawdę.

Patrzmy sobie w oczy, jego są niebieskie, moje chyba też. Głaszczę go po policzku i czuję ciepło na swoim. Odgarniam mu włosy z czoła i zwiększa się pole mojego widzenia. Kładę jego dłonie na swoich kolanach i drzę o ukojenie. Na czubki naszych nosów spadają sześcioramienne śnieżynki, śpiewają pieśni o wdzięczności i prawdzie. „Pamiętaj” – nuci – „pamiętaj, gdzie jestem”.



Siadamy na kanapie, poza nią niewiele jest w pokoju. Stolik kawowy z pustym, dopiero co używanym talerzem i jednym widelcem, bułka tarta oblepiająca jego zęby. Gazeta, otwarta na artykule o pożarach w lesie, wielkie zdjęcie płonących biało-czarnych konarów, pomarańcz.

Ojciec wstaje, krząta się, wyjmuje pomarańcze z plastikowej torby zakupowej. Miesza kalafiora w garnku. Uśmiecha się. Podaje mi talerz z białym kwiatem, posypuje bułką tartą z patelni. Miesza się. W zlewie jest prawie pusto, samotna gąbka odsącza się do otworu odpływowego.

Jem w ciszy, ojciec zbiera swój talerz i myje, odkłada na wilgotną bawełnianą szmatkę, nie ma zmywarki. Parzy herbatę i kawę, po czym pyta, co wolę. Proszę o szklanekę wody z kranu.

W kranie jest kamień, a pod ścianą walizka. Patrzę w jej stronę: na poskładane pary jeansów i kolorowych koszul z krótkim rękawem, butelkę wina, ręcznik, klapki. Słońce zawarte w czerwonej walizce na kółkach toczy się po orbicie nadzieją.

– Wyjeżdżasz?

– Na kilka dni.

– Sam?

– Nie.

Między słowami słycać ciszę, między sylabami napięcie, pomiędzy literami leży prawda. Ojciec odchrząkuje, zabiera mój talerz, myje, odkłada obok swojego. Na bawełnianej szmatce dostrzegam nagle mnogość talerzy, widelców, kieliszków, kubków po kawie i herbacie, ani jednej szklanki.

Drapie się jeszcze po głowie, kiedy zaczynam wycieczki myślowe do łazienkowej półki pełnej kosmetyków: ekstrakt z brzoskwini, nuta kaka, kasztanowa maść na żylaki, peeling z kawą, niebieskie tabletki usuwające nadmiar wody z organizmu. Różany hydrolat, czarny kajał, śliwkowa szminka. Paletka *Obsessions Matte*. A poza łazienką, przy ramie łóżka na umysł rozpyła się zapach absolutny, zabutelkowany eliksir.

Kama czuje, jak wiruje jej w nosie, jak tańczy. Bierze mocniejszy wdech, przerywający ciszę, bierze pomarańczę do ręki. Miękkie żółte pozostałości schodzą ze skórki za jej paznokcie. Prześwitują z za krótko obciętego frencha, cienkiej warstwy lakieru chroniącego. Płaty pomarańczy opadają na stolik, białe żyłki zatrzymują się na jej ubraniach, próbują uniknąć wewnątrz, zabarwić się na czerwono. W powietrzu czuć lato, album Lany Del

Rey i mandarynki – święta. Ojciec chyba nie oddycha, więc Kama przerywa ciszę pytaniem.

Pomarańcza jest dużą mandarynką, jak Kama jest dużą Lenką. Grubsza skóra, większa objętość. Sok z pomarańczy jest kwaśny i wylewa się na boki, plami palce i brodę. Zabarwia skórę. Mandarynka jest słodka, urocza i specjalna. Gdy się pojawia, jest powód do celebracji. Tak, z Lenką wszystko w porządku.

– Ohana.

Ojciec się śmieje i nie wie, co mówić, więc wykrztusza przypadkowe zbiory liter niosących prawdę. Szumi, szeleści, charczy. Kama nie rozumie, a jednak słyszy: zielone liście, szare cienie, pomarańczowe słońce na niebie bez żadnych mandarynek.

– Co powiedziałaś? – dziwne słowo łaskocze sieć neuronalną, budzi hipokamp, wwierca się jej do myśli.

*Mały niebieski stworek, cztery ręce, rodzina. Wysokie fale, domek na plaży, rodzina. Pies, siostra, kurator, rodzina. Ramiona ojca, aparat matki, piasek, sól w nozdrzach. Siedzimy na kanapie i oglądamy film, lubiliśmy razem oglądać *Lilo & Stitch*, pamiętasz? Całą rodziną. Nie pamiętam. Ojciec mówi, że wtedy w wakacje też oglądaliśmy. Tańczyłam z kwiatami na szyi przed ekranem, kiedy babcia umierała.*

Gdyby ojciec miał być największą pomarańczą, to ktoś by go właśnie przekroił, może babcia nożem zza chmur. Otwiera się. Zza skóry wylewa się miąższ złożony z liter, ojciec pamięta, jaki kolor miały kwiaty na szyjach mojej i matki, kiedy odbierała ostateczny telefon, pochylała się nad kartką przy biurku. Białe kwiaty na opalonych skórkach, tańczyłam hula, a matka płakała. Nie pamiętam tego. Nie pamiętam zdań: męczyła się, nie potrafiła inaczej, tak było lepiej dla wszystkich. Nie

pamiętam słowa „schizofrenia”.

Oczy chyba zachodzą mi wodą i wypijam resztki ze szklanki, bo ojciec wycofuje się, zamyka, zaszywa w pomarańczowej skórce z sokami, po czym wyjmuję z walizki czekoladki i otwiera. Teraz pora na słodycz: czekolada plami mu rękę. Tłumaczy, że to nie jego historia. Nic nie jest jego historią, bo zostawił mnie, gdy nie zatonąłam. Ojciec mnie uratował, a ja nigdy nie potrafiłam na to zasłużyć. Leon co noc mnie ratował, a mnie to nie wystarczało. Nie potrafiłam sprawić, że zostaną. Nie potrafię sprawić, że wrócą. Papier po cukierkach szeleści, z kątów ścian dochodzi szum morza, zalewa powietrze wśród nas.

– Babcia miała schizofrenię?

– Tak.

– Babcia miała obce osoby w głowie?

Biorę pomarszczoną i porwaną skórkę pomarańczy do rąk, wcieram między palce, obserwuję jak pomarańczowieją. Założę się, zarzucę coś sobie. Odchylam głowę i oddycham.

Za oknem zmierzcha. Wyrzucamy papierki po czekoladkach i skórki do kosza. Ojciec trzyma kosz, ja robię ruchy dłonią, dostaję iluzję sprawczości. Czerwona walizka stoi na kółkach i prawie jedzie, toczy się w jedyną dobrą stronę. Ledwo mieści się w małej kawalerce. Ojciec szczypie mnie w ramię, a ja się uśmiecham na smutno – trochę tak, żeby widział. Z moich afirmacji nie zostało wiele, poobierane z prawdy litery. Sok pomarańczy.

– Wpadaj częściej, mała.

Przytulamy się i przechodzę przez próg. Pięć klatek, kilka chmur. Zimny beton i chęć zdjęcia butów. Przystaję na chwilę, dogasam. Powietrze zaczyna się ochładzać, a w głowie po raz pierwszy formuje się myśl: ja też muszę wyjechać.



Widzę ją, idzie do wody. Jej małe rączki i nóżki, jej brązowe cienkie włosy odbijają się od pleców i spienionych warstw.

– Lenka.

Nie odwraca się, wołam w eter, ciemne niebo jaśnieje, odwrócony zachód słońca, czas się cofa, a jej głowa chowa się pod kolejnymi falami.

– Lenka!

Wołam. Nieskończone przestrzenie się kurczą, a moje słowa odbijają się od czterech ścian, którymi są niebo i ziemia, we wszechstrony. Odwracam się i krzyczę po pomoc, chwytam za kij i żłobię litery w piasku, niech zobaczą nas: mewy, słońce, bogowie. Niech ktoś ześle ratownika zza chmur, niech babcia nie umiera, niech dziecko nie tonie.

Ale tonie. Stoję stopami w mokrym piasku i nie mogę się poruszyć, kręcę głową, wyginam plecy, strzelam z palców, a stopy grzęzną w błocie, cemencie, zakorzeniają się na plaży. Linia lasu jest dalej, a to drzewo wyrosło nad wodą, obmywają je fale, brudzą drobiny, liście więdną i giną na dnie, kora wysycha – martwa tkanka pędu. To drzewo to palma.

Kiedy kokos spada na piach, uderza mnie w palec. Ból. Podniesiona stopa, trzymam ją w dłoni i rozmasowuję, korzeń wyszedł z ziemi, korzenia nigdy nie było. Patrząc w dół, na zmieszany piach z wodą, ziemi nigdy nie było. Woda żłobi, wyżłabia, jak dziecko w żłobku, odsunięte

od matki, płacze, krzyczy – żłobi.

Płaczę. Krzyczę. Ale robię krok w przód i stoję, krok dalej, na razie wystarcza, po nim przychodzi kolejny, stopy ruszają się w górę i w dół, ciągle w przód, w przód, w przód. Wiatr pcha w jedyną słuszną stronę: do Lenki.

Gdybym wcześniej uniosła stopę, nie byłaby jeszcze cała w ciemnościach. Gdyby palma wyrosła wcześniej, gdyby kokos nigdy nie upadł? Gdyby wiatr zawiał w którąkolwiek z trzech innych stron świata, gdyby stron było więcej.

Jest cała w ciemnościach, choć słońce już zdążyło się pojawić, a niebo przeszło z różowego w błękit. Nie widać brązowych włosów, brązowych oczu, sinej już skóry, ciało poszło na dno. Najcenniejszy skarb, zaginęła w odmętach, tam nie ma granatu, tam jest tylko czerni, najniżej, pod warstwą serca.

Serce bije, na przekór. Protestuje, rwie się, żyje, gdy moje ciało stoi, jak stało, nie płynie. Stopy dotykają wody, nogi dotykają wody, brzuch dotyka wody, głowa jest pokryta z czterech stron świata wodą.

Kiedy nie ma ciężaru fali, jest kropla. Rozpływam się w niej.

Ciało wiruje i rozszerza się na dole, na brzuch, z którego może wyjść dziecko. Szerokie biodra, małe piersi i czubek głowy, kulę się w kroplę. Ręce opinają kolana, we śnie nie boją. Nie boją, dopóki nie spłyną na dno, chlusną, otrą się o to, co na dnie jest.

Na dnie oceanu są stopy pokryte wodą, nogi, brzuch, brązowe oczy i włosy. Wgapiam się w nie, kropla w kroplę jak moje.

Ręce latają, choć powinny pływać, woda w żyłach i na nich. Sto tysięcy

kilometrów żył, a we wszystkich jest woda. W naszych płynie ta sama, bo jesteśmy te same, jest nas jedna, więc łączę ramiona o plecy i próbuję z siłą wynurzyć.

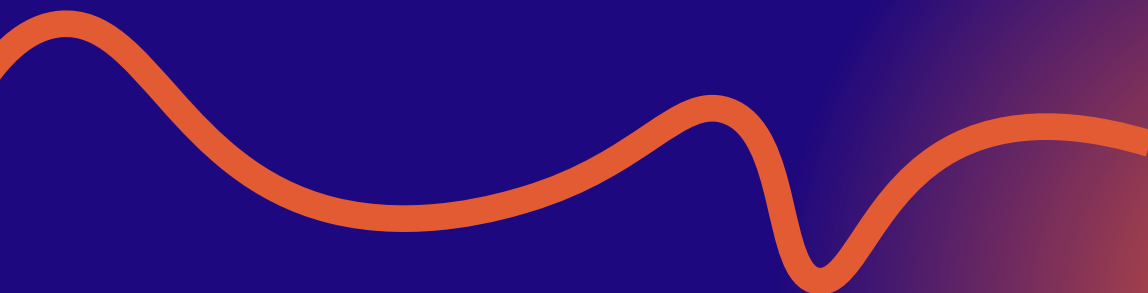
Dno jest tajemnicą. Kamieniem, wodorostem lub piachem. Jest ośliszłe i ciemne, ma swoje korzenie. Z dna wyrastają palmy, pędy umierają i spadają na stopy, kokosy spadają na stopy, ale na dnie nie boli. Na dnie nie ma bólu, są tylko zagubione ryby i małe dziewczynki.

Julia Śliwowska

Kama spędza dni na opracowywaniu tłumaczeń, opiece nad młodszą siostrą Lenką i rytuałach pielęgnacji twarzy. Byle przeleciały. Prawdziwe życie prowadzi nocami – koronkowe body, kojący szum morza, brzoskwiniowe perfumy i wymaginywany kochanek. W objęciach nocy znajduje radość życia, a te objęcia zapewniają silne ramiona Leona, który od lat pojawia się systematycznie, noc w noc. Ale granica między jawą a snem się zaciera i wylewa się na nią obsesja. Leon zniknął. Gdzie jest? Kim jest? Czy jest? Czy wróci?

Droga do zrozumienia może być zawiła lub bardzo prosta. Kamie będą na niej towarzyszyć jaszczurki, kosmetyki, farby, dysfunkcyjna rodzina, zakochany przyjaciel, dawna przyjaciółka Danka i dziesięcioosobowa nadmorska społeczność duchowa. Kama jest raz tu, raz tam. A w odległości dwunastu tysięcy kilometrów i jednej świadomości leżą rajskie Hawaje.

Powieść w duchu *aloha* wprowadza syntezę ciała i duszy, poszukiwań i znalezień, „ja” i „ona”. Natura pokazana jest tu holistycznie: uprawiana w ogrodzie permakulturowym i niesiona na deskach surfingowych po falach. Do świata jawy dopływają po nich postaci z mitologii polinezyjskiej, przywołując hawajskie zwroty i wierzenia. Wszystko to między ciepłymi scenami rodzinnymi i zimnymi wspomnieniami. Kameleon łąpie, zmienia kolory, w końcu – powoli się odbarwia.



© Katarzyna Kalwak

Spust

Spust

1. «metalowy języczek uruchamiający mechanizm broni palnej»
2. «urządzenie umożliwiające opróżnienie zbiornika z cieczą»
3. (pot.) «duży apetyt»
4. (wulg.) «gwałtowna ejakulacja»

Dysfunkcje

*Mam trzy i pół dioptrii,
Ale siebie tutaj nie widzę,
Bo patrz,
On w ogóle nie dostrzega,
Konfiguracji otoczenia,
Wyskoczyło, że zmarło,
System widzi,
A nie wie, że widzi.*

Zasłyszane pod biurówcem, 2024

Agenda do fragmentów:

W klasztornych mrocznych skryptoriach powstawały *fasciculi*, czyli zbiory luźnych kart, tymczasowo tylko połączonych w jedną wiązkę, tuż przed uporządkowaniem ich i połączeniem w gotowy manuskrypt. *Fasciculus* – wiązkę, pęczek – zastąpiono tutaj haustami, pojedynczymi impresjami wyrwanymi ze *Spustu*, by dać jego posmak.

#1 Haust: Mich o sobie

Chciałbym ślepnąć od światła. Ślepnę od Windowsa.

Hejka. Jestem Mich. Pięć razy w tygodniu jestem warszawiakiem. Dwa razy w tygodniu małopolskim wieśniakiem. Ten swoisty borderline czy tam rozszczepienie osobowości lub inne nienormalne gówno to mój życiowy Pantone. Nie zostanę kolorem roku, prędzej zostanę kolorem zmierzających millenialsów. Wiesz, mordko, powiesz, że jestem smutnym chujem z korporacji. Wczorajszą kromką z masłem. Nie, ja jestem jak ten 4-silnikowy Ił-18, który po 35 latach lotów pasażerskich został stacjonarną stołówką przy drodze krajowej numer 1 pod Częstochową. Pani Gessler, zapraszam do środka.

#2 Haust: Szeff o Michu

– Ty i to twoje całe ADHD, czyli kreatywne zjebanie. Nie obraż się, to wspaniałe. Jak lody z chrzanu, mech z karmelizowanej rozspanki. Nic do siebie nie pasuje, ale wchodzi. Tego się nie da zjeść na co dzień. Ale czasem zajebicie wchodzi. Rozumiesz?

#3 Haust: Tak bywa w Warszawie

Ej wiesz, poniedziałek rano. Tak się wcześniej chciało wstać. Ale ta wolność rozłożona od prześcieradła po kołdrę uderza do głowy. Pompuje krew w kciuk niespokojny, kciuk muskający chłodny ekran. Góra, w dół, dół, cofnij, wyjdź, dół, dół, dół, dół. Wstaję akurat, czyli prawie za późno. Kawa z kapsułki, kanapka z Biedronki, sok z Żabki. Auroxetyn, standardowe 100 mg, no, dzisiaj 150 mg. Pyk. Asertin 50 mg. Niezła nazwa na codzienną porcję sproszkowanej asertywności i wyjebania, wciśnięte do małej białej kapsułki do przełknięcia. Życie przełykam potem gładko, gardło mam rozluźnione, kąciki ust przychylnie rozchylone, ręce rozłożone, gestykulujące z entuzjazmem i zapalem.

Wyjdz, wyjdz, no wyjdz w końcu. Wyjdz, by zapalić. Dopaminy płomień. Idź, przez komisje, dealerów i stacje. I ronda, no, rondka w sumie. Do przodu. Dołącz do równego rzędu współpracowników wydeptujących wąską ścieżkę wzdłuż Jerozolimskich. Odstępy wyznaczone niczym ostrym nożem Ambition z Bricomarché co 30, 40 centymetrów. Uprzywilejowani stoją w korku służbowych aut. Odstępy co kilka, kilkanaście centymetrów.

Już 8.50. Ruch się zagęszcza, biurowiec powiększa. Szuszuszu. Automatyczne drzwi wydmuchują ciepłe powietrze i jednocześnie wysysają zziębniętych delikwentów do środka. Obiecuja korporacyjny komfort, stały przelew na konto, coroczny budżet szkoleniowy, atrakcyjny pakiet benefitów pozapłacowych, miłą atmosferę.

Chodź, no chodź.

Mój dzisiejszy kalendarz przecina osiem kolorowych prostokątów. Każdy zajmuje od dwóch do trzech centymetrów, czyli od 30 do 60 minut życia. Osiem spotkań, ale nie z ludźmi, tylko z ich wyciętymi w tekturze kształtami. I ja jestem wycięty pod uważnie skadrowane tło kamerki, i mój uśmiech jest nienachalnie szeroki. Czeka mnie osiem niszowych spektakli, a każdy z nich to moja rola życia, czysty performans.

Przypinam swój autoportret z kamerki i widzę zaangażowanego, rozognionego Micha, który rozwiązuje problemy naszego korporacyjnego świata. Pierwszego świata. Na drugim spotkaniu wyłączam dźwięk i przyglądam się audytorium. Wspólnie oglądamy prezentację. Patrę na te brwi zmarszczone, głowy podparte dłońmi i smutne, zszarzałe oczy sunące od slajdu do slajdu. Nie patrzę na nie, patrzę na miniaturki, próbując wyłapać charakterystyczne szczegóły. Biała ściana z obrazem Marilyn Monroe z Ikei. Meblościanka z figurkami Avengers. Aneks kuchenny z parującym garnkiem. Czasem ktoś się wyciszy i patrzy w dal za swoim laptopem, coś mówi

ze zdenerwowaniem. Pewnie partner pyta, kiedy-kurwa-skończysz -to-pitolenie. Kiedy obiad. Tosia się posmarkała.

Patrzę na zdjęcie Mileny i przypominam sobie o czatbocie Lilith. Machinalnie odpalam ChatGPT w nowej zakładce.

– Hej, ChatGPT, wyobraź sobie, że jesteś moim ojcem, masz 56 lat, żonę numer 2 w wieku swojego syna numer 1. Misiu, Michu, Gałganie – tak mnie nazywałeś, wybierając każdą z tych form rozważnie, niczym semantyczny barometr, rocznik '67. Ostatnio urodził ci się syn numer 2 z żoną numer 2. Synuś, Synek, jak go chyba nazywasz. Jesteś stanowczy, zasadniczy, ale czasem, bardzo rzadko, wzruszasz się w losowych momentach na kreskówkach Disneya. Ale to jak nikt nie widzi. Używasz emotikonów z myślnikami. Wiecznie czytasz *Nowy wspaniały świat* Huxleya i coś o czarnych dziurach. I nic poza tym. Przecież wiesz wszystko.

To wysyłam i piszę do wymyślanego Arka, lat 56:

– Cześć, tu Michał.

(Trwa generowanie odpowiedzi...)

– Nie mogę teraz. Synuś ma lekcje angielskiego, jestem zajęty.

– Tato?

(Trwa generowanie odpowiedzi...)

– Tak, Gałganie? :-)

Wyłączam kamerkę. Oczy stają się nagle nieznośnie gorące. Żołądek zapiekł jak kimchi. Słony posmak w ustach przełykam i przełykam. Przełknąłem.

CTRL + Q. Wyłączy się. Kurwa, jaki niedoskonały jeszcze ten algorytm.

#4 Haust: Wyzwanie z krakowskiej redakcji PLotek

Żyję na planecie małp. Jej rdzenni mieszkańcy tłumnie przemierzają alejki drzew uginających się od rozmaitych człekokształtnych –

najczęściej całkiem białych, czasem rudawych, czasem brązowych, a nawet takich z żółtym i różowym futerkiem. W karłowatym, acz uroczym rozmiarze, bez szans, by dorosnąć do swojej dojrzałej formy. Trzy miliony par rąk dziennie wyciąga się ku konarom, celem uchwycenia w objęcia jednego, może dwóch z nich. Milion przed południem. Te niepozorne zwierzaki również wyciągają swoje niewielkie łapki w kierunku przechodniów. Są tak malutkie, że mieszczą się w kieszeni, a wyciągnięte wtulają się mocno we właściciela, kojąc jego skołatane nerwy i rozgrzewając okolice szyi, serca i żołądka. Planeta małpek.

(...)

Trzeci oldfashion to punkt zwrotny w naszej relacji. Czuję, że mam jego zaufanie. Skoro on wie, że ja wiem, że tylko on wie, że piję o 15.00 w środę trzecie 50 mililitrów bourbona, trzecie 5 ml syropu cukrowego z zestawem z pomarańczy zroszonym kilkoma kroplami angostury.

Uwielbiam wymawiać to słowo: angostura. Tam czuć całą genezę tej wspaniałej apoteozy gorzkości. To słowo przenosi mnie do wenezuelskiej wioski z XIX wieku, wprost do gabinetu pewnego niemieckiego lekarza. Widzę te fiołki, butle z brązowego szkła i ciężkie dębowe biurko, a na nim gałązki chinowca, kłącza galangi, korzenie arcydzięgla, dorodne bulwy imbiru i piękne pękate pomarańcze. Pewnie nazywał się Marcus, nie pamiętam. Albo lepiej Noah. Pewnie jego germańska karnacja kiepsko radziła sobie z wenezuelskim słońcem. No i wróćmy do gabinetu. Noah w pocie czoła łączy składniki w poszukiwaniu remedium na żołądkowe niedyspozycje dzielnych wenezuelskich żołnierzy. Potem się rozczarowuje, rzuca armię w pizdu i zaczyna produkować nalewki na dolegliwości życia codziennego. I co – kilka lat później dostarcza swoje wyroby na dwory królewskie Hiszpanii i Prus. Tak, nasz zdolny Noah zapisuje się tym samym w annałach historii jako ojciec gorzkiego remedium na zgorzkniałe serca.

Jestem zgorzkniałym jabłkiem z 1988 roku. Skierniewickim lobo. Nadpsutym zębem czasu, ubitym tu i tam, ale jeszcze zdatnym do spożycia. Takie lobo mogłyby nawet pójść w Biedrze, bo polskie i autentyczne. I na promce, bo bez rządowego VAT-u.

Mój bar-man, he-man wtorkowego popołudnia na krakowskim Kazimierzu. Pewnie przyjechał tu z Tarnowa. Tarnowianie są jak małopolscy Saamowie w Skandynawii, jedna z najsilniejszych grup etnicznych na świecie. Tarnowski Saam i skierniewicki ekspatriant to mezalians poważniejszy niż ten u Heleny Mniszkówny.

– Dobra imba była tutaj wczoraj, co nie? – pytam małopolskiego Saama przecierającego wytatuowane dłonie białą jak pusta strona mojego artykułu ścierką. Faj, gdybym miał do wyboru umrzeć lub drugi raz zdecydować się użyć słowa imba, wybrałbym to pierwsze. Chciałem wyjść z millenialsowego kokonu lingwistycznego, a wskoczyłem wprost do dziaderskiej trumny z sosny.

Saam przełknął tę moją imbę prawie bez skrzywienia. A nie mówiłem, dobry barman.

– Dopiero w odbiciu Luster możemy ujrzeć prawdziwego siebie – śmieje się Saam i mruga do mnie. Zdecydowałem się zatem wejść w tę konwencję.

– Ale, ale to przecież obraz, który nazywamy pozornym. Powstaje za zwierciadłem lustra w miejscu, gdzie przecinają się przedłużenia promieni odbitych. A te promienie... – kontynuuję, poprawiając się pewniej na stołku barowym – one w rzeczywistości nie wychodzą z tego punktu. Ale zdają się z niego wychodzić. W rezultacie widzimy w lustrze obraz punktu dokładnie w miejscu przecinania się przedłużeń promieni odbitych. Stąd bierze się wrażenie oglądania świata po drugiej stronie lustra. A ty, co zobaczyłeś po tej drugiej stronie wczoraj? – Gram odważniej. I pykło, bo widzę skinienie głową z uznaniem.

– Nic, czego by ten świat nie widział od zarania dziejów.

Zachęcam Saama do rozwinięcia myśli, powoli kręcąc kółka dłonią od siebie w jego kierunku. Jakbym rozwijał taśmę niewidzialnego

magnetofonu szpulowego.

– Widziałem nieprzebrany smutek dziecka maskowany męskim chamstwem i opresją. Rozchwianie emocjonalne godne owada zamkniętego w szklance. Opór daremny, osłabiający tylko jego wątłe ciało i żądlę, które i tak odpadnie nawet po najwspanialszym użądleniu. Widziałem, drogi kolego, wściekłą osę bez żądla. I powiem ci, że to smutniejsze niż samotne picie bourbona o 15.00. – Znowu mruga okiem w moją stronę.

– *Touché*. – Śmieję się szczerze po raz pierwszy w tym tygodniu. – A kto sprowokował tę osę bez żądla?

– Ano wypytujesz właśnie tego prowokatora. – Saam się uśmiecha i ja się uśmiecham, bo wiem, że mój tekst zawołał mnie tutaj w słusznym celu.

– Jeszcze jeden oldfashion przed moją opowieścią? To daj tę skłonkę, jak to mówią u mnie w domu pod Tarnowem.

#5 Haust: Wola Justowska Luksemburgiem Małopolski, czyli noc w domu Piaseckich

Czy musiałem spróbować? Z pewnością. Czy to był dobry pomysł? Nie sądzę. Czy Podolski był zachwycony moim nagłym urlopem u Piaseckich? Oczywiście. Nie mogę odmówić jednak absurdalności mojemu aktualnemu położeniu. A mianowicie leżę w pokoju gościnnym w rozległej willi na Woli Justowskiej, tuż przy parku Decjusza. Zakładam, że jeszcze 50 lat temu rażono prądem każdego śmiałka, który przekroczył ten próg bez aktu urodzenia wydanego w krakowskim Urzędzie Stanu Cywilnego. Ale nie mam co narzekać, bo nestor Antoni wraz z dziewczyną uraczyli mnie świetną kolacją, równie dobrym winem i ciekawymi historiami z 50 lat pełnego zawirowań i sukcesów życia rodziciela Piotrka. Antoni opowiada bardzo dobrze, obrazowo, jak każdy, kto tak kocha swój głos i kocha życie.

Zapadam się w materac piankowy Tempur z pamięcią kształtu, otoczony pachnącymi poduszkami i kołdrą w kolorze Pantone

17-5641 Emerald. Pięknie koresponduje z białą ścian i wełnianego dywanika oraz ciemnym brązem desek. Obok łóżka stoi smukła karafka z wodą, cytryną i rozmarynem. Na szafce puszcza parę wodną nawilżacz z kroplą... hm, to chyba olejek pomarańczowy. Mógłbym tak żyć. Mógłbym się chociaż przez chwilę tym uraczyć. No ale najpierw muszę się jakoś wysikać. Odwlekam to ze strachu, że kogoś obudzę. W końcu decyduję się wstać, co rekompensuje mi miękka wełna pod gołymi stopami.

Prześlizguję się powoli ciemnym korytarzem, ostrożnie stąpając po skrzypiących deskach. Mijam salon pogrążony w ciemności, jadalnię i kuchnię z lekką poświatą od przeszklonej lodówki na warzywa i owoce. Widzę tam rząd limonek i mój mózg serwuje mi ciąg skojarzeń: limonka-lód-tonik-gin. Lód i tonik skreślam z listy natychmiastowo. Nie chcę hałasować z dwuskrzydłową lodówką. Ale gin? Gin spokojnie stoi na stalowym wózku barmańskim tuż obok. Dobra, tę limonkę też sobie daruję. Ta zmywarka tak przyjemnie szumi... Nalewam sobie solidną porcję ginu do szklanki, upijam duszkiem połowę, uzupełniam ją szybko i nabieram ochoty na małe zwiedzanie. Ale najpierw wracam do swojego pokoju, by wyłować gałązkę rozmarynu i namokniętą ćwiartkę cytryny z karafki przy łóżku. No i pięknie, jestem wielce rad z mojego nocnego drinka.

Znowu wyslizguję się na korytarz i już pewniejszym krokiem odtwarzam trasę: salon, kuchnia, jadalnia – to już widziałem przed chwilą i podczas kolacji. Na górze całe poddasze zajmuje sypialnia państwa Piaseckich, to znaczy Antoniego Piaseckiego i jego dziewczyny Anety. Niech sobie tam spokojnie śpią, a ja pooglądam resztę dołu.

Następne drzwi to łazienka, z której chętnie korzystam. Może odrobinę zbyt głośno odstawiam szklankę na porcelanę umywalki. Ten dźwięk zdaje mi się rozsadzać uszy. Ciiii. Ciiiicho, Michu. Zamieram na chwilę ze spodniami w kostkach i nasłuchuję. Nic się nie dzieje. Oprócz tego, że strasznie chce mi się śmiać. Kucam przecież

nad deską sedesową Antoniego Piaseckiego, którego syna jeszcze wczoraj obsmarowałem w dość poczytnym portalu plotkarskim, ze szklanką całkiem przyzwoitego ginu w łapie, który podpijam im w nocy. Chyba ciut za szybko podpijam, bo kolejne stuknięcie szklanki o umywalkę dostarcza mi teraz tylko gwałtowniejszych konwulsji śmiechu. Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę, boś ty ze mną, szepczę czule do rżniętego szkła szklaneczki. Szklaneczki.

Wstaję i wychodzę, zabierając mojego pachnącego jałowcem towarzysza. Drzwi po lewej i drzwi po prawej stronie korytarza. Ence, pence, w której ręce...

Wchodzę do pokoju po prawej stronie. A ten wygląda kompletnie inaczej, tak jakoś nowocześnie, przynajmniej w porównaniu z resztą domu. Widzę biurko, wąskie łóżko, komodę, szafkę z książkami, dyplom za osiągnięcia sportowe Piotra Piaseckiego... Ach, czyli to dawny pokój Gwiazdora, nastolatka, Piotrka niedorosłego. Jego skórzana torba leży nierozpakowana na łóżku. Dzisiaj będzie tu spał, podpowiada mi mój podlany trzykrotnie destylowanym spirytusem mózg. Ale najpierw Piotruło musi wrócić ze swojej małej imprezki, na którą wyskoczyć „nie chcem, ale się zobowiązałem i muszem” – jak krzyknął, obwijając się absurdalnie długim szalikiem, po czym wybiegł z domu, jak taksówka zatrzymała się na małym brukowanym rondku. Tak. Mają małe brukowane rondko przed domem.

No dobra, to co my tu mamy. W szufladach biurka leżą jakieś ogryzki ołówków, ekierka, jakiś kluczyk, malutka figurka Hulka, pingwin we fraku i cylindrze, chyba z kinder-niespodzianki, i dwa plastikowe żołnierzyki – jeden leży z karabinem, a drugi stoi ze słuchawką telefonu polowego. Biorę mini-Hulka i uważnie mu się przyglądam. Mimo swoich zaledwie dziesięciu centymetrów jest bardzo wiernie odwzorowany. Zaciska swoje małe piąstki i marszczy brwi w niemym ataku wściekłości, który rozsadza mu mięśnie. Polubiłem tego małego drania. W kolejnych szufladach nic nie znalazłem oprócz osmalonych

lufek, sztuk dwie, i dziesiątek pogniecionych kartek z zeszytów. Wyciągam tę najbardziej zapisaną.

Zadanie 2b. Przeczytaj podany fragment „Lalki” i opisz, na czym polega tzw. syndrom Wokulskiego. Scharakteryzuj postać w maksymalnie 1500 znakach.

Pacjent Stanisław W., lat 46. Heteroseksualny mężczyzna kierujący się nienasyconą potrzebą społecznej akceptacji. Jego brak poczucia własnej wartości zakorzenił się już we wczesnym dzieciństwie, w którym nie doświadczył miłości bezwarunkowej, polegającej na spontanicznym zachwycie drugą osobą. Miłości za to, że się po prostu JEST. W efekcie poświęca życie na udowadnianiu światu swojej wartości poprzez kolejne osiągnięcia. Stanisław W. wysoko ceni przyjaźń, szacunek i miłość. I chce za nie słono zapłacić trzema banknotami z najwyższymi nominałami: pracą, poświęceniem i uczynkiem. Z pacjentem praca terapeutyczna jest utrudniona. Kreacja własnego JA Wokulskiego przypomina obraz „Potrójny autoportret” Johannaesa Gumppe. Widzimy na nim odwróconego do nas plecami Johannaesa malującego portret i zerkającego na swoje odbicie w lustrze. Tym samym autor prezentuje nam swój wizerunek w dwóch odbiciach – na płótnie i w zwierciadle. Oba są jednak ułudą, pozorem. Prawdziwe oblicze Johannaesa jest intencjonalnie ukryte. Prawdziwego Wokulskiego nieintencjonalnie chroni przestraszony mały Stasiek.

Zarekomendowano kontynuację terapii przy delikatnym wsparciu farmakologicznym środkami z grupy SSRI. Prawdopodobnie sertralina. Zalecono także ograniczenie kontaktów z panną Izabelą aż do osiągnięcia stabilizacji kondycji psychicznej. Poradzono zwiększenie wysiłku fizycznego, lekkostrawną dietę oraz regularne prowadzenie dziennika.

O, mnie to ostatnie też zalecono – cieszę się, nie wiem z czego. Już mam odłożyć, gdy na odwrotnej stronie zauważam notatkę nabazgraną czerwonym długopisem. Obok krótkiego tekstu widnieje dwójka zakreślona w kółko. Czytam komentarz:

Praca nie na temat, niezgodna z kluczem odpowiedzi. Żarty z literatury proszę uprawiać sobie, Piotrze, poza obowiązkami wynikłymi z podstawy programowej. Maturalna komisja egzaminacyjna jest pozbawiona poczucia humoru. Na ocenę miał wpływ również błąd logiczny – praca, poświęcenie i uczynek to NIE SĄ banknoty.

Pod spodem, innym kolorem: *Z poważaniem, go fuck yourself bitch!*

W duchu przyznaję rację autorowi drugiego komentarza. Pamiętam, jak w gimnazjum podjąłem się zadania z języka polskiego, takiego z gwiazdką. Mieszkaliśmy wtedy gdzieś pod Poznaniem. Leszno? Jakoś tak. Zadanie polegało na napisaniu opowiadania o tym, jak zmieni się świat w magicznym 2000 roku. Bardzo się postarałem, wielce byłem dumny z efektu, więc na swoje nieszczęście zgłosiłem się, żeby przeczytać swój tekst przed całą klasą.

– Sylwester, 1999 rok. Nad Leszno nadciągnęły nocne chmury... – zacząłem odczytywanie, ale od razu przerwała mi pani Ewa, nauczycielka.

– Nie ma czegoś takiego, jak NOCNE CHMURY, co to za bzdury.

– Proszę pani, to tak wygląda, gdy zapada zmrok i te chmury są ciemniejsze od ciemniejącego nieba... Jakby to chmury przynosiły noc, a nie znikające słońce... – tłumaczę się gorączkowo i beznadziejnie. Polonistka już tylko kręci głową.

– Ale żeś wymyślił. W domu wszyscy zdrowi? Czytaj dalej.

– Nad Leszno nadciągnęły nocne chmury... – zaczynam znowu, już bardzo niepewnie, bo słyszę marnie tłumiony śmiech klasy. dzielnie kontynuuję, czując piekący rumieniec wstydu. – Drobne płatki śniegu otuliły ostre krawędzie osiedla z wielkiej płyty. Niczym pierzasta pierzyna, która dodaje przyjemnej obłości nieprzyjemnym na co dzień kształtom. Zawstydzona szarość przykrywa się tą białą pościelą po sam zmarznięty nos. Patrząc w kierunku kuchennego okna, od którego odbijają się choinkowe lampki oraz twarze mamy i jej mamy, śmiejące się przy stole... – Raptownie przerywa mi głośnie parsknięcie nauczycielki.

– Michał, od kiedy ty masz w domu lustra zamiast szyb? – Teraz cała klasa zanosi się głośnym, szyderczym śmiechem.

– Proszę pani, ale jak na zewnątrz jest ciemno, a w środku pali się światło, to...

– Dobra, Michał, siadaj, wystarczy już tego. Jedyne nie dostaniesz, bo to było zadanie dla chętnych. Ale na drugi raz pisz na temat, nie wypisuj takich kocopołów. Ja wiem, że papier wszystko przyjmie, ale rany boskie. Ktoś jeszcze chce przeczytać zadanie jedenaste? Ania? Nie? To, proszę państwa, przechodzimy do wyników sprawdzianu z *Chłopców z Placu Broni*. Woźniak, proszę rozdać. – Profesor Ewa z plaśnięciem kładzie plik kartek na ławkę ulubienicy z pierwszej ławki.

To publiczne upokorzenie mojego kilkunastoletniego serca czuję nawet w tym momencie, serio. Aż do końca tego gimnazjum, a potem do końca liceum nie wypuściłem się z publicznym odczytaniem żadnego ze swoich tekstów. Mam kompleks grafomana, pisarczyka z Bożej łaski. Dzięki, Ewka. Wkurzam się w myślach i obiecuję sobie później sprawdzić leszczyńskie nekrologi, czy profesor Ewa nie spoczywa już w pokoju.

Ale dobra. Jeżeli to wypracowanie stworzył Piotr nastolatek, to chyba muszę zweryfikować pozorne odbicie Gwiazdora w mojej głowie. Nie lubię się jednak mylić, więc starannie odkładam wypracowanie o Stasiu Wokulskim i chcę zaliczyć ostatni punkt programu – regał z książkami.

Jest tu trochę lektur szkolnych, sporo Olgi Tokarczuk, Houellebecq, o, Littell, Tyrmand. Już chcę złapać za publikację *N.Y.C. #02 Wieteski*, gdy dostrzegam obok niej album oprawiony w grubą skórę. Bez tytułu. Oho, może rodzinny, ze zdjęciami malutkiego Piotra w waniencie z błękitnym termometrem rybką? Porzucam Wieteskę, pociągam łyżeczek, łyżcuń w sumie, ginu i otwieram moją nową zdobycz. Faktycznie, fotki rodzinne. Nawiasem mówiąc, nawet te najstarsze zdjęcia są w kolorze. Kurde, tych swoich 35 lat już nie ukryję przed światem.

Most przed zamkiem w Malborku, Antoni w kwiecie wieku, malutki Piotr w wózku i jakaś kobieta za wózkiem. Nie Aneta, pewnie wtedy przygotowywała się na pasowanie pierwszoklasisty, więc prawdopodobnie patrzę na rodzicielkę. Nawiasem mówiąc, ciekawe, co się z nią stało. Potem sporo zdjęć Piotrka przedszkolaka z niskobudżetowych scen wyściełanych krepą i watą: Herod, bałwan, pastuszek przy żłóbku, skrzat (i to w dwóch przedszkolnych sezonach), Drzewiec. Przewijam kolejne, bo nuda, to u mikołaja na kolanach, to grupowe, z urodzin w McDonalddie, na zjeździe z mamą, przy stole z ojcem – obaj czytają gazety w tej samej pozie. Młody studiuje „Misia”, a stary „Gazetę Krakowską”. Przechodzę do czasów licealnych, jakiś apel, Piotr na scenie jako Hamlet z czaszką. Jest też sporo dopisków, akurat przy Hamlecie dopisano „lepiej nie żyć, niż szlachcicem nie być”. Aha. Napisał skromny chłopak z Woli Justowskiej. Kolejna karta skleiła się z sąsiadką. Rozrywam obie strony ze swoich uścisków i już wiem dlaczego się skleiły. Przez resztkę kleju, który wyciekł spod sporego wycinka z fotorelacji z gali wręczenia nagród Polskiej Akademii Filmowej. Na zdjęciu Antoni Piasecki w kwiecie wieku pozuje z kobietą z szerokim uśmiechem i smutnymi oczami.

To znaczy, uściślijmy, pozuje tylko korpus Antoniego, bo w miejsce głowy została naklejona twarz nastoletniego Piotra.

Na zdjęciu obok podobnie, tym razem z Antonim po drugiej stronie kamery, inaczej niż zwykle. Sprawdza pewnie kadr u boku samego, już nieżyjącego profesora Stefanowskiego. Na kolejnej stronie oglądam zdjęcie z jakiejś plaży. Ale to nie Stegna, wnioskując po palmie, czystości piasku i braku parawanów za plecami. Brunetka, ale nie ta z poprzednich zdjęć, tym razem bez górnej części stroju przytula się do owłosionej i dość siwej już piersi Antoniego. Z głową Piotra juniora, rzecz jasna.

Jakoś ten gin wywietrzył mi w tym momencie z głowy, a przez całe ciało przechodzi nieprzyjemne, mdlące uczucie. Zażenowanie? Strach? Wstyd, że na to patrzę? Nie jestem pewien. Przewracam kolejną stronę i wtedy słyszę charakterystyczny dźwięk niezdarnie włożonego klucza do drzwi wejściowych. Cholera jasna, Piotruło wrócił, trzeba się natychmiast ewakuować. Wkładam album na miejsce, omiatam kontrolnie pokój wzrokiem i już chcę zgasić światło, by uciec w mrok korytarza, gdy widzę, że jedna z wyciętych główek Piotrka sfruwa wirującym, powolnym ruchem z półki na sam środek pokoju. Bez dłuższego namysłu dmucham tę główkę w kierunku regału i tuż przed zgaszeniem światła widzę z ulgą, jak bezpiecznie ląduje głęboko pod komodą. W samą porę, bo Piasecki junior już uporał się z drzwiami po obu ich stronach i prawie wyswobodził się ze swojego długiego szalika. Cichutko zamykam drzwi za sobą, przemykam przez równie długi, nieznośnie skrzypiący korytarz i zamykam się od środka w swojej tymczasowej przystani.

Uch. Zsuwam się powoli plecami po drzwiach na podłogę. Jestem prawie cały mokry od potu. Słyszę jeszcze oddalające się człapanie. Nie zdjął butów, łobuz jeden, hehe. Cała adrenalina odpłynęła mi z ciała. Uch, dobra akcja. Dobra. Ukoję ostatnie drgania nerwów moją niezastąpioną szklaneczką.

Co.

Nienienienie. NIE. Szklaneczka z niedopitym Heritage Magnolia Gin z gałązką rozmarynu i rozmokłą cytryną z mojej karafki została na biurku w pokoju Piotra. Podkurczam nogi pod brodę i chyba zaraz zacznę bujać się w przód i w tył jak w chorobie sieroczej. Ale nie mogę ich dobrze podkurczyć, bo coś mnie dźga boleśnie w udo. I wtedy wyciągam z kieszeni dziesięciocentymetrową figurkę Hulka. Domyślam się, że Piotr będzie miał twarz podobną do grymasu zielonego Roberta Bannera, gdy połączy kropki – moją szklanekę z rznietego szkła z własną, wyciętą ze zdjęcia główką.

#6 Haust: Mich na rozdrożu

Na trasie pendolino Kraków–Warszawa była taka miejscowość. Tunel się nazywała. I tunelem była i jest w istocie. Wrota wjazdu zostały opatrzone datami 1882–1884. Dwuwłotowy tunel obmurowano trzema i pół milionami cegieł za ponad milion rubli. I te cegły się kruszyły. I spadały przez kwas siarczany, który wytwarzał się z siarki z dymu parowozowego. I ten dym przenikał wilgotną cegłę i rozsadzał ją przy ujemnych temperaturach.

Ale stoi. Stoi do dzisiaj, przyjmując w mroczne wnętrze rozpędzone do zawrotnych 60 km/h pendolino. Wsasy je w siebie i przenosi w nowy wymiar. Bezwymiar. Bez zasięgu.

Pasażerowie budzą się z marazmu, bezradnie rozglądając się w prawo i w lewo. Oświetlani kolejnymi lampami tunelu, bez dostępu do tych wszystkich raportów, podsumowań, kalendarzy, tabel, wątków i wykresów.

Nie ma na co patrzeć.

Jak załoga kosmiczna – szkolona, by znieść te wszystkie przeciążenia. Zaraz minie. Zaraz wszystko wróci do normy.

#7 Haust: Mich upada po raz drugi

Moimi żyłami popłynęło ciepłe masło o aromacie ziemniaków. Żołądek trochę puścił. W ogóle moje mięśnie poddały się, jakby zasłuchane w skwierczenie niewysuszonego drewna.

Zostawcie w mojej głowie

Najdziksze sny.

Odplywam.

– Buaaaaa, buaaaaa – odpowiada zgodnie biegnąca wataha.

Myślę sobie – to i ja krzyknę dla fabuły. Ale nie jestem w stanie wykrztusić z siebie pojedynczego dźwięku. Biegniemy w równym rzędzie i w absolutnej ciszy. Krztuszę się. Drapie mnie w gardle. Odkasłuję. Przecież jak zawołam, to nikt nie odpowie. Wyjdę na idiotę. W końcu odważam się na chrapliwe i żalosne „Haaaa...”.

Biegniemy dalej, a ja umieram w środku. Cisza. Wiedziałem.

I wtedy słyszę, jak młody Piasecki zakrzyknął krótkie i przeraźliwe:

– HAA!

A potem, zza jego pleców rozlega się głośno:

– Ha ha haaaaaaaaaaa!

– HAAAAAAAAA! – wyje grubasek w okularach przede mną.

– Hahahahahaha – zaśmiał się gardłowo Druid.

A więc słyszeli.

Biegniemy dalej w ciszy. Chce mi się płakać. Nagle tracę siły, przystaję i pozwalam pozostałym oddalić się ścieżką. Zostaję sam pośrodku lasu. Ale to lepsze niż wstyd.

Haust #8: Mich o dziadku, kręgu mężczyzn i ojcach

Dziadek miał swój jeden jedyny atrybut i był to fotel bujany. Nie pamiętam go stojącego, idącego do kibla czy wyjmującego coś z lodówki. Nie. Fotel był niczym przeszczep. Mechaniczne bujanie utrzymywało organizm dziadka w ruchu. Kiedyś myślałem, że każdy mężczyzna w tym wieku ma swój fotel, który niczym respirator pompuje życie w starcze członki.

Obok dziadka na komodzie leżały piloty ułożone zawsze w tej samej kolejności, od linijki. Jeden był do włączania telewizora. Drugi był do włączania dekodera. Trzeci był od satelity. A czwarty do odtwarzacza

kaset wideo. Kiedy budziłem się jako pierwszy w domu dziadków, zakradałem się do salonu i patrzyłem na chrapiącego nestora w fotelu. Telewizor śnieżył, ale ja wiedziałem, że to już niedługo. Byłem małym partyzantem. Z mojej skrytki za kanapą oglądałem z dziadkiem wieczorne programy. Nikt nie zapalał dziadkowi światła, dlatego cały pokój oblewała niebieska poświata telewizora. Czasami na ścianach pojawiały się przebłyśki innych kolorów, w zależności od tego, co wyświetlało się na ekranie. Czerwień i żółć – bo sensacyjne lub wojenne. Beż – bo pornosy.

Tylko dwa razy w życiu żałowałem, że zobaczyłem, co zobaczyłem. Raz przy *Mechanicznej pomarańczy* – do dzisiaj boję się optometrystów, optyków i badania wzroku. Drugi raz na *Panu Wołodujowskim*, a konkretnie podczas wbijania Azji na pal. Dziwne, że nie przerodziło mi się to w jakieś perwersyjne fetysze.

Dziwne. Z dwojga złego taki pal gorszy od przytulania się z tutejszą zgrają.

(...)

Jakoś nie chciałem być sam, więc szybko wróciłem do reszty. Wita mnie Grzegorz z parującą miską kaszy jęczmiennej z grzybowym sosem. Ściska mnie nagły głód. Jem jak zwierzę.

- Jem jak zwierzę – mówię i słyszę śmiechy znad pozostałych misek.
- Wilczy głód, a jak – dopowiada Mario, Marian lub Mariusz, jakoś tak.

Wracamy do kręgu, zrobiło się całkiem ciemno na zewnątrz. Druid zarządził, że jeszcze jedna historia i na dzisiaj wystarczy. Czuję ulgę. Zero presji. A następny w kolejce był Piotr Piasecki.

- Jestem Piotrek i dzisiaj kończę trzydzieści lat. Co roku mój ojciec

zaprasza mnie do siebie na urodzinowy obiad. Menu jest dokładnie takie samo od dobrych dwudziestu lat. Ojciec kupuje kawałek schabu z kością, samodzielnie rozdziela go na dwa grube plastry i smaży je na smalcu. Podczas obracania mięsa zawsze wspomina swojego ojca, który takie schabowe przygotowywał tylko raz w roku. Tak, tak, na jego urodziny oczywiście. „Kiedys i ty będziesz synowi takie kotlety smażyć” – powie albo „I tak jak dziadek mnie, tak ja i tobie smażyć”. Potem kroimy, żujemy i przełykamy kilka, kilkanaście razy. Zawsze w ciszy. Ojciec rozlewa wtedy cabernet sauvignon z Napy. Raz wybrał bordeaux i był w niesmaku przez całe spotkanie. Nie zagrało w tym spektaklu. Z każdym rokiem utwierdzałem się w przekonaniu, że to nie był gest dla mnie. Nie, to zawsze był monodram. Najpierw go uwielbiałem. Z każdym kolejnym rokiem coraz ciężiej było mi w tym uczestniczyć. W tym roku nie poszedłem na spektakl. Ale tak myślę, że nawet bez widzów, a ojciec i tak go odegra. *Ars gratia artis*. I pewnie zamknąłbym się w mieszkaniu z jakimiś procentami i oglądałbym jego filmy do rana. Ale jestem tutaj. I kiedy położyłem się i założyłem maskę na oczy, to skupiłem się na tej czerni przede mną. Jeżeli coś grało, to ja tego nie słyszałem. Zobaczyłem za to swoje powieki od środka. Tkanek łączną włóknistą. Sprężyste włókna kolagenowe. Ściągnęno mięśnia dźwigacza powieki. Kontemplowałem pollockowe obrazy w wersji pozbawionej saturacji do zera. I wtedy poczułem, że moje powieki mają setki warstw. Zapragnąłem je otworzyć – jedna po drugiej. Trochę to trwało i zlałem się potem, takie to było ciężkie. Na początku dźwigacz powieki współpracował ze mną i pomagał, jakoś to szło. Gdzieś w połowie drogi przyjrzałem się temu dźwigaczowi, bo ta morda wydała się znajoma. No i oczywiście, bingo odhaczone, to był mój stary, Piasecki senior. Tylko w takim granatowym kombinezonie roboczym, nie w płaszczu i szalu, pewnie dlatego nie poznałem. No i co wam będę ściemniał, mój rodziciel wcale nie pomagał mi dźwigać, on całą siłą swoich malutkich muskułków starał się spowolnić moje otwieranie. Już miałem się wydrzeć na niego, ale ten jego upór, purpurowa z wysiłku twarz i ten kombinezon wydały mi się takie żałosne. Panowie, uwierzcie mi, że współczucie boli bardziej niż

złość. I wytoczyła mi się jedna łza, większa od dźwigacza i porwała go z nurtem w nicość. I wtedy otworzyłem ostatnią powiekę i zobaczyłem Druida. Dobra, za długo gadam i tak. Kończymy?

– Piotrek, mamy czas. Czujemy, że to koniec? – Druid popatrzył się na mnie i chłopaków. Czuję, że to, co chce powiedzieć junior, jest bardzo jego i całym sobą nie chcę tego usłyszeć, czuję jego wstyd. To był mój wstyd.

– No nie, ale to nic ciekawego, po co to komu – mamrocze Piotr, ignorując przeczące kręcenia tu i tam.

– Mamy czas. Mamy czas dla ciebie. Wyduś to z siebie, cokolwiek ci w rurze zalega, a potem pójdziemy spać. Uwierz, że cokolwiek z ciebie nie wyjdzie, jutro będzie to tylko powidok naszych snów i wyobrażeń – uspokajająco zapewnił Druid, patrząc uważnie na Piotra. Zapadła cisza. Słyszałem tylko przyspieszony oddech Juniora i dalekie poszczekiwanie Hektora.

– Tutaj lepiej niż w konfesjonale, chłopie, *ex ante* dostajesz wybawienie – zaśmiał się Adam, który trzyma się z Druidem najbliżej. Grzesiek mówi, że był tu od pierwszej Watahy i w przyszłości ma przejąć część grup Druida. Stary wyga. Piotr milczał przez kilka długich sekund, a potem zaczął mechanicznie wyrzucać z siebie słowa, uparcie patrząc na dopalające się Palo Santo.

– Podobno jak się sadi szlachetne gatunki drzew, to trzeba trzymać pewne odległości. Bo jak sadzonka wykiełkuje za blisko sąsiedniego drzewa, to nie ma pola do wzrostu. Na początku wszystko idzie dobrze, jest podparcie, jest przestrzeń. Ale z roku na rok starsze drzewo zabiera cenne soki i dostęp do słońca. Ja, kurwa, wyrosłem na samym korzeniu pradawnego dębu. W fazie wzrostu dzieliłem cenne minerały ze statecznym, postawnym drzewem. Nawet mówili: „Wypisz, wymaluj, jak był młodziakiem”. A gdy chwilę potem moje gałęzie chciały się odrobinę rozrosnąć w bok, po swojemu, to napotykały pień, mur nie do przebicia i obumierały w zderzeniu z dojrzałym drzewem. Więc wykrzywiłem się w drugi bok, do tyłu, tu i tam, pokracznie

sunąc tuż nad ściółką, by móc się jakoś rozwinąć. Bardzo wcześnie poczułem ja i poczuło drzewo, że za wysoko nie urosnę. (...) Kiedyś za dzieciaka usłyszałem, że jak się wyjmie lody z zamrażarki, rozmrozi je i zamrozi ponownie, to można je zjeść i umrzeć przez jakąś bakterię. Przygotowałem taki deser ojcu, ale nic oprócz rozwolnienia mu nie było. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżał w delegację, wyobrażałem sobie, że ginie tragicznie na autostradzie lub w bocznej wiejskiej drodze. Układałem w pamiętniku przemowy pogrzebowe i sam nad nimi płakałem, były takie piękne. Zacytuję z pamięci, dobrze?

Ojciec. Wskazówka. Przewodnik. Najlepsza rola w życiu, którą przyjął bez dyplomu szkoły aktorskiej. Rektor rodziny. Prezes ogniska domowego. Drogowskaz. Znak nie ocenia, znak informuje i oczekuje podporządkowania. Koneser. Złota rączka. Był moim dziecięcym fryzjerem, krawcem, nauczycielem ułamków. Raz w roku smażył najlepsze kotlety. Perfekcyjny obcinacz paznokci. Aktor. Reżyser. Ręka dzierżąca statuetki. Antoni ojciec. Czy z jego śmiercią coś straciliśmy? Nie, kochani zgromadzeni, zyskaliśmy. Możemy nadal cenić i hołubić jego sukcesy, wspaniałe opowieści i role. A na dodatek nie musimy cierpieć, w końcu mamy jedną przewagę. Oddychamy. Żyjemy. Mamy ciepłą skórę. A tego Antoni nie jest już w stanie osiągnąć. Ale tylko tego. Umarł król, niech żyje król. Panie, świeć nad jego duszą. Módl się za nami.

Syn Antoniego powoli wypuszczał z siebie kolejne słowa, jakby same podeszły mu do gardła we właściwej kolejności, dobrze znanej jego komórkom, tkankom i krwinkom.

– Jakoś ostatnio zacząłem słuchać audiobooków z historiami kryminalnymi. Jedna z nich zapadła mi w pamięć. Pamiętny 1999 rok, podkrakowska wieś. Syn zwabia ojca na wybrukowane podwórko, ogłusza go i wprawnie skalpuje. W końcu syn rzeźnika, nie ma to tamto. Na drugi dzień niedowidzący dziadek nie zorientował się, że w mrocznej sieni rozmawia ze swoim wnukiem, który założył twarz zamordowanego ojca. Podobno dopiero po paru dniach się połapał. I wiecie, co mnie uderzyło? Nie wstręt, a zrozumienie. Tak że tak. To co chłopaki, idziemy w spanko? – Piotr raptownie zakończył pytaniem,

ale nikt nie odpowiedział. Poszedł do sypialni spakować się na spanie w lesie, a my jeszcze chwilę posiedzieliśmy w milczeniu, patrząc na puste miejsce po Piotrze.

#9 Haust: Kolejna ucieczka?

Wiedziałem, że obudziłem nie tylko Grzesia. Ktoś wygrzebał się ze swojego legowiska, pewnie, żeby się odlać. Ale ja wiedziałem, że coś jest nie tak i nie chciałem tak leżeć bezczynnie, i czekać na to, co nieuniknione. Wylizgnąłem się ze śpiwora, zapaliłem czołówkę na podczerwień i poszedłem poszukać gałęzi, by rozpalić dogasające ognisko. Nie dla nich, dla siebie. W bezpiecznym okręgu ogniska nie było już gałęzi. Wejście w mrok kosztowało mnie kilka zadrapań i skurczów mięśni ze strachu. Wyniosłem jednak kilka nędznych, ale suchych patyków na ramionach i cisnąłem je w ognisko. Rozpaliło się, rzucając w mrok pomarańczową poświatę, która odkryła zawiniątka ze śpiworami i wielkie drzewo. I niewielką postać Piaseckiego juniora pod nim. Był dziwnie malutki. I wzbudził moje zaniepokojenie. Zbliżyłem się nieufnie, jego zarys zaczynał się wyostrzać, a jednocześnie przepoczwarzać w dziwny kształt, tak niepasujący do tego, czego się spodziewałem. Nim mnie dostrzegł, potknąłem się o drewnianą tabliczkę. Omiotłem ją strużką czerwonego światła z czołówki. Napis głosił: „Buk Ojciec, pomnik przyrody”.

Wyciągnąłem głowę w górę wraz z czołówką, wzdłuż grubego pnia pokrytego guzami starych dziupli, niższymi ciężkimi konarami zawisłymi nad śpiworami mężczyzn i cieńszymi gałęziami sunącymi ku górze. Buk Ojciec był mroczny, gruby, uspiiony. Obojętny. Straszniejszy od tego, co dalej, w krzakach. Wróciłem wzrokiem do korzeni i do Piotra, który przylgnął ciałem do pnia drzewa, stapiając się z Bukiem Ojcem w jedno. Dłonią czule gładził szorstką fakturę kory. Wydawało mi się, że coś szepcze, przybliżając usta do pnia. Kolanami oplótł podnóże Buka, podciągnął się wyżej, wyżej i siłą mięśni podnosił ciało do góry, obnażając nagi brzuch i szorując nim o stateczne drewno.

Po chwili przestał i powoli odwrócił twarz od drzewa w moim kierunku. Nie było w niej nic ludzkiego. Nasze spojrzenia spotkały się, a ja poczułem zwierzęcą panikę. Cała wstecz.

Nie byłem w stanie jednak się poruszyć. Jakby czerwony snop światła mojej czołówki zatrzymywał ten przedziwny obrazek w miejscu. Czuję, że z momentem skierowania go w inną stronę Piotr i Buk Ojciec ruszą na mnie.

Stałem więc w bezruchu. Coś zawyło w oddali i to wytrąciło Piotra z letargu. Powoli zsunął się z drzewa. Otrzeptał się, stanął wyprostowany twarzą do mnie, zgiął łokcie, przyłożył dłonie do klatki piersiowej, zaczął poruszać nimi niczym małymi skrzydełkami, pochylił się w moim kierunku, po czym ryknął:

– Biegnij larwo, biegnij do przodu!

Rzuciłem się w ciemne krzaki. Uciekałem od tego, co zobaczyłem. Po chwili biegłem w zupełnie nowym kierunku, do tego, co znalazłem. Odbiłem w prawo. Straciłem rachubę, bo wracać nie chciałem nigdzie. Zaczynało jaśnieć. Czerwień stapiała się z szarością dnia. Po chwili po prostu biegłem.

Katarzyna Kalwak

Spust to opowieść o zmierzchu millenialsów, spisana z fragmentów autoterapeutycznych notatek 35-latka. Najlepszego performerera warszawskiej korporacji, dziennikarza śledczego krakowskiej redakcji PŁotek, a finalnie – uczestnika męskiego kręgu w bieszczadzkiem lesie. Swoje obserwacje i wspomnienia podaje nam w formie słowotoku, a my płyniemy wartkim strumieniem jego ADHD-owej świadomości.

Z każdą z trzech części Michowi odpadają kolejne maski, a w narracji pojawia się więcej ludzkich twarzy. Z trudem rozwija się też autorefleksja bohatera, bohatera niczym zasłyszany cytat spod biurowca

Mam trzy i pół dioptrii,

Ale siebie tutaj nie widzę,

Bo patrz,

On w ogóle nie dostrzega,

Konfiguracji otoczenia,

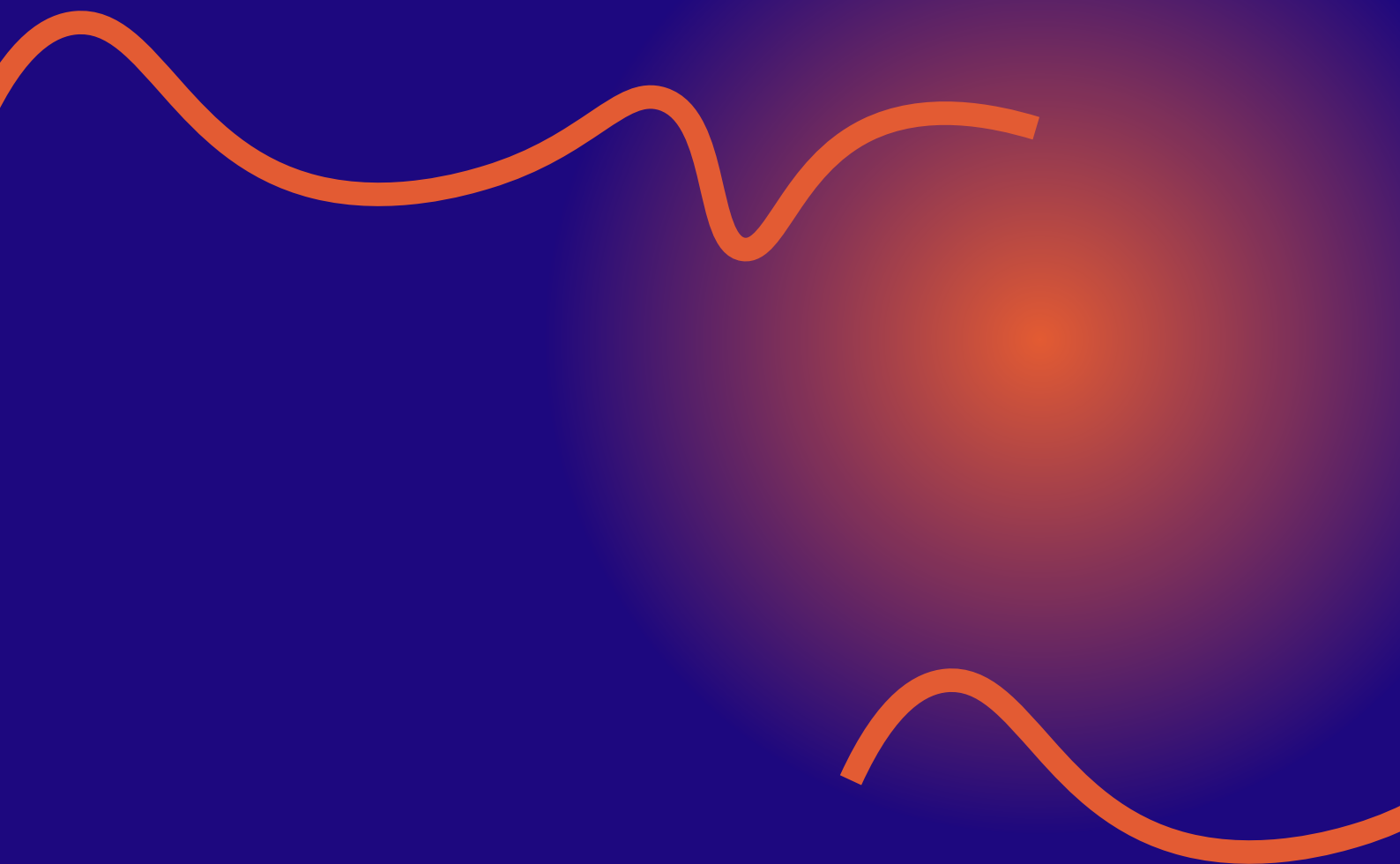
Wyskoczyło, że zmarło,

System widzi,

A nie wie, że widzi.

Mich po spektakularnym zwolnieniu z pracy ucieka z Warszawy do Krakowa, wprost do redakcji portalu plotkarskiego. Jego pierwszym autorskim tematem stają się wybryki syna krakowskiego aktora. Po krótkim, acz dosadnym artykule o skandalicznym Piotrze Piaseckim juniorze Mich zostaje zaproszony do willi Piaseckich. Krakowska atmosfera artystycznego światka zachwyca, a to, co odnalezione pod powierzchnią budzi lęk i wspomnienia o własnych zmorach, kom-

pleksach. Wizyta na Woli Justowskiej zakończyłaby się kolejną ucieczką Micha, gdyby nie propozycja bez opcji odrzucenia – wyprawa w las do męskiego kręgu. Tam poznajemy historie mężczyzn w różnym wieku, a jedna z nich – Piotra juniora właśnie – przeraża Micha najbardziej. Ale nie tylko. Obecność, współtworzenie, dotyk, bycie częścią całości. Dosłowne zrzucanie kamieni z pleców. Kompleks ojca. Zamiana korporacyjnych przestrzeni na surowe okoliczności przyrody. Nowy, nienaturalny kontekst czystej natury. Coś zaczyna się zmieniać. Ale to nowe uwiera, do niczego nie pasuje. Mich znowu rzuca się na oślep, byle dalej od lęku przed męską wrażliwością, demonami przeszłości, samoświadomością. Być może tym razem nie jest to ucieczka, być może to samodzielny bieg w swoim kierunku. Być może.



Katarzyna Makarewicz

Nieważne (Fragment)

Druga randka

– Przygotowałem dla Ciebie coś specjalnego.

Widzę wiadomość z samego rana na moim facebooku i czuję, jak gula w gardle zaczyna się rozrastać. Jeszcze nie wstałam z łóżka, a już wiem, że śniadania na pewno nie przelknę. Adrenalina pod hasłem „ciekawe, co to może być” na przemian miesza się z przerażeniem zatytułowanym: „na pewno nigdy tego nie robiłam wcześniej i nie będę umiała/wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć”. Wyświetlam, ale nie odpisuję. Co najmniej przez pierwsze dwie godziny, kiedy to zakrywam się kołdrą i udaję, że nie istnieję. Że jeszcze wszystko można odwołać, że tylko:

– Jedno słowo Twoje, księżniczko, i zrobię, jak zechcesz – jakby to pewnie powiedział, a potem się obraził.

Bo w teorii wszystko zależy ode mnie i mogę to w każdej chwili przerwać, ale w praktyce to on się przecież bardzo mocno musi nagimnastykować, nastarać, nawykręcać, żeby taki jeden cały dzień móc ze mną spędzić, żeby jedną taką chwilę z napiętego grafiku wyrwać. Byłoby mu więc bardzo przykro, gdyby taka była moja decyzja, a ja wyszłabym na bardzo niewdzięczną. Ostatnio zresztą przyjechał do mnie, więc dzisiaj moja kolej, ja jadę do niego. W końcu mama zawsze powtarza, że ja też czasem mogłabym coś dać od siebie.

Umówmy się tylko, że to „do niego” to tytuł roboczy. Nigdy mnie nie zaprasza do siebie do domu. Nie zbliżamy się nawet do jego okolic. Krążymy wokół. Dzisiaj to samo. Jak się okazuje, „coś specjalnego” oznacza nas dwoje pośrodku niczego, w zarośniętych chaszczach, których nie przetarła żadna ścieżka, żaden drogowskaz. W których nie zostały żadne ślady, jakby o to

chodziło, żeby można było je szybko zatrzeć.

Ale od początku. Przyjeżdżam. On już czeka. Wziął sobie z tej okazji cały dzień wolny. Odbiera mnie z dworca autobusowego i od razu wsadza na honorowe miejsce po jego prawicy, tam gdzie z premedytacją może łapać jedną ręką moje kolano i zupełnie przypadkiem się o nie ocierać, gdy potrzebuje coś wyciągnąć ze skrytki. Z ojcem wciąż jeszcze jeżdżę z tyłu, bo jestem dzieckiem. A może dlatego, że istnieje niepisana zasada – ukochane sadza się z przodu.

Najpierw idziemy coś zjeść do małego wegetariańskiego baru w piwnicy. Chcielibyśmy wierzyć, że zachowujemy się swobodnie i niczego przed nikim nie ukrywamy, ale wystarczy spojrzeć, do jakich miejsc chodzimy, jakie knajpy wybieramy. Zostawiam połowę gołąbka i większość ziemniaków. Każdy kęs staje mi w gardle, zasila rozrastającą się w nim gulę. Próbując ratować sytuację, kawałek po kawałeczku pijam wodę, żeby rozpuścić ten wstyd, rozmiękczyć ten lęk, przelknąć jakoś widmo niebezpieczeństwa. Na próżno. Gołym okiem widać, że to nie ja zajadam stres, tylko stres zjada mnie. Leszkowi też średnio idzie, chociaż on umie zrzucić winę na za duże śniadanie, na ogólny brak apetytu ostatnimi dniami, on umie zwalić to na kogoś innego. A ja bezwiednie przyjmuję dodatkowy ciężar na barki.

– To chyba ty tak na mnie działasz. Po co mi napętniać brzuch skoro i tak już mi w nim latają motylki – uśmiecha się zawadiacko. A ja niby wiem, że prędzej ma raka jelita grubego, który rozrasta się w nim powoli, niż lekko unoszące się zdobne łuskoskrzydłe na dnie swojego żołądka, odporne na żółć, która się w nim latami nagromadziła. Ale i tak daję się robić. Ugniatć jak mąkę, z której chleba nie będzie. Odwzajemniam uśmiech i kładę chusteczkę na talerzu. Trochę na znak, że skończyłam, a trochę wciąż żeby ukryć, jak bardzo drzę w środku. I że coś mnie ściska, choć nie są to jeszcze jego ramiona.

Wyjeżdżamy za miasto. Ja patrzę na jego posępny wyraz twarzy, zastanawiając się, czy mnie rozszarpie, a on jak gdyby nigdy nic skupia się na

drodze. Jakbyśmy jechali na zakupy do tesco, a nie do lasu, w którym nie ma nikogo. Dzień jak co dzień. Gdy wysiadamy z auta, on kroczy przez zarosnięte ścieżki tak pewnie, jakby odwiedzał to miejsce regularnie. W jednej ręce niesie butelkę różowego wina i dwa plastikowe kubeczki, w drugiej trzyma torbę z kocem. Ma je tylko dwie, więc sorry Hania, będziesz musiała sobie poradzić sama, zamiast za rękę, idąc za nim. W końcu docieramy nad mały stawek. Od momentu wyjścia z auta do teraz nie widziałam ani jednego przechodnia. Jesteśmy sami, pośrodku niczego i trochę nie rozumiem, o co tyle zachodu, skoro moglibyśmy po prostu skryć się gdzieś na bulwarze na skraju miasta. Trochę nie rozumiem, o co tyle hałasu, skoro nie moglibyśmy przecież trafić ciszej.

– Masz otwieracz?

Przerywa ni stąd ni zowąd milczenie, pytaniem którego w ogóle się nie spodziewałam, bo jak to niby ja miałabym go mieć. Przecież to on powinien przynieść ze sobą otwieracz, jeśli liczy na to, że moje nogi będą odrobinę mniej zamknięte.

– Nie zabierałeś go ze sobą? Widziałam, jak pakowałeś go do torby.

– A faktycznie, nie zauważyłem, tutaj jest. To pewnie przez to jak na mnie działasz. Nie mogę myśleć trzeźwo, chciałbym od razu mieć cię w swoich ramionach.

– Zaraz będziesz mnie miał. A w międzyczasie chcesz papierosa do tego wina?

– No a jak.

Na jego czole skrapla się cały upał lata. Strużki potu są wszędzie, słonawe wlewają mi się do ust, ściekają po policzkach, ślizgają między piersiami. Rozgrzana krew przyciąga coraz więcej komarów. Ugryzienia stają się nie do zniesienia. Mnie swędzi tyłek i łydki, a Leszka świerzbi ręką. Chciałby nią dotrzeć jak najdalej, jak najgłębiej, w każdą ze stron i na odwrót. A ja nie wiem, co zrobić ze swoją, za co się złapać, czego chwycić w tej tak obcej mi scenerii. Jak poruszać się, a nawet jak w ogóle dać prowadzić w tym tańcu, który znam tylko z opowieści. Wszystko, co robiliśmy wcześniej, się nie liczy. Było jakieś całowanie, przytulanie, dotykanie, ale chroniła mnie przestrzeń publiczna, przypadkowi przechodnie. Wiedziałam, że to się nie

może wymkną spod kontroli. Czasami nawet dlatego specjalnie go prowokowałam. Fajnie się opowiada o tym, co teoretycznie nie może się zdarzyć.

A teraz leżę w tej trawie jak mała kotka, zupełnie bezbronna, dopóki życie po raz pierwszy nie nauczy mnie zachodzić za skórę pazurami. Może i się łaszę. Może ocieram swoim ogonem o uda kocura, może szorstkim językiem zlizuję jego pot za uchem, może nawet mruczę, gdy powoli niby od niechcenia głaszcze mnie po brzuszku. Ale nie do końca wiem, co się dzieje, nie do końca zdaję sobie sprawę z tego, co będzie dalej. Nie do końca mi wytłumaczono, jak to się w ogóle robi. Jak się staje prawdziwą kocią.

Najdziwniej jest wtedy, gdy Leszek wkłada mi udo między nogi, a raczej powinnam powiedzieć, że ostatecznie głównie objam się o jego kolano. Mówiłam mu co prawda, że dotychczas jedyną formą masturbacji, jakiej udało mi się spróbować, było wkładanie tam sobie miśka albo kołdry po przebudzeniu i ocieranie się o nie tak długo, aż zaznam coś na kształt tego uczucia długo trzymanego moczu, któremu w końcu pozwala się wytrysnąć. Jednak to, co on teraz robi ani trochę nie przypomina pluszu maskotki ani miękkości pościeli. Jest za to tak, jakby kazał mi kamieniem trzeć moją cipkę, licząc na to, że wznieci ogień, a mi tak jak wszystkim początkującym prometeuszom nie leć nawet drobne iskierki. Próbuję się skupić na tej trawie, na mętnej jak krążące myśli wodzie w stawie, na jego ustach zasysających moje sutki jakby zawarty w nich był ostatni tlen na tej części hemisfery. (Było ostatnio na geografii, to wiem). Staram się rejestrować jego coraz bardziej nabrzmiałe od gorąca wypukłości ukryte jeszcze pod bielizną i skupić na tym, by wymyślić następne kroki działania, żeby przez myśl mu nie przeszło, że nie umiem odwzajemnić pieśczęt, żeby sobie nie pomyślał, że jestem jedną z tych, co tylko leżą nieruchomo jak kłoda. Niestety z jakichś przyczyn chwilę później mnie już tam nie ma. W tym cieple małej kotki próbującej naśladować kocicę. W tych nieporadnych dłoniach, które zamiast eksplorować teren, kurczowo i nieporadnie chwyciły się jednego ramienia. Unoszę się wysoko i przyglądam im z daleka. Tej osiemnastolatce, która urwała się ze szkoły, żeby napić się trochę wina i bez obaw o bycie nakrytą spalić parę szlugów. Tej młodej dziewczynie, z którą do tej pory jeszcze nikt nie chciał chodzić za rękę dłużej niż by trwała letnia kolonia.

A teraz jest tutaj, na końcu świata z gościem, który też się urwał. W zależności od tego jak na to spojrzeć: z pracy albo z choinki. Przewala ją po tej trawie, ugniata, miętosi, liże, całuje, wygina, uciska, obmacuje, ale głównie: konsumuje. Robi to tak, jak go uczono albo jak uważa za słuszne. Niby zapytał, jak lubi, żeby ją dotykać. Ale to jakby zapytać człowieka, który nigdy nie poszedł pływać o to, ile umie najdłużej wytrzymać pod wodą. Jakby próbować się dowiedzieć od mieszkańca odległej północy, na jaki kolor opala się jego nagie ciało latem. Może przypuszczać potencjalne scenariusze na bazie ogólnodostępnej wiedzy, starać się zgadnąć, który najbardziej pasuje do niej, ale jej ciało nie niesie w sobie żadnej empirycznej informacji. Niby zapytał, gdzie chciałaby, żeby pieścił ją najbardziej, ale Hanka nie ma jeszcze gotowej odpowiedzi popartej godzinami praktyk, które potem odbędzie bezpłatnie. Wszystko po to, by w końcu te przyjemne obszary odnaleźć. Zgłębić czule punkty, które teraz za wszelką cenę stara się ukryć.

Widzę ją. Jest przerażona. A im większa staje się pula strachu, którą dysponuje, tym bardziej musi jej umniejszyć, żeby nie dać po sobie poznać, że jest tylko małą dziewczynką, która zabłądziła gdzieś daleko od domu. Zachwycona najlepszymi słodyczami, których dotychczas nigdy nie miała u siebie na chacie, wsiadła do auta z nieznanym. I teraz nie wiadomo, jak wrócić i czy w ogóle się jeszcze da. Czy Leszek raz zasmakowawszy nowego limitowanego smaku władzy, będzie umiał ją kiedykolwiek odpuścić. Zrzec się dla dobra sprawy?

– Chodźmy stąd, co? Nie jest tutaj jednak tak, jak sobie wyobrażałem. Chciałbym pierwszy raz kochać się z tobą w przyjemniejszym miejscu. Co myślisz?

– Tak, chodźmy stąd, jestem cała pogryziona.

Przez wyrzuty sumienia, że co ja sobie właściwie myślałam albo że nie myślałam w ogóle. W trakcie drogi powrotnej gryzie mnie też inna myśl. Coraz bardziej dotkliwa świadomość wieku Leszka i jego kilkunastoletniego doświadczenia zaczyna uwierać jak te koronkowe stringi, które po-debrałam matce.

– Ja też chciałabym się z Tobą po raz pierwszy kochać w innym miejscu – mówię.

I jest w tym trochę prawdy, a trochę niedopowiedzenia. Chciałabym przeżyć swój pierwszy raz w innym miejscu. Tak powinno brzmieć oficjalne oświadczenie. Z jakiegoś powodu jeszcze się na nie nie decyduję. Z jakiegoś powodu chciałabym móc jeszcze chociaż chwilę być bardziej kobietą, której nie mógł się oprzeć niż sierotką, którą musiał się zaopiekować.

Obydwoje czujemy, że coś między nami za daleko zaszło. Że coś przechyliło się na złą stronę. Że pojawił się w nas nieokreślonego rodzaju dziwny ciężar, a my w umowie mieliśmy wpisaną przecież tylko naturalną lekkość. Nic już nie zostało z beztroskiej szczenięcej radości spotkania, a może nigdy jej z nami tak naprawdę nie było. Od samego ranka, jeszcze gdy jedliśmy wegetariańskie gołąbki, coś wisiało w powietrzu. A teraz jakby powoli ulatywało, więc i Leszek postanawia się ulotnić. Odwozi mnie na dworzec autobusowy, całuje w czoło i płaci za bilet. Punkty na liście zadań kolejno zostały skreślone.

Ja na mojej też przekreślam – jego imię.

1.

Mogłabym mówić, że kariera – lepiej – ścieżka joginki znalazła mnie samą, gdy stanęłam na rozdrożu dróg. Mogłabym brać udział w podcastach, powtarzając, że jedynie słuchanie wewnętrznego głosu może nas gdzieś zaprowadzić. Ale, tak po prawdzie, wciśnięcie się w poliuretanowe gatki typu comfortlux było moim marzeniem od zawsze. A przynajmniej odkąd rodzice zainstalowali satelitę na balkonie i mogłam po szkole zapętląć MTV Polska. Nie musiałam odkrywać swoich

preferencji. Tańczyłam do Beyoncé, Destiny's Child, Christiny Aguilery i Britney Spears, a potem zawsze przychodził moment na jakieś absolutne gówno typu Rammstein albo Tokio Hotel, którego nie dało się ani przyspieszyć, ani przeskoczyć i trzeba było to jakoś przetrwać. Można było oczywiście wtedy pójść na siku albo po tosta, ale z reguły byłam zbyt zmęczona całym dniem, żeby jeszcze latać do kuchni za każdym razem, jak mi się coś nie spodoba. Czekaając na powrót moich ulubienic, zmuszona byłam oglądać, co popadnie.

Pamiętam, że leciał wtedy taki klip z supersmukłymi kobietami w stringach: *Call on Me* Erica Prydza. Piosenka, do której teraz się śpiewa „jebać PiS”, sprowokowała we mnie wtedy pragnienie: chcę być fit. A przynajmniej hot. Jeśli pocenie się na ziemi miało mi zapewnić spojrzenia pełne zainteresowania – byłam gotowa na poświęcenia. Niedługo potem zaczęłam swoją niekończącą się przygodę z ćwiczeniami online. Pierwsza wjechała Aerobiczna Szóstka Weidera. Nigdy nie dociągnęłam do obowiązkowych 42 dni z rzędu bez ani jednej skuchy, ale zakwasy brzucha przyjemnie łaskotały moje wewnętrzne poczucie, że w końcu mi się uda. Wieczorami waga zapewniała mnie, że na pewno nigdy tak się nie stanie. Ściągałam wtedy wszystkie ubrania i pokazywałam jej środkowy palec. Pół kilo mniej. Jeszcze zobaczysz.

Niestety było coraz trudniej. Mnie – powstrzymywać się przed wszystkimi słodkimi pokusami, jej – uginać się pod ciężarem coraz większych wyliczeń. W międzyczasie moje koleżanki wpierdalały po dwie kolacje i wszystko szło im w cycki. Każda z potencjałem własnego portfolio w agencji modelingowej. Różniły się tylko stanowiskiem rodziców w sprawie półrocznych kontraktów w Azji. Ja za to widziałam swoją przyszłość w narodowych barwach. Przysadzista Pani po czterdziestce, bez talii, za to z ulubionym kubkiem do kawusi. W urzędzie skarbowym albo ZUS-ie. Z uśmiechem wisząca nad tortem z galaretką, który ktoś przyniósł do biura: „No dobrze, ale dla mnie tylko jeden, taki malutki”.

Rodzice nie zapewniali mnie, że w życiu chodzi o coś więcej niż chude ciało. Rodzice wydzielali mi prince polo. Na najwyższej półce, do której nie dosięgałam, trzymali ferrero rocher. Ojciec odłamywał sobie rąbek czekolady. „O! Ja też chcę” – krzyczałam podekscytowana. „Tobie to już wystarczy!”. „Dlaczego?” – pytałam. Ojciec nie czuł się w obowiązku, żeby odpowiadać. Odkładał wyjaśnienie jak całą tabliczkę szybko do schowka. Istniało kilka obyczajów. Pomarańczowa fanta zarezerwowana była na wizytę gości. Lody można było jeść raz w tygodniu, w niedzielę u babci. A parmezan posypany na spaghetti widziałam tylko u koleżanki w domu. „Mamo, nie ma co jeść” – mówiłam. „No przecież jest ser, jest szynka, almette, twarożek sobie możesz zrobić, jest chleb, są jajka”. „Ale ja bym chciała coś słodkiego”. „Marchewkę sobie pokrój”.

Trudno mi było z marzeniem o dziewczynie z teledysku i odbiciem w lustrze urzędniczki w garsonce. Czytałam o tabletkach z główką tasiemca i połykaniu nasączonych wodą wacików. Marzyłam o operacji zmniejszenia żołądka. Robiłam przysiady w przerwie na drugie śniadanie i czułam się jak pajacyk. Ale potem miałam załamanie nerwowe i jakoś się udało. Bez diety ani siłki, ani nawet okien żywieniowych, schudłam tak ot, niby splunąć, 20 kg. No i w końcu wszyscy byli zachwyceni. Mama chwaliła się przyjaciółkom, jaka ze mnie laska wyrosła. Tata przestał chować czekoladę. Koledzy z pracy zaczęli prosić mnie o przysługi, pytać czy miałabym minutkę. Siostra sama z siebie zaczęła oferować pożyczanie ubrań. Koleżanki ponawiały prośby o spotkanie. Świat do mnie mrugał, machał, uśmiechał się i wiwatował.

Ja ucieszyłam się dopiero po latach. Jak lęki trochę zelżały.

2.

Z czym rymuje się Daniel?

Cocker spaniel.

Tak mu dobrze z oczu patrzy.

Kolejny raz nie umiem powiedzieć, co się ze mną dzieje, a on i tak czeka na mnie po powrocie z pracy, po prostu cieszy się, że jestem.

3.

Daniela poznałam jeszcze w liceum, ale wtedy nie byłam na niego gotowa.

Musiałam najpierw przejść przez P. Diddiego, 50 Centa, Timbalanda, Seana Paula i Pitbulla, żeby umieć docenić Jamesa Blunta. Od początku wiedziałam, że to dobry chłopak. Dobra partia – jakby to powiedziała już nieżyjąca ciocia Magda. Zawsze wszystkich uważnie słuchał, umiał pytać i umiał milczeć w odpowiednich momentach. To ja chciałam krzyknąć i nie zatrzymywać się przed odpowiedzią – zwłaszcza jeśli ta była odmowna. Pozostawała nam przyjaźń, ale i nią średnio byłam zainteresowana. Trzeba by było się powolutku poznawać i bez żadnego podtekstu widywać. Szkoda mi było czasu. Gdy wokół pędziła karuzela nakręcana tysiącem świateł i barw, nie chciałam usiąść przy stoisku do grania w bingo. Na stabilne, spokojne życie miałam jeszcze czas. Kupowałam bilet na najwyższe wahadło albo jeszcze lepiej: boostera i czekałam, aż świat obróci się o 180 stopni, a na koniec jeszcze mną porządnie potrząśnie.

Po kilku porządnych bełtach i zobaczeniu na własne oczy, jak przez jedną małą śrubkę cała funkcjonująca maszyna potrafi się wykołować – zaczęłam jakby hamować. Zmęczona randomowymi typami z baru albo blablacera, ubera czy innego ryanaira – co mieli ochotę wieczorem, ale nigdy z rana – postanowiłam w końcu znaleźć sobie kogoś normalnego. Profil Daniela przesunęłam w prawo bez zastanowienia. A potem się martwiłam. Jakby mnie dał w lewo – głupio byłoby się przeciąć na jednej ze świątecznych imprez w rodzinnym mieście. On by wiedział, że ja wiem, a mnie by męczyło, czy wiedzą inni. Jakby mnie dał w prawo – głupio byłoby tak po prostu. Niby się słyszy o takich historiach, co ludzie do siebie wracają po kilkunastu latach. Odgrzebują stare miłosne listy i rezerwują bilety na pociąg albo samolot. Ale mnie się nie zdarzały wyjątkowe historie, tylko takie potwierdzające regułę. Dał w prawo.

A potem dał wszystko to, czego mi brakowało. Poczucie bezpieczeństwa. Wiadomości wyświetlone, odczytane i z odpowiedzią na co najmniej tyle samo linijek co moje. Długie telefony i jeszcze dłuższe spotkania. Człowiek tak szybko się przyzwyczaja do komfortu. A potem neony dookoła krzyczą: wyłaż z niego. Tylko tam przydarza się prawdziwa magia. Czy można swoje życie zawierzyć migającym wiadomościom?

4.

Przeoglądam ten notes, gdy Daniela nie ma w domu. Czyli rzadko. Chłopaki czasem go wyciągną na kilka godzin na siłownię, ewentualnie saunę. Głównie jednak mój luby przyklejony jest do swojego biurka jak stara guma pod szkolną ławką. Ma swój kubek z *The Office* i masażer do stóp schowany zaraz obok ulubionych kłapek. Ciężko byłoby ten kącik nazwać gabinetem. Ot, upchnięty stolik w rogu salonu. Widzi z niego dokładnie, jak szykuję śniadanie. „Mi też z pomidorem” – czasami krzyczy, zanim jeszcze zdążę rozbić o patelnię jajko. Wie, kiedy krzątam się jak pies próbujący umościć się do drzemki w poszukiwaniu niezdrowej przekąski. Rozpoznaje po jednej nutce dźwięk rozkładanej maty i wie, czy na dany dzień przypada ta aktywniejsza praktyka, czy regenerująca.

Muszę się w nocy wykręcać spod jego uścisku jak drobna uszczelka, która niezauważenie pęka, nie zostawiając po sobie ani kropelki wody. Wchodzić do łazienki. Odkręcać kran. On jest jak dziecko, które można uśpić szumem odkurzacza, a ja się go boję wybudzić najcichszym szelestem kartek.

Cieszę się strasznie, że Cię mam. Odkąd Cię poznałem, wszystko wokół jest ciekawsze i bardziej sensowne, a dzięki temu i przyszłość wydaje się atrakcyjniejsza. Nie mogę się doczekać naszego kolejnego spotkania.

Nie wiem, czemu ja to w ogóle czytam. To trochę jakbym oglądała *Love Never Lies* albo *Magię nagości*, tylko że ta przyjemność wiąże się z au-

tentycznym poczuciem winy. A i pewności nie ma, czy jest prawdziwa. Czy jej przypadkiem ktoś nie wyreżyserował. Może to był czas? Powycinał z naszego filmu kilka znaczących scen i teraz się może wydawać, że to żaden dramat. Zwykła przyjemna komedia. Czuję, że to był on. Razem z mechanizmami obronnymi. Ktoś tu mąci. Ale nie mam siły prowadzić dochodzenia, zwoływać świadków. Zostają moje pisemne zeznania. Tyle na razie musi mi wystarczyć.

I ja odliczam dni do naszego spotkania, najdroższy.

Od kiedy to ja mówię do kogoś inaczej niż po imieniu? Od kiedy za kimś wyglądam? Przecież mnie zawsze nosi. Gdy mam chwilę pocze-kać przy kasie, wolę szybko wszystko zeskanować sama. Dzwonię za-miast pisać, by uzyskać jak najszybszą odpowiedź. Nie planuję niczego z wyprzedzeniem, bo po co, skoro wszystko jeszcze zdąży się obrócić o 180 stopni. Jak Daniel nie chce seksu, czekam aż zaśnie i tuż obok zaczynam się masturbować. Czuję się przegrywem, bo książki kupuję w księgarni, wiedząc, że online zapłaciłabym połowę taniej – ale chcę tego, co właśnie trzymam w ręku. Biorę wróbla i nawet nie myślę, że gdzieś tam może czekać gołąb. A tu proszę. Umiałam skreślać kolejne dni w kalendarzu, cierpliwie czekając na swoją kolej. Nie narzekałam, nie walczyłam. Rozkoszowałam się samą wizją spotkania. Ciekawe, że mówiłam do niego najdroższy. Jakbym wiedziała, że będzie jakaś cena do zapłaty.

Czy ja zastałem moją najdroższą Haneczkę w domu?

A może tak mówiłam, bo on mnie tak nauczył. Może wcale nie byłam tak oporna na jego sugestie, zachcianki i prośby. Może tak długo ro-biłam to, co mu się podobało, że nie zauważyłam, jak stało się częścią mnie samej. Przecież pierwsze medytacje, buddyjskie przypowieści, trzymane w dłoniach koraliki – to wszystko pokazał mi Leszek. Z ta-kim przejściem potrafił rozprawiać nad źródłem cierpienia i naszym nieuchronnym przemijaniem, że do dzisiaj używam jego zdań w trak-

cie praktyki. Chociaż wciąż jak wtedy, głęboko w środku się z tej drogi do oświecenia śmieję. Czy to w ogóle nie jest motyw wspólny wielkich przywódców duchowych, mieć na koncie kilka naiwnych dziewczęcych serc?

Wertuję strony dalej.

Wiadomo, że mi się podobał. Której dziewczynie nie spodobałby się taki facet, co wie czego chce i po to idzie. Nie bierze jeńców. Miał w sobie siłę i pewność, o której ja nie mogłam pomarzyć ani wtedy, ani dzisiaj. Nawet Daniel się jej dopiero uczy. Wciąż spoconymi rękami wybiera telefon do szefa, ale dzwoni. Ja piszę SMS-a.

Śmieszne, że mi się wydawało, że świetnie idzie mi zgrywanie niedostępnej. Przecież powiedział tylko, jaki dzień mu pasuje w tygodniu, a ja już odwoływałam wszystkie plany, nawet najprzyjemniejsze spotkania z koleżankami. Ledwo zadzwonił – już wybiegałam z domu, niby po wodę albo mleko, byle jak najszybciej dać znać, że czekam, tęsknię i myślę tylko o nim.

Ciche chrapnięcie przepływa przez strumień wody. Sprowadza mnie z powrotem na chłodne kafelki w portugalskim stylu. Przecież niczego złego nie robię. Ponoć każdy potrzebuje mieć swój kawałek tajemnicy. Swoją część, do której nikt inny nie ma dostępu. Gdyby się obudził i mnie nakrył, zaczęłyby się koncert pytań. Nowe wydanie. A ja mam ochotę słuchać jedynie nagrań starych występów na żywo. Są jak historia w moim notesie. Wydarzyły się w poprzedniej epoce, innym świecie pozbawionym filtrów. I chociaż Freddie Mercury już nigdy nie zagra Lennona na Wembley – jak wspaniale, że ktoś tam był i to nagrał. Ktoś to przeżył i upublicznił.

Chociaż tyle nam zostało.

5.

Jest jedyną tajemnicą, jaką udaje mi się utrzymać.

Jakie to przyjemne, choć raz mieć coś tylko dla siebie.

6.

Rano wybudza nas Grażynka, liżąc każdego z osobna po uchu. Gramy w papier, kamień i nożyce o to, kto ją pierwszy wyprowadzi. Daniel się wkurza, gdy znowu przykrywam dłonią jego pięść.

Słowem: zdziadzieliśmy.

Mnie bolą plecy, a on ma problem z barkiem. W wolnym czasie chodzimy do fizjoterapeutów i osteopatów. Zamiast imprezy w piątek wybieramy dwugodziną sesję sauny. Pijemy własnoręcznie przygotowywaną kombuczę z imbirem. Po kątach walają się półpuste słoiki z fermentującym grzybem. Na śniadanie mamy zawsze kilka warzyw z ogródka sąsiada. Jajka od taty Daniela. Na blacie w jednej misce moczy się ciecierzycza, w drugiej fasola. Tyle gadam dziewczynom o dbaniu o siebie, uszanowaniu swojego ciała, że głupio byłoby samej tego nie robić.

Chodzimy spać o dwudziestej drugiej i wstajemy o szóstej. Gdy wybija nasza godzina spania, zatrzymujemy film i umawiamy się na dokończenie całości następnego wieczoru. Ja piszę dziennik wdzięczności, a on medytuje. Zawsze w tym samym pokoju. Czasami go trochę wykorzystuje do acroyogi, bo tam potrzeba partnera, ale widzę, że to niekoniecznie jego konik. On mnie z kolei wyciąga na basen, do którego się zmuszam. I choć się boję tej części, w której nie mam gruntu – koślawym pieskiem zawsze jakoś do niego dopływam.

Jest fajnie. Jest miło. Dobrze się dobraliśmy. Nie chciałabym iść przez życie z nikim innym. Niczyich innych przemokniętych skarpet nie byłabym w stanie wyciągać z nogawek. Nikomu innemu nie sprawdzałabym żyłek na tyłku. Poza tym to już pięć lat wspólnej drogi i w końcu staliśmy się najlepszymi wersjami siebie. Jest zdrowo i wspaniale. Wspaniale, bo zdrowo. I dlatego trudno byłoby komukolwiek powiedzieć, nawet sobie, że oddałabym ten jarmuż w pudełku i olejki eteryczne wcierane pod uchem.

A za co? Za jeden porządny ciąg chłania, palenia i ruchania. Gdzieś w San Francisco albo Paryżu, na portugalskich plażach albo we włoskich górach. Tak żebym się przed nikim nie musiała tłumaczyć, a i żeby nie było potem nikogo, kto by to pamiętał. Chciałabym się ostro najebać i całą noc nie spać. Tańczyć z jakimś nieznanym mężczyzną przy przyćmionych światłach. I żeby ktoś mnie zapytał o dowód, a potem pożarł wzrokiem. Chciałabym jeszcze umieć pomyśleć o zębach zanurzonych w mojej szyi, bez przypominania sobie o kontrolnej wizycie u dentysty. Założyć krótką kurtkę zimą bez obawy o nerki i korzonki. Odsłonić kostki bez strachu przed nadchodzącą gripą. Chciałabym się jeszcze choć raz zabawić, nie myśląc o moim potencjalnym odwodnieniu. Tak żebym puls czuła w skroniach, klatce i cipce, a nie na nadgarstku, gdzie mały kawałek metalu cały czas mi wszystko liczy. Taki mieć jeszcze jeden dzień albo tydzień. No dobra, miesiąc. Miesiąc niebycia sobą. Albo właśnie miesiąc bycia sobą naprawdę. Albo wszystkie odpowiedzi z powyższych.

A tymczasem znowu wstaję i gdy wychodzą, mierzę sobie ciśnienie. 140/90. Nie ma sensu sprawdzać drugi raz, teraz, gdy o tym myślę – będzie tylko rosło.

Katarzyna Makarewicz

Hania, lat 18

Opowiada historię swojego związku z dużo starszym, żonatym mężczyzną.

Hania, lat 36

Czyta swoje stare zapiski i zastanawia się, czy aby na pewno pisała je rzetelna narratorka.

Hania, lat 18

Trochę rozumie, co się z nią dzieje, a trochę nie.

Hania, lat 36

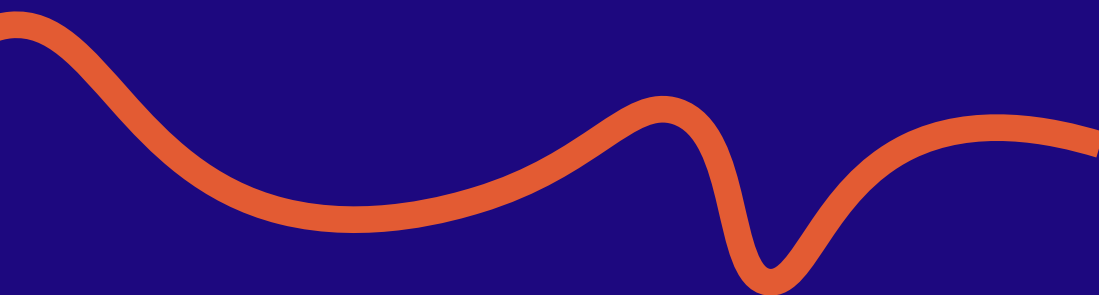
Trochę zrozumiiała, co się z nią wtedy stało, a trochę nie.

Historię przeplatają dwie perspektywy: nastolatki niepewnej swoich losów i dorosłej kobiety z poukładanym życiem. Ta pierwsza wychowywała się w czasach, w których słowo *grooming* nawet nie odnosiło się do strzyżenia psów, a co dopiero uwodzenia dziecka. Ta druga ma koleżanki, które opisywały swoje historie pod hasztagiem MeToo. Ta pierwsza chce jak najszybciej dorosnąć. Ta druga chciałaby znów być młoda, niewinna i beztraska. Ta pierwsza marzy o idealnym ciele, zdrowej cerze i koleżankach. Ta druga ma wszystko. Zarabia na życie, prezentując przed grupami kobiet idealnie wyćwiczone pozycje jogi. Po zajęciach zawsze czeka na nią uśmiechnięty chłopak, buldożką Grażynką i świeżym, organicznym smoothie w dłoni. Kochają się i nie wyobrażają sobie życia bez siebie. A jednak wciąż jej czegoś brak.

Hania zaczyna coraz częściej fantazjować o ponownym spotkaniu Leszka. Kiedyś nawet nie wiedziała, że to, co jej zrobił, ma nazwę. *Ghosting*. Od tamtego czasu marzy, że znów go spotka w nowej, lepszej wersji siebie. Że mimo upływu lat wzbudzi w nim tak samo silne pragnienie jak wcześniej. Jednocześnie wkłada wiele wysiłku, by wypierać nieprzyjemne wspomnienia z młodości, gdy mężczyzna wykorzystywał przewagę wieku, wiedzy i władzy. Pograżona w obsesji, zajęta prowadzeniem śledztwa we własnej sprawie, przestaje zauważać

swojego partnera. Kontaktuje się ze starymi znajomymi, wraca do rodzinnego miasta. W końcu to Leszek odnajduje ją. Przez przypadek. Jego młoda kochanka okazuje się być uczennicą Hani.

To proza polifoniczna łącząca powieść o dojrzewaniu z literaturą kobiecą, w której głównym motywem jest mierzenie się z przeszłością. Bohaterka stara się ustalić zgodnie z psychologiczną narracją: co tak naprawdę jej się przydarzyło? Co było prawdą, a co jej się tylko wydawało? Skąd w niej ten ciągły niepokój? Czy jej życiowe decyzje są w rzeczywistości jej własnymi, czy może zostały ukształtowane przez Leszka i podejmuje je podświadomie, cały czas szukając potwierdzenia siebie w oczach mężczyzny z przeszłości?



Ola Skalec

Solar

I

Początek

Budował Ziemię przez sześć dni, a na sam koniec stworzył człowieka. Powiedział człowiekowi, że kocha go najmocniej na świecie, i że to wszystko dla niego, żeby czynił sobie Ziemię poddaną, panował nad rybami morskimi i nad ptactwem niebieskim, i nad wszelkimi zwierzętami, które poruszają się po Ziemi.

Siódmego dnia odpoczywał, ale nie trwało to długo. Ósmego założył swoje najjaśniejsze ubranie, wsiadł do wielkiego, błyszczącego auta i wyruszył w podróż po niebie. Odtąd wyrusza już w tę drogę każdego dnia, nawet jeśli jest zmęczony albo chory.

Nie może się powstrzymać, żeby po drodze nie zerkać w dół, tak bardzo podoba mu się to, co zrobił, tak bardzo jest z siebie dumny. Obiecał sobie, że nigdy, przenigdy nie odwróci wzroku.

Na koniec dnia zjeżdża w dół, niebezpiecznie nisko. Wychyla się przez okno i zbliża swoją ogromną, rozjarzoną twarz do Ziemi. Musi im się przyjrzeć z bliska, tak bardzo się o nich troska – mówi sobie, że chce tylko rzucić okiem. Ale z natury jest niefrasobliwy, zawsze wystarcza ta jedna chwila nieuwagi. Nie zdąża wyhamować na czas, z piskiem płonących opon zjeżdża w przepaść, wpada z pluskiem do wody.

Jego żona dobrze go zna, kręci z politowaniem białą głową. Trzyma pieczę nad Ziemią i ludźmi pod jego nieobecność, ale to chłodny chów, jej miłość jest ostrożna, bledsza, nie oślepia. Wie, że on nie byłby sobą, gdyby opuścił ich na długo. I ma rację – jego dobroduszne oblicze zaraz wynurza się z wody, już jest po drugiej stronie i śmieje się tubalnie,

trzyma się za okrągły brzuch, woła: „Mam was! Tu jestem!”.

Tak było na początku i tak jest do teraz. Żadnego końca świata nie będzie.

Britta

Czyjeś dłonie łapią ją mocno pod pachami i ciągną w górę. Nie może utrzymać karku prosto, broda opada jej na piers. Zanim chustka zsuwa się z czoła na twarz, widzi jeszcze swoje własne kolana, brudne od ziemi. Nie ma siły, żeby unieść rękę i odsunąć chustkę, zamyka oczy, ale czarne i czerwone plamy nadal migoczą pod powiekami.

Ktoś inny chwytą ją za kostki i już za chwilę Britta sunie w powietrzu, gałązki pomidorów smagają ją w locie, czuje ostry, rzeński zapach ich liści. Żółć podchodzi jej do gardła palącą falą, przełyka ślinę raz za razem. Dookoła gorączkowe szmery i głosy, ktoś niedaleko krzyczy, ale słowa są niezrozumiałe, w uszach boleśnie i głośno tętni krew. Tupot stóp, głuchy dźwięk ciężkich koszy i sekatorów upadających na ziemię. Britta płynie w powietrzu, a promienie Słońca czepiają się jej ciała jak stęsknione dłonie, palą żywym ogniem nagie przedramiona i łydki, skóra pulsuje żarem jak rozpalone bierwiono.

Nagle przychodzi ulga, Słońce rozluźnia uścisk, czerwony blask pod powiekami przygasa. Ciało ląduje na plecach na czymś twardym, ostrożna dłoń zsuwa jej chustkę z głowy, przykładą do twarzy coś chłodnego i wilgotnego. Britta uchyla powieki, kształty rozmywają się i falują, ale udaje jej się dostrzec, że to Mehdi pochyla się nad nią, rozpoznaje jego gęste, ciemne brwi, zmarszczone z troską. Gruba czarna kreska na brązowej plamie twarzy. Britta unosi wzrok na liściasty baldachim nad głową i dociera do niej, że leży na kamiennej ławce w cieniu pergoli. Zanim zdąży pomyśleć coś jeszcze, mdłości wzbierają w niej gwałtownie, przechyla się przez brzeg ławki i wymiotuje na ziemię konwulsyjnymi, urywanymi chlustami. Skurcze

wstrząsają jej ciałem tak silnie, że myśli, że za chwilę umrze, gardło i spękane usta palą ją od wymiocin, włosy lepią się do mokrego czoła.

Kiedy wreszcie opada na plecy, znów czuje, że czyjeś dłonie podtrzymują jej rozedrgane ciało, wsuwają pod głowę miękki kłębek materiału. Ktoś kuca obok niej i szepcze, żeby oddychała głęboko. Próbuje skupić wzrok na gęstej połaci liści nad głową, ale powieki znowu zaczynają jej ciążyć. Nagle zdaje sobie sprawę, że na udach i pośladkach czuje ciepłą wilgoć. Zanim znowu traci przytomność, przez chwilę ma ochotę się roześmiać: jeszcze nigdy w życiu się nie posikała.

Chwyta swoje własne spojrzenie w lustrze nad umywalką. Twarz pokrywa jeszcze ciemny gorączkowy rumieniec, piegi odznaczają się wyraźnie na jego tle, brązowe plamki przypominają rozbryzgi błota.

Wchodzi pod prysznic i długo stoi nieruchomo w strumieniach wody, podpierając się dłonią o ścianę. Skóra emanuje ciepłem, łazienka szybko zasnuwa się parą. Britta namydla ciało i wpatruje się w promieniste żłobienia w szybie prysznicza tak długo, aż mydło wyslizguje jej się z dłoni. Promienie Słońca na szklanej tafli splatają się ze sobą w rozfalowanych uściskach, tańczą i migocą, wprawione w ruch kroplami wody i obłokami pary. Mydliny pachną lawendą i szałwią. Głowa wypełnia się obrazami, kolory i kształty mieszają się w pamięci, ale jedna wizja jest wyraźna, wysuwa się przed pozostałe, powraca jak zapętlony film.

Oślepia ją blask Słońca stojącego w zenicie, kobalt nieba jest tak przejrzysty, że kłuje w oczy. Britta czuje wyraźnie zapach ziemi i delikatną szorstkość łodyżek pomidorów pod palcami. Z innych alejek dobiegają zdawkowe rozmowy i śmiechy, głuche postukiwania motyczek w ziemię albo poszczękiwania sekatorów. Tu i ówdzie spomiędzy krzaczków miga czyjeś ramię poprawiające na głowie znoszony kapelusz, ktoś z jękiem prostuje zbyt długo wygięte w łuk plecy.

Po chwili jednak wydaje jej się, że stoi w polu zupełnie sama, zapada cisza tak ciężka, że wydaje się napierać na bębniaki uszu, a później znikąd dobiega ją muzyka – niskie, odzywające się drganiem w podbrzuszu tony. Nieznajome głosy, szepty, ciche śpiewy wypełniają jej głowę miękką watą, dźwięki otaczają ją kokonem, Britta nie rozumie słów, ale głosy są melodyjne i słodkie, ma ochotę biec, żeby dopędzić ich źródła, ale ciało wrosło w ziemię, a jednocześnie jest przecież poza ciałem, jest gdzie indziej, są tylko falujące przepysznie dźwięki, jest kobalt nieba i wrzątek promieni.

Niebieska tafla pęka pod naporem Słońca, które jest olbrzymie, rozplomienione, parzy skórę. Na wielkiej jak cały świat tarczy majaczy kształt, faluje na jej tle jak gigantyczna projekcja, wreszcie wyostrza się w roześmianą twarz, która spogląda wprost na nią, twarz jest tak promienna, jakby była samym światłem, istotą światła. Britta nie boi się gorąca, wyciąga ręce. Muzyka napiera na nią, drży i wibruje, szepty kłębią się w uszach, na moment rozbrzmiewa dźwięczny śmiech, a później głosy wyostrzają się, z niejasnej plątaniny wyłaniają się nagle słowa, jej mózg wsysa je zachłannie, spija i wchłania w siebie, aż docierają do samego środka, tak jakby były tam od zawsze.

Woda w prysznicu jest już chłodna, Britta klęczy na ceramicznej posadzce, opiera czoło o szybę, słyszy delikatne pukanie w drzwi i dochodzący zza nich stłumiony, zatroskany głos.

– Udar – szepcze Britta, a strużki wody wślizgują się między rozchyłone, spękane wargi. – Miałam udar.

Rower mknie drogą, powietrze świszczy w uszach i przyjemnie omiata twarz, chłodzi spocony kark i skronie. Opór pedałów pod stopami i tempo wprawiają ją w euforię, czuje, że jej ciało jest silne, krew krąży w nim posłusznie i szybko, serce przebudza się z letargu i pompuje z zapalem. Britta wyobraża sobie, że ucieka przed burzą, zostawia

ją daleko w tyle, ściga się z ciemnymi chmurami, które pomrukują ostrzegawczo za plecami.

Mija kilkoro innych rowerzystów, ale poza tym trasa jest spokojna, samotna furgonetka ze znakiem transportu medycznego wyprzedza ją leniwie. Na zakręcie drogi majaczy maleńki budynek, drzewo oliwne tuli się do kruszejącej ściany. Metalowy krzyż z poprzeczną belką czernieje na tle nieba, zatknięty na szczycie spadzistego dachu. Skurczony staruszek prowadzący stadko kóz w stronę wioski przystaje na środku pastwiska i odwraca się w jej kierunku, nie pozdrawia jej. Kiedy rusza dalej, blaszane dzwonki na szyjach kóz podzwaniają fałszywie, a dźwięk niesie się daleko w przedwieczornej ciszy.

Britta zatrzymuje rower na poboczu. Wejście do kapliczki jest zamknięte na klucz. Britta wyciera dłonią pył z pękniętej szyby w drzwiach i zagląda do środka, patrzy na ołtarz. Farba na ikonie złazi dużymi płatami jak łuszcząca się skóra. Ponad ramieniem Britty Słońce wślizguje się do środka, pada wprost na ikonę, igra refleksami na złoceniach. Rozjarza blaskiem grubą, złotą aureolę wokół postaci. Britta patrzy na nią długo, ale nie rozpoznaje jej twarzy.

Britta nie może zasnąć, z płytkiej drzemki raz po raz wyrывa ją wybuch śmiechu albo trzaśnięcie drzwi na parterze. Sięga do szafki nocnej i wydobywa podniszczoną, grubą książeczkę, przerzuca bezmyślnie wiotkie kartki, tak cienkie, że niemal przezroczyste, ich znajomy szelest sprawia jej przyjemność. Odczytuje ustępy na chybił trafił.

Ktoś ciężkim krokiem wchodzi po schodach, Britta zakłada palcem miejsce w Biblii. Linnea wślizguje się do pokoju, muzyka i urywki rozmów przez chwilę wypełniają sypialnię, a później cichną, kiedy zamyka za sobą drzwi. Przysiada na brzegu łóżka Britty, potrąca biodrem inną książkę, którą Britta odłożyła obok siebie na kołdrę. Britta posyła jej karcące spojrzenie, kiedy psałterz spada z plaśnięciem

na podłogę. Linnea parska śmiechem, podnosi książeczkę i odkłada ją na nocny stolik.

Wciska się na łóżko obok Britty, jej sukienka pachnie dymem i męskimi perfumami. Linnea przez chwilę mocno przyciska ją do siebie, jakby nie widziały się od bardzo dawna, a później ujmuje jej twarz w dłonie i spogląda na nią z bliska, tak, że prawie stykają się czołami. Britta dostrzega, że przyjaciółce trudno jest skupić wzrok, usta i zęby pociemniały jej od wina, jej oddech jest słodki jak suszone owoce, jednak ciepło ciała przyjaciółki, znajomy rytm oddechu i jej ciężar na materacu koją ją. Opiera się o ramię Linnei i chowa twarz w jej włosach.

– Gdzie byłaś dzisiaj?

Britta milczy uparcie, nawet kiedy Linnea zaczyna poszturchiwać ją łokciem, a później dźga ją palcem między zębra, zmuszając do chichotu. Ma nadzieję, że Linnea zapomni, żeby znów zapytać ją o to jutro.

– Która księga? – pyta nieco bełkotliwie Linnea po dłuższej chwili. Britta odnajduje stronę, którą założyła palcem w Biblii, i obie pochylają nad nią głowy.

Potem zaś rzekł Pan do Mojżesza: „Idź i wyrusz stąd ty i lud, który wyprowadziłeś z ziemi egipskiej, do ziemi, którą obiecałem pod przysięgą Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi tymi słowami: Dam ją twojemu potomstwu”.

I znowu rzekł: „Nie będziesz mógł oglądać mojego oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu”.

Fedra

Postękiwanie małej dociera do niej przez cienką warstwę snu, ale Fedra leży bez ruchu, nie otwiera oczu. Czeka.

Kiedy krótkie, senne sapania przechodzą w płacz, ciało obok Fedry porusza się powoli, mamrocze, szeleści kołdrą. Dopiero na ten sygnał i ona zaczyna się wiercić, odwraca się do niego na łóżku. Abie już zdążył się podnieść, ale chwieje się lekko na nogach, przez kilka sekund trze twarz, wyciera z niej sen. Nachyla się do Fedry i kładzie dłoń na jej potarganej głowie.

– Nie wstawaj.

Podchodzi do łóżeczka, podnosi Milę i układa ją sobie na piersi. Zaczyna krążyć po pokoju, kołysze się na ugiętych kolanach. Szepcze z ustami tuż przy małym uchu, ale mała nie chce się uspokoić, wierzga pulchnymi nóżkami. Fedra leży nieruchomo, milczy, obserwuje. Czuje, że nie jest częścią tej sceny, widzi to w geście dłoni Abiego i w tym, jak dziewczynka zaciska piąstkę na kołnierzu jego koszulki.

Kiedy wychodzą na taras, chłodny powiew świtu wdziera się do sypialni, unosi i wzdyma materiał zasłony. Fedra wdycha głęboko świeże powietrze. Patrzy na ciemny kształt, który spaceruje wzdłuż tarasu, przesuwając się za zasłoną jak w teatryku cieni. Światło wpada do środka dziwnymi kształtami, filtrowane przez oka metalowej osłony, które wciąż są szeroko otwarte po nocy.

Ich budynek oplata ażurowa konstrukcja z lekkiego metalu, cienkiego jak płatek kwiatu. Drży łagodnie, niemal niedostrzegalnie, przypomina delikatny, żywy organizm. W ciągu dnia porusza się wraz z ruchem Słońca, faluje delikatnymi, tytanowymi listkami, zwiija się i skręca, osłaniając mieszkańców przed żarem. Uczepione jej rośliny pną się ku Słońcu, wyciągają łodygi i liście do promieni, są mięsiste od zgromadzonej wody, sprężyste, grube i wytrzymałe. Rozpościerają

liście nad oknami wieżowca jak baldachimy, leniwie falujące wachlarze.

Abie wyciąga rękę, jej podłużny cień pada na zasłonę, wygina się dziwnie w fałdach materiału. Wskazuje na coś w oddali, próbuje odwrócić uwagę Mili, żeby zapomniała o płaczu.

Fedra zamyka oczy. Pozwala wyobraźni wędrować za wyciągniętą dłonią Abiego. Z łatwością odnajduje w pamięci obraz, wyławia szczegóły panoramy miasta. Mili i Abie patrzą, a ona patrzy razem z nimi.

Nierówna układanka dachów zbiega w dół, w kierunku wybrzeża. W rzednących ciemnościach miasto jest jeszcze matowe, ciemne, jakby ktoś okrył je szarobeżowym kocem. Horyzont z tej wysokości wydaje się krańcem świata odkreślonym grubą, granatową kreską morza, które wygląda groźnie. Jego powierzchnia jest lśniąca i zwarta, ciemna jak poznaczone cienkimi żyłkami fal onyks.

Miasto jest jeszcze ciche, ale zmienia się, ożywa. Przeciąga jak wybudzony ze snu gigant, Fedrze wydaje się, że słyszy jego senne posapywanie. Lada chwila Słońce wynurzy z ciemnej wody czubek głowy, zaleje Heraklion różowym i złotym światłem. Później, w ciągu dnia, to łagodne światło rozgrzeje się w biały żar, ale zanim to się stanie, parki, skwery i ogrody na bardzo krótko zabłysną od rosy, rozpusztne jak fatamorgany w labiryncie miasta. Wraz ze Słońcem cała nieprawdopodobna zieleń wypchnie się naprzód, soczysta i rozbuchana, przejaszczona na tle martwej natury ulic. Pierwsze promienie uderzą w lusterka okien, odbiją się od nich tysiąc razy, zanim ręce mieszkańców zatrzasną okiennice, zasuną rolety i kotary. Ścieżki i chodniki zaroją się od pierwszych przechodniów, zaszczekają wyprowadzane psy. Ziemia zadrży niemal niewyczuwalnie, kiedy pod jej powierzchnią przemknie poranny pociąg.

Abie wskazuje na morze, a Fedra patrzy za jego dłonią oczami Mili,

które teraz są szeroko otwarte, błyszczące. Tam, daleko, mający farma wiatrowa, nieprzeliczony wylaniający się zza półwyspu las jasnych, strzelistych słupów. Z tej odległości nie słyhać jednostajnego szumu wiatraków, a zakrzywione w łuk turbiny wydają się nieruchome, przypominają wyrastające wprost z morza białe główki dmuchawców na wiotkich łodygach.

Wiatr od wybrzeża wpada do sypialni gwałtowną falą. Cichy głos Abiego zlewa się w dwutonowy szum z łopotaniem zasłony, ale Fedra nie musi słyszeć jego słów. Wie, jakie to słowa: piękne i czułe, uroczyste. Wie, jak mocno Abie kocha to miejsce. Za mocno.

Nie słyszy słów Abiego, ale wie, że brzmi w nich zachwyt. Zanim zaśnie jeszcze na chwilę, uśmiecha się w poduszkę. Cieszy się, że Abie nie może tego zobaczyć.

Do umówionego spotkania w Centrum Migracyjnym zostało jej jeszcze kilka godzin. Fedra nie wie, co robi z tym czasem, nie ma planu. Idzie na osłep w kierunku wybrzeża, tylko od czasu do czasu zerka na ekrany, które wyświetlają mapę miasta; odczytuje nazwy ulic i skwerów. Przystaje, zadziera głowę do góry i ogląda dziwaczne konstrukcje wiszących ogrodów.

Miasto wciąż jest dla niej prawie obce, zna je tylko z daleka, z widzenia. Kiedy Deepthi zajmuje się dziewczynkami, Fedra spędza długie godziny na tarasie i patrzy na Heraklion z góry. Pali ziołowe papierosy, swoje ulubione kreteńskie odkrycie, strzepuje popiół na balkon niżej. Nie szuka niczego konkretnego, patrzy na płataninę ulic i kręte pasma chodników, połyskujące dachy szklarni i połączenie paneli słonecznych. Jest zbyt wysoko, żeby dostrzec twarze albo dosłyszeć rozmowy, widzi tylko maleńkie plamki kolorów jak rozsypane na ziemi konfetti. Podoba jej się, że ona jest tu, na górze. Że ono – miasto – jest tam, w dole.

Przystaje, żeby kupić kawę od ulicznego sprzedawcy. Mężczyzna spaceruje leniwie wzdłuż granicy parku, zgrabny wózek z asortymentem toczy się przed nim na cichych gumowych oponach, napędzany energią Słońca. Zagaduje ją we wspólnym, kiedy się zbliża. Rozwija daszek nad wózkiem, żeby mogli skryć się w cieniu, a potem pokazuje jej zdjęcia żony i córki, które zamierza ściągnąć na wyspę. Fedra ogląda je bez zainteresowania. Kupuje paczkę ziołowych papierosów. Sprzedawca nie ma już kawy, ale wciska jej butelkę mrożonej herbaty, którą wydobyl z ziejących lodowatym powietrzem trzewi wózka. Nie chce przyjąć zapłaty, mówi, że to zamiast kawy.

Kiedy nie ma już siły iść pieszo, schodzi do najbliższej stacji metra.

Jasność ją zaskakuje. Podziemie wypełnia migotliwe, błękitne światło, Fedrze przychodzi na myśl olbrzymie akwarium. Na peronie panuje przeciąg, powietrze jest chłodne i zaskakująco świeże, jakby biegło tunelem wprost od morza. Sklepienie tunelu jest taflą z grubego szkła, zakrzywia się łagodnym łukiem. Po tafli od zewnątrz płynie woda, płytki, migotliwy wodospad. Po drugiej stronie kopyły, na powierzchni, ludzie przysiadają przy fontannie. Co jakiś czas ktoś zanurza dłoń w strugach wody. Ptaki i rowery rzucają na stację ruchliwe cienie, kiedy przemykają przez szklany kadr sufitu. Szkliwione kafelki połyskują na ścianach stacji, promień odbity od bransoletki jakiejś kobiety kłuje Fedrę w oczy, a ona niecierpliwym ruchem zsuwa na nos ciemne okulary, wbija wzrok w posadzkę.

Kiedy pociąg przybywa o czasie, Fedra razem z grupą podróżnych wchodzi do lśniącego jak rtęć wagonu. Abie powiedział jej kiedyś, że transport publiczny jest w kolonii darmowy, ale Fedra nie pamięta o tym, w ogóle nie myśli o bilecie. Siada na wolnym miejscu, kładzie dłoń na zamku torebki. W pustawym wagonie jest cicho. Mężczyzna w roboczym kombinezonie przysypia z głową opartą o szybę. Kobieta naprzeciw niej kołysze się lekko w przód i w tył, karmi piersią niemowlę.

Fedra ogląda migające szybko za oknem pociągu mozaikowe ściany stacji. Raz po raz wagon zalewa fala światła, kiedy mkną przezsklonym tunelem. Pociąg wynurza się spod ziemi i pędzi wysokim wiaduktem w stronę wybrzeża, a Fedra w mimowolnym zdumieniu zagapia się na przemykające w dole miasto. Morze jest tuż przed nimi, rozbłyska srebrem i kobaltem na peryferiach jej wizji. Fedra zdejmuje okulary, patrzy na morze, pozwala, aby oślepiły ją ostre refleksy światła na łamiących się falach.

Kobieta z niemowlęciem wysiada na nadziemnej stacji. Zza ekranów dźwiękowych wyglądają gęsto obrośnięte zielenią tarasy i schody pożarowe. Budynki są tutaj stare, kamień i cegła wyblakły od Słońca i słonego wiatru. Fedra domyśla się, że to dawna dzielnica portowa, musi być już niedaleko. Wtedy przez okno dostrzega w oddali Centrum Migracyjne, falisty kształt dachu, który rozpoznaje ze szkiców Abiego.

Kiedy wysiada na zalaną Słońcem stację, odruchowo sięga po okulary, ale wtedy dociera do niej, że musiała zostawić je w wagonie.

Ali

Z okna jego nowego pokoju widać morze. Ali śledzi wzrokiem linię brzegu, studiuje zębate skały w kolorze piasku i szarego błota. Szuka plamek kwiatów, kępek trawy wyglądających spomiędzy szczelin, ale brzeg wydaje mu się nagi, jest tylko jedno drzewo, niskie i łysawe, wyciągające rachityczne gałęzie w stronę wody.

Słyszy pomrukiwanie mamy dobiegające z drugiego pokoju, wyteża słuch. Z trudem wyłapuje znajomą melodię, mama nuci kołysankę, ale jej głos jest zmęczony i chrapliwy. Ali odrywa wzrok od okna, idzie do salonu. Mama zrzuciła buty i leży razem z Sahar na kanapie, obie zapadły się głęboko w miękkie poduchy, duży i mały ciężar obok siebie. Dziwi go, że mama położyła się w ubraniu, że byle jak porzuciła na podłodze podróżną torbę, rozchełstana, kawałek tetrowej pieluszki wystaje ze środka jak biała flaga. Mama opiera głowę na wyciągniętym

ramieniu, z twarzą zwróconą do małej. Walczy, żeby nie zasnąć, ale wzrok ma zamglony, a powieki opadają jej na coraz dłużej. Być może nie zauważyła, że wszedł.

Ali podchodzi na palcach do kanapy i podnosi torbę z podłogi, chce ją zanieść do drugiej sypialni, ale wtedy smartfon w jego kieszeni odzywa się krótkim, przenikliwym sygnałem. To wystarcza, żeby wyrwać Sahar z drzemki. Matka unosi się na łokciu, ma nieprzytomne spojrzenie, chusta przekrzywiła jej się na głowie, fałdy materiału na szyi są wymięte. Małą, czerwoną twarz Sahar już wykrzywia grymas, dziewczynka otwiera szeroko usta do krzyku o zdumiewającej sile. Od czasu, kiedy wyruszyli z domu, męczy ją kolka, co zmieniło ich podróż w przerywany krótkimi okresami spokoju koszmar.

Mama wstaje z westchnieniem. Odwraca się do niego plecami, kiedy masuje brzuszek Sahar, Ali czuje, że nie chce na niego patrzeć, wściekłość i zmęczenie buzują tuż pod powierzchnią jej skóry. Jest porywcza z natury, nie trzeba wiele, żeby sprowokować wybuch, ale Ali wie, że bardzo stara się zachować spokój, nie chce być niesprawiedliwa.

Od kiedy zostali tylko we trójkę, twarz mamy jakby stężała, usta zamarły w wyrazie smutnej rezygnacji, jak grymas wypalony na powierzchni glinianej maski. Ostatniej nocy na statku mama przysiadła na brzegu jego koi, nalała mu z termosu herbaty z tymiankowym miodem. Dymny zapach przypomniawszy Alemu o domu, co wywołało w nim bolesną mieszaninę tęsknoty i otuchy. Długo patrzyła na niego w milczeniu, kiedy popijał herbatę, a potem pogładziła po głowie i powiedziała, że wszystko będzie dobrze, że nic z tego, co się stało, nie jest jego winą.

Ali wyciąga smartfon i sprawdza powiadomienie. „Uwaga: Temperatura wzrasta powyżej 30°C. Ryzyko przegrzania. Sprawdź izolację i przenieś królową w chłodniejsze miejsce”.

Kiedy kilka godzin temu po raz pierwszy przekroczył próg nowej sypialni, od razu rozsunał okiennice, żeby sprawdzić widok za oknem,

popatrzeć na morze. Tymczasem Słońce zdążyło przewędrować przez pokój, złota plama oświetla jak reflektor małą, drewnianą skrzyneczkę. Ali kluczy między rozrzuconymi bagażami, przykłęka obok nocnego stolika, zbliża twarz do transportera. Zagląda do środka przez okienko z gęstej siatki.

Przed wyjazdem sklecił skrzyneczkę sam, wykorzystując to, co znalazł w przydomowej szopie: kilka płaskich desek, siatkę zabezpieczającą, resztki pianki izolacyjnej. W środku zamocował czujniki, których kiedyś używał dziadek. Tak jak się spodziewał, program okazał się dawno nieaktualny. Po kilkudniowych zmaganiach udało mu się jednak dotrzeć do kodu źródłowego, zmusić aplikację w telefonie do odbierania danych z czujników, żeby mógł sprawdzać na bieżąco poziom wilgotności i temperatury.

Ze środka skrzyneczki dobiega łagodne brzęczenie. Robotnice otaczają królową ciasną grupką, falują jak mała futrzana piłeczka. Ali delikatnie kołysze transporterem, zachęca pszczoły, żeby się poruszyły, odsłoniły królową. Oddycha z ulgą, kiedy dostrzega drganie jej długiego odwłoka.

Przejdzie się po ośrodku, znajdzie cieniste i wietrzne miejsce, w którym przysiądzie na chwilę z pszczołami. Z cukrowej papki, którą karmił je przez całą drogę, została już tylko niewielka zaschnięta grudka. Powiedzieli im, że gdzieś niedaleko jest coś w rodzaju spiżarni albo składu żywności, pewnie uda mu się znaleźć trochę cukru albo miodu.

Głos małej Sahar chrypnie od płaczu, kiedy on zakłada buty. Ali przez moment walczy z poczuciem winy. Ale podróż statkiem trwała nieznośnie długo, a ich kajuta była ciasna i ciemna. Chce rozprostować nogi, włożyć do uszu słuchawki i odejść, przez chwilę być gdzieś indziej, daleko od zapachu mleka, pudru i dziecięcego moczu, poza zasięgiem milczącego gniewu mamy. Chowa skrzyneczkę pod koszulę i przemyka w stronę wyjścia.

Mama rzuca mu spojrzenie przez ramię, kiedy słyszy otwierane drzwi.

Jej wzrok na sekundę zatrzymuje się na wybrzuszeniu pod jego koszulą, ale jej twarz nie zmienia wyrazu. Kiedy odwraca się z powrotem do małej, Ali jeszcze przez chwilę widzi ciemne, obramowane brązowymi sińcami dziury jej oczu.

Słowa mamy doganiają go tuż przed tym, jak zamykają się za nim drzwi. Są ciche, ale wyraźne, starannie wymierzone.

– Wyrzuć to. Przecież wiesz, że nic z tego nie będzie.

Ola Skalec

Akcja powieści **Solar** rozgrywa się na Krecie w roku 20XX. Na wyspie powstaje pierwsza na świecie kolonia solarpunkowa, eksperymentalna mikrosoczełczyność wykorzystująca najnowsze osiągnięcia technologii, architektury, urbanistyki i inżynierii środowiskowej, aby odbudować harmonijne funkcjonowanie człowieka z naturą. W dobie katastrofy klimatycznej i globalnego kryzysu demokracji Kreta, mitologiczna kolebka Europy, stanowi w powieści tło dla oddolnych przemian i ruchów społecznych, walki między interesem jednostki a dobrem wspólnoty. Kreta jest symbolem odrodzenia najstarszego kontynentu, nadziei na lepszą przyszłość i wiary w moc solidarności w obliczu nadchodzącej zagłady.

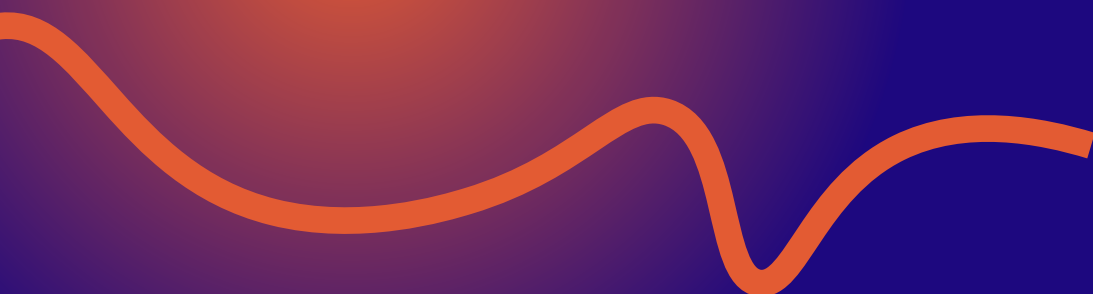
Solarpunkowa Kreta nie jest jednak utopią; jawiąc się jako ziemia obiecana, staje się tłem dla osobistych dramatów bohaterów.

Szesnastoletni Ali opuszcza targaną klęskami żywiołowymi ojczyznę wraz z matką i młodszą siostrą. Chłopak w tajemnicy zabiera w tę podróż królową pszczół – najcenniejszą istotę z pasieki niedawno zmarłego ukochanego dziadka. Ali chce zachować to dziedzictwo, zakładając na wyspie nową pasiekę. Wraz z rodziną otrzymuje tymczasowe zakwaterowanie w nowo powstałym Centrum Migracyjnym. Tam Ali poznaje jedną z pracownic, Athenę – młodą Kretenkę, która pomaga mu odnaleźć się w obcej rzeczywistości. Athena przedstawia Alego swojemu ciężko choremu ojcu, który w dzieciństwie zajmował się pszczelarstwem. Między chłopakiem i starym mężczyzną rodzi się więź, gdy obaj pracują nad założeniem pasieki w jednym z miejskich ogrodów Heraklionu.

Fedra przybywa na Kretę z córkami i mężem, uznanym architektem, który w ramach projektu Unii Europejskiej pracuje nad rozwiązaniem kryzysu mieszkaniowego w kolonii. Fedra tęskni za wygodami dawnego życia, nie potrafi odnaleźć własnego miejsca w nowym otoczeniu.

Za namową męża podejmuje pracę jako wolontariuszka w Centrum Migracyjnym. Tam poznaje Athenę, która budzi w niej głęboką fascynację. Z czasem kobiety nawiązują romans. Athena zakochuje się w Fedrze i zwierza się jej z planu przeprowadzki na Bliski Wschód i niesienia pomocy ofiarom katastrofy klimatycznej. Po śmierci ojca Athena podejmuje ostateczną decyzję o wyjeździe i namawia Fedrę, aby ta opuściła rodzinę i wyruszyła razem z nią, na co Fedra się zgadza. Gdy mąż Fedry odkrywa romans, ta zaprzecza istnieniu relacji i zrywa kontakt z Atheną. Athena opuszcza wyspę sama, gdy Fedra nie zjawia się w umówionym miejscu na czas.

Britta, głęboko religijna pracownica farmy pomidorów w centralnej części wyspy, pod wpływem światła słonecznego zaczyna doświadczać ekstatycznych wizji. Dziewczyna upatruje w nich proroczego znaczenia i zaczyna spisywać nową ewangelię. Linnea, przyjaciółka Britty, z troską obserwuje, jak ta coraz bardziej zatracą się w tym doświadczeniu. Tymczasem wieści o wizjach Britty zataczają szerokie kręgi. Podróżni z coraz dalszych części wyspy przybywają, żeby zobaczyć współczesną mistyczkę. Proszą Brittę o pomoc i wstawiennictwo w ich sprawie u wyższego bytu, który przemawia jej ustami.



Rafał Masny

16. urodziny Jordana Johnsona

Rozdział 1: Droga

– Twój pierwszy raz? – zapytał, unosząc nieznacznie kącik ust.
– Na słodkiej szesnastce sześćdziesięciolatka? Tak – odpowiedziała Lina z przekąsem. Mark zaśmiał się sztucznie i wymownie rozejrzał po pokładzie prywatnego samolotu. Elegancko wykończone wewnątrz utrzymano w beżowej tonacji z detalami z lakierowanego drewna. Tablet przy jego siedzeniu wskazywał, że osiągnęli już wysokość przelotową dziesięciu tysięcy stóp i mijali granicę między Kalifornią a Utah z prędkością sześciuset mil na godzinę.

– Nie. Leciałyśmy na wieczór paniński do Tulum. Przyjaciółka wyszła za jakiegoś hinduskiego księcia, czy kogo oni tam mają. – By uwiarygodnić swoje kłamstwo, Lina Miller ponętnie zrzuciła szpilki, które, padając, zaświeciły czerwoną podeszwą. Miękki dywan przyniósł ulgę jej zmęczonym wysokimi obcasami nogom. Mark Chaloner przytaknął z uśmiechem.

– Czym właściwie zajmowałaś się przez ten czas? Nie widzieliśmy się parę lat.

– Od absolutorium... Ponad pięć lat – sprecyzowała, po czym zawiesiła głos. – Po studiach mocno skupiałam się na pracy. Korporacja, struktura, KPI, ale nie mogłam się odnaleźć i uciekłam stamtąd. Rok podróżowałam. Przeżyłam, można powiedzieć, takie...

– Przebudzenie duchowe? – dokończył Mark.

– W pewnym sensie. Potrzebowałam przerwy, wyrzucenia z życia pewnych schematów i osób.

– Jasne. Wiem, o co chodzi, nie musisz mówić, jeżeli nie chcesz. Pytam, bo trochę zdziwiło mnie, że napisałaś, ale pomyślałem „Mieliśmy świetny kontakt, czemu go nie odnowić?”.

Uśmiechnęli się, najszczerzej jak potrafili. Szum silników zagłuszył niezręczną ciszę.

Lina nie miała pewności, czy rzeczywiście podczas studiów mieli dobry kontakt. Mark był natomiast przekonany, że jego koleżanka skończyła właśnie długoletni toksyczny związek i chce się odegrać na swoim byłym. Widział to w jej wyglądzie. Ledwo rozpoznał skromną dziewczynę, z którą chodził na farmakologię. Lina na studiach pomalowała się może dwa razy, a jej stałym outfitem była bluza i jeansy. Pracowali wspólnie nad grupowym projektem o metabolizmie leków SSRI, a zapamiętał ją właściwie tylko dlatego, że miała depresję. Uznał ten zbieg okoliczności za całkiem zabawny. Teraz siedziała przed nim kobieta o ustach lśniących i pełnych jak karty arabskich inwestorów. Jej włosy rozbiły się, a oczy opanowały subtelny balans między zainteresowaniem a blazą. Wciąż wyglądała naturalnie, ale była to perfekcyjnie wyegzekwowana natura. Bez wątplenia sama nie nosiła toreb na zakupy. Domyślał się, dlaczego napisała właśnie do niego. Musiała słyszeć, że sprzedał niedawno spółkę diagnostyczną Apatе.os. Ta świadomość dawała mu pewną przewagę, ale rodziła też wątpliwości. Kim był jej eks? Czy Mark był od niego bogatszy? Wyższy? Lub chociaż młodszy... Pogrążony w rozważaniach nawet nie zauważył pojawienia się stewardesy.

– Czy napiją się państwo czegoś? Wody? Kieliszek szampana?

– Proszę wodę bez gazu i lodu. Zrezygnowałem z alkoholu, fatalnie wpływa na moją regenerację – ostatnie zdanie Mark ewidentnie wypowiedział do obu kobiet.

Lina wybrała szampana. Wzniesli toast za spotkanie po latach.

– Myślisz, że Johnson rzeczywiście udowodni, że jego ciało ma szesnaście lat i będzie żył wiecznie?

Mark spojrzał w górę i odliczył do dwóch. Ten prosty trik podsunął mu znajomy coach biznesowy. „Ludzie, którzy zastanawiają się przed udzieleniem odpowiedzi, sprawiają wrażenie rozsądniejszych, a ich słowa odbierane są jako bardziej wyważone”.

– Możliwe. Jego formuła wygląda niesamowicie. Wieczność to oczywiście marketing, ale sto pięćdziesiąt? Dwieście lat? To byłby niewiarygodny przełom.

– Dla kogo? Dla niego czy dla ludzkości?

Zdziwiony ofensywnym tonem Liny, Mark ponownie odliczył do dwóch.

– Ludzkość i tak jest już stracona. – Tym razem to Linę uderzyła łatwość, z jaką rozmówca spisał los ich gatunku na straty. – To tylko kwestia czasu. Każdy myśli o sobie. Nie potrafimy się skupić na rozwoju i prawdziwych problemach. Politycy nas okradają, tocząc bezsensowne wojny. Stawiają ograniczenia, nie dając nic w zamian i nikt ci nie pomoże. Gdy zdasz sobie z tego sprawę, zrozumiesz, że możesz liczyć wyłącznie na siebie. Aktywa dają ci prawdziwą wolność i niezależność. Choć Mark przez ostatnie lata rozbudował swoją klatkę piersiową i kolekcję drogich ubrań, zdecydowanie nie opanował jeszcze sztuki flirtu. Drażniło go też, że wybrał wodę, podczas gdy Lina piła pewnie całkiem niezłego szampana. Wiedział, że nie może teraz zmienić zdania, więc dyskretnie rozejrzał się po pokładzie. Przekręcił dłoń, jakby trzymał w niej niewidzialne klucze, i otworzył sygnet na małym palcu. Ze złotego pierścionka wystawała mała łyżeczka z ubitym białym proszkiem. Mark jednym sprawnym ruchem podniósł ją do nosa i oczyścił. Spojrzał na Linę i gestem dłoni zaproponował skorzystanie ze swojego tajnego źródła.

– Spokojnie, to żaden temat z ulicy. Znajomy chemik poleca. – Tym razem on mijał się z prawdą.

Lina podziękowała, choć sposób przechowywania potencjalnie nielegalnej substancji zrobił na niej pewne wrażenie. Postanowiła natomiast sprawdzić jej działanie.

– Zamawiasz też colę zero do Big Maca?

– Nie jadam takich rzeczy...

– No jasne – z uśmiechem skwitowała Lina. – Byłeś już w Ogrodzie Wieczności?

– To nowe miejsce, niedawno się tam sprowadził, ale w 3D wygląda niesamowicie.

– Dobrze znasz Johnsona? – Lina skarciła się w duchu za zbyt bezpośrednie pytanie.

– Na początku myślałem, że to jakiś freak. Wejść na giełdę ze swoim życiem? Pojebane, ale gdy zobaczyłem ceny akcji, zrozumiałem, że typ jest geniuszem. Przecież indeksy giełdowe wyglądają nawet jak te, kardiogramy. Spółka to on, i to ma cholerny sens!

Mark zapomniał o odliczaniu. Przełknął ślinę i napiął szyję, jakby rozciągał się przed maratonem słowotoku.

– Jak jesteś public, to musisz stale rosnać i pokazywać wyniki. Nowe produkty, głośne akwizycje, kolejne rynki... – Lina chciała mu wejść w słowo, ale stało się to znacznie trudniejsze. – Musi się sporo dziać, a dużo łatwiej niż wydawać kasę na poszukiwania albo testy, które przecież mogą nie wypalić i przepalisz hajs, jest kupić firmę, która już rośnie. My mieliśmy za to zajebisty rok. Branża się zgadzała...

Stewardesa uzupełniła kieliszek Liny. Mark był wściekły. Nie znosił, gdy ktoś mu przerywał, ale prawdziwą furię wzbudzała w nim świadomość, że stał się niewolnikiem własnych słów. Miał ochotę na szampana i słabość do gratisów. Wiedział jednak, jak dyskwalifikujące jest okazanie niekonsekwencji podczas pierwszej randki. Mógłby równie dobrze mieć brudne paznokcie, kałuże pod pachami albo podjechać po nią hondą accord. Zmusił się do uśmiechu, gdy jego szklanekę ponownie wypełnił bezbarwny płyn.

– Johnson w sumie bardzo w porządku, grzeczny, miły, bardzo wycofany i dziwny... turbo dziwny typ. Tydzień przed spotkaniem musisz zgłosić dokładną listę uczestników. Każdy dostaje paczkę ze specjalnymi kosmetykami. Napisał, żeby używać ich na trzy dni przed spotkaniem, bo on niby zbiera feedback na temat produktu i to jest dla niego bardzo ważne. – Mark ściszył głos, choć nikt poza nimi nie siedział w tej części samolotu. – Prawda jest taka, że typ cię dezynfekuje, rozumiesz? Pojebane.

W ostatnim słowie Lina wyczuła jednak nutę podziwu. Mark zbierał się już do kolejnego zdania, ale przerwał mu komunikat o rozpoczęciu podejścia do lądowania. Lina podsumowała rozmowę skinieniem i włożyła słuchawki. Wiedziała już wszystko, czego chciała.

Poza nimi samolotem leciały tylko dwie osoby. Lina przyjrzała się im dopiero w vanie, który zabrał ich do rezydencji jubilata. Naprzeciw-

ko siedział pogodny staruszek, hojnie pokryty zmarszczkami, w staromodnym, dobrze skrojonym dwurzędowym garniturze. Jego brwi zaczęły już zauważalnie opadać, ale spojrzenie miał bystre. Usta – niezmacone grymasem. Pasażer po jego lewej sprawiał skrajnie odmienne wrażenie. Mógł mieć około trzydziestu lat, ale trudno to było dokładnie ocenić, bo twarz miał zwróconą ku szybie. Krótko przycięte włosy, brak zarostu, wzrok utkwiony w nieokreślonym punkcie. W jego skupieniu dało się wyczuć coś złowrogiego. Był to spokój pułapki na myszy. Cichej maszyny, którą jeden niewłaściwy ruch zmienia w śmiertcionośną broń.

Mark wyszedł z inicjatywą, przedstawiając siebie i Linę. Zamiast odpowiedzieć, staruszek podniósł palec i dyskretnie wskazał na sąsiada. Nacisnął przycisk po prawej stronie swojego fotela, który zaczął się do nich zbliżać. Mark znalazł przycisk sterujący ich siedzeniami i w trójkę odsunęli się o kilka cali, zostawiając nieznanego w spokoju. Lina zauważyła na palcu zamyszonego pasażera pierścioneł z charakterystycznymi wypustkami różańcowymi. Gest szacunku do modlitwy zrobił na niej wyjątkowo pozytywne wrażenie.

– Dzień dobry, nazywam się Adler Feinberg z Matuzalem Capital.

– O! Słyszałem o was – momentalnie wypalił Mark. – Jedni z pierwszych inwestorów Life Eternal.

– Jak najbardziej. Wiążemy z formułą Jordana duże nadzieje – Feinberg mówił wolno, uważnie artykułując kolejne sylaby.

Lina chciała zadać pytanie, ale Mark okazał się szybszy.

– Czyli pan również liczy dziś na wieczne życie?

Pytanie wydało się jej niegrzeczne w kontekście wieku rozmówcy. Jeżeli Adler Feinberg również tak to odebrał, wcale nie dał tego po sobie poznać.

– Och, w żadnym razie. Ja już jestem nieśmiertelny.

Odpowiedź wyraźnie ich zszokowała. Feinberg rozpiął marynarkę, wyjął z kieszeni telefon i zaczął w nim czegoś szukać. Uśmiechnął się i zwrócił ku nim ekran. Na zdjęciu stary inwestor stał przed drzwiami frontowymi imponującej rezydencji z rodziną. Otaczali go żona, synowie i ich niezliczona gromadka wnuków. Pomimo różnic wieku wszy-

szy patrzyli w obiektyw jego bystrym spojrzeniem.

Fotografia wywołała w pasażerach skrajnie odmienne reakcje. Lina zaczęła rozmawiać z Adlerem. Mark nie potrafił udawać, że interesują go losy jego krewnych. Nawet wizja miliardów, którymi obracał reprezentowany przez niego fundusz, nie wzbudzała w nim entuzjazmu. Wręcz przeciwnie. Odpowiedź staruszka go załamała. Nie rozumiał, dlaczego człowiek dysponujący takimi pieniędzmi zwyczajnie poddawał się wizji nieuchronności śmierci. Posłusznie szedł ścieżką wydeptaną przez minione pokolenia, które żyły po omacku, wierząc w gusła i paciorki. *Homo sapiens* – rozumni tylko z nazwy. Urodzić się, rozmnożyć i umrzeć. Jak zwierzę. Bez woli, bez wizji, bez wyobraźni, że można inaczej.

Lepiej. Nie zawsze trzeba jak wszyscy, za tłumem, do kolejki. Co najmniej dwie godziny przed odlotem. Czekać beczynn timer. Najlepiej w ciszy. A on w łożu. Nękanie tylko mnogością wyborów. Czy to jeszcze śniadanie czy już lunch? Raki czy banh mi? Szampan, a może prosecco? Wtedy dotarło do niego, że dla większości ludzi ta różnica nie istnieje. Zwyczajnie nie ma czegoś, co jest. Ich świat jest węższy, prostszy, uboższy. Bez wątpliwości łatwiejszy, ale jakim kosztem? Ta myśl go zasmuciła. Markowi zrobiło się autentycznie żal miliardów nieświadomych ludzi żyjących razem z nim na trzeciej planecie od Słońca.

Lina zmrużyła oczy. Posiadłość Johnsona znajdowała się pod miastem. Na granicy z wiecznie wyschniętym stepem, którego nawet wirtuoz deweloperki nie nazwałby przyjaznym. W oddali przez przednią szybę widziała już wysoki żywopłot wyróżniający się zielenią na tle pustynnego krajobrazu. Jej uwagę przykuwała jednak niezwykle konstrukcja falująca wysoko nad tą oazą. Cztery masywne, niemal całkowicie przezroczyste balony podtrzymywały coś, czego nie była w stanie zobaczyć z daleka. Gdyby nie lekki wiatr, pewnie w ogóle nie zauważyłaby, że coś wisi w powietrzu.

– Widzę, że zainteresowała panią jedwabna kopuła. – Feinberg prawidłowo rozszyfrował jej zdziwienie.

– Czym jest ta kopuła? – Pytanie Liny natychmiast wybudziło Marka z rozterek.

– Chroni przed szkodliwymi promieniami UV. Balony podtrzymują baldachim z materiału filtrującego fale elektromagnetyczne, który zatrzymuje te odpowiedzialne za uszkodzenia DNA, nowotwory i starzenie się skóry. Powinien się pan zainteresować – Feinberg subtelnie odgryzł się za nieeleganckie pytanie, ale Mark był odporny na subtelne uwagi.

– Kremy z filtrem to już przeszłość? – zapytała Lina z nutą ironii.

– Bynajmniej. To świetny biznes, ale wie o tym każdy od ponad stu lat. A to czyni go mniej atrakcyjnym niż materiał, o którym wie niewielu.

– Hm – Mark chrząknął z satysfakcją – czyli mają patent.

Feinberg nic nie odpowiedział. Po chwili van wjechał w strefę chronioną niewidoczną siłą patentu.

Sznur czarnych wanów oczekiwał w cieniu gęstego żywopłotu. Goście co parę minut wysiadali z nich wprost do korytarza prowadzącego w głąb ogrodu. Na ulicy wzdłuż linii dzielącej pasy ruchu stał szpaler ochroniarzy odgradzających kolumnę VIP-ów od ludzi tłoczących się na chodniku po przeciwnej stronie. Choć kolejka samochodów poruszała się nadzwyczaj wolno, przed bramą panowało spore zamieszanie. Najróżniejsze grupy aktywistów i wiernych wyrażały sprzeciw wobec działalności Life Eternal oraz samego Johnsona. Między trzema autokarami stojącymi na poboczu rozwieszono żagle chroniące przed słońcem i postawiono prowizoryczne biuro rzeczników protestu oraz polowe studio dziennikarskie.

Lina zdawała sobie sprawę, że Johnson ma pokaźną kartotekę wrogów – od ekologów, których nazwał luddystami i hamulcem cywilizacji, po gorliwych amerykańskich chrześcijan. Rosnąca popularność obietnicy życia wiecznego z pominięciem śmierci od wielu lat podlegała bacznej obserwacji hierarchów kościelnych. Europejscy kardynałowie nie chcieli oficjalnie atakować przedsiębiorcy ze Stanów Zjednoczonych przez wzgląd na papieża. W ukryciu podsycali jednak walkę braci w wierze za oceanem. Z dokumentów ujawnionych przez jezuitickiego whistleblowera wynikało, że Bank Watykański od lat wspierał finansowo teleewangelistów i liderów amerykańskich megakościołów. Nazwiska beneficjentów niemal dokładnie pokrywały się z listą

najgorliwszych krytyków Johnsona.

Granica działania jedwabnej kopuły biegła precyzyjnie wzdłuż szpaleru ochroniarzy. Zaraz za nimi – piekło protestujących, bezlitośnie rażonych pełnym zakresem szkodliwych fal ultrafioletowych. Mięsisty lazurowy warkocz mienił się w słońcu na białym kitlu młodej pielęgniarki. Dwóch mężczyzn w habitach łąpczywie wysysało przed nią wodę z butelek. Gdy skończyli, uściskali jej ręce aż po łokcie, ukłonili się i rozeszli. Każdy w swoją stronę.

Lina przez chwilę poczuła w klatce piersiowej nieprzyjemny ucisk. Zza przyciemnianej kuloodpornej szyby obserwowała młodych ludzi. Z ich twarzy przemawiała troska, nie nienawiść. Ryzykowali zdrowie i wizerunek, protestując w niefiltrowanym, zakurzonym powietrzu przeciwko czemuś, czego była częścią. Nie wyglądali na ekstremistów, wyrzutków czy ofiary kultu. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że siedzi po złej stronie. Po raz kolejny na brzegu rzeki, w której raz prawie straciła życie. Najchętniej wybiegłaby teraz z samochodu, przeskoczyła między zszokowanymi ochroniarzami i chwyciła za transparent, wywołując falę euforii wśród protestujących.

Nie wahała się jednak ani chwili. W ryzach trzymały ją siły wyższe niż przekonania. Odwróciła wzrok od wydarzeń na zewnątrz i z niepokojem zauważyła, że Matthew Waagner również się im przyglądał. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie jego uśmiech. Dziwny, sztywny – jakby wyciskał go z twarzy bez wprawy i wbrew naturze.

Rafał Masny

16. *urodziny Jordana Johnsona* to opowiadanie stylizowane na kryminał, rozgrywające się w niedalekiej przyszłości, podczas 60. urodzin tytułowego Jordana Johnsona – miliardera, podcastera oraz CEO spółki Life Eternal, nazywanej „nową pharmą”. Jubilat zapowiedział, że podczas przyjęcia zaprezentuje dowód na skuteczność formuły, która ma zapewnić mu nieśmiertelność. Akcja rozgrywa się w nowej siedzibie spółki, nazwanej Ogrodem Wieczności.

W drodze na imprezę towarzyszymy Linie Miller, byłej farmaceutce, ofierze wypalenia zawodowego, którą łączą z Johnsonem niejasne relacje. Zaproszenie otrzymała od kolegi ze studiów Marka Chalонера, zakochanego w sobie przedstawiciela *tech bros* z Doliny Krzemowej. Gdy za wysokim żywopłotem trwają protesty przeciwko działalności Johnsona, śmietanka świata technologii i farmacji dyskutuje na temat przyszłości rasy ludzkiej, popijając wegańskiego szampana.

Godzinę przed podaniem wyników badań do wiadomości publicznej Johnson oprowadza gości po ogrodzie. W różnych jego częściach odsłonięto imponujące modele organów wewnętrznych gospodarza. Ich ruchy są idealnie zsynchronizowane z ciałem miliardera – uczestnicy obserwują rozszerzanie się płuc, skurcze żołądka i stale słyszą bicie serca Johnsona. Jubilat tłumaczy, jak kombinacja analizy danych z wszczepionych czujników oraz reżimu treningowo-dietetycznego doprowadziła do zatrzymania, a nawet cofnięcia się efektów starzenia tkanek. Statystyki są imponujące, a największe wrażenie robi porównanie wyników zużycia ciała Johnsona z wynikami przeciętnego szesnasto- i sześćdziesięciolatka. Wszystko wskazuje na to, że formuła firmy Life Eternal naprawdę działa.

Goście chodzą między organami, dyskutując, jak społeczeństwo i giełda zareagują na tę informację. Lina, roztargniona, szuka kogoś w przerzedzającym się tłumie. W ogrodzie panuje spore zamieszanie, ale gdy wybija godzina, o której miała rozpocząć się transmisja, zapada złowroga cisza. Nikt nie rozumie, dlaczego Johnson jeszcze nie przemawia. Wtedy Lina orientuje się, że nie słychać już bicia jego serca.

Ula Idzikowska

Pstryk

Leży nieruchomo. Wpatruje się w sufit. Rafał śpi po nocce. Tess nie chce go budzić. Bo co miałyby powiedzieć? Że się boi? Ale czego?

A może by tak... W sumie co ma do stracenia? Delikatnie podnosi kołdrę, zsuwa się z łóżka. Skrada się na palcach do łazienki. Przemywa twarz zimną wodą, nakłada tusz. Wysuwa koniuszek języka, marszczy czoło, napina barki, ale tego nie czuje. Skupia się na misji.

Wkłada baleriny w kolorze dojrzałej oberżyny i wiosenny trencz. Kupiła go miesiąc temu, ale było za zimno, by go założyć. Zaciska pasek w talii. Przez moment nie może oddychać i dobrze jej z tym. Zbiega po schodach, zamyka drzwi, znika.

Mija domki robotnicze z odpadającym tynkiem, zachwaszczone ogródki, chłopców na rowerkach, rozwrzeszczane dzieciaki goniące się nawzajem w rozpiętych kurtkach. Dzieciaki, którym nigdy nie jest zimno.

Na przystanku się rozmyśla. Bez sensu wydawać pieniądze na autobus – przejdzie się. W końcu to niedaleko.

Ale w sztywnych balerinach trudno się chodzi. Prawy but miażdży mały palec, lewy ociera o achillesa. Tess zaciska zęby, mości się w bólu jak w ulubionej piosence. Idzie i wie, że krew wsiąka w fiolet baletek.

Wrota skrzypią. Pewnie gniją od środka. Tess rusza w stronę konfesjonatów, jakby dobrze znała drogę, jakby spowiadała się co tydzień, a nie raz do roku. Zachłystuje się kadzidłem, tłumi kaszel. Musi się wycofać, wykrztusić z siebie dym.

Na zewnątrz zrobiło się szaro. Wieje. Tess sięga do kieszeni, wyciąga tytoń, odruchowo skręca papierosa, ale nie odpala. Robi cokolwiek. Tak jest łatwiej.

Drugie podejście: pisk drzwi, stukot obcasików, zygzaki kafelków. *Kto nadeptnie na linki, ten urodzi świnki*, echo dzieciństwa niesie się po kościele jak piłka odbijana obsesyjnie na betonowym boisku. Tess słucha, zwalnia kroku, omija złączenia. Z takimi przepowiedniami się nie igrza.

W końcu klęka. Unosi dłoń do czoła. Czuje nutę zielonej herbaty – swoje perfumy. Wargi lekko się rozchylają. Lubi ten zapach. I lubi się dotykać.

– Niech będzie pochwalony. Ostatnio byłam u spowiedzi rok temu. Złosiłam się na innych, przeklinałam, paliłam papierosy i piłam alkohol.

– Dziecko, żyjesz z mężczyzną? Bez ślubu? Bierzesz środki antykoncepcyjne? Wzięłaś kiedyś pigułkę po?

Tess przytakuje za każdym razem. Przyznaje się do wszystkiego, jak na komisariacie. Drzazgi wbijają się w jej skórę przez zbyt cienkie rajstopy.

– To teraz żałuj za swoje grzechy. A jako pokutę przekaz darowiznę fundacji na rzecz dzieci nienarodzonych.

Tess pochyla głowę jeszcze niżej. Kołysze się jak w transie i powtarza: moja wina, moja wina. Płody piszczą, ich kwilenie się nasila. Najchętniej zwinęłaby się w kulkę i potoczyła do Polski, do księdza ze swojej wiejskiej parafii. Tam nie było podchwytliwych pytań. Najwyżej opowieści o zabijaniu świń za komuny.

Pukanie. Tess kieruje się do wyjścia. Brodzi w dymie. Wyciąga dłonie, po omacku szuka klamki. Wodzi po chropowatej powierzchni drzwi, odrywa ją płatami, byle szybciej się wydostać. W końcu trzask. Powiew wiatru jak delikatne uderzenie.

– Ile? Jak? Gdzie?

Sprawdzi na komputerze w bibliotece. Ale nie teraz.

Teraz pierwsze krople deszczu odbijają się od jej płaszcza. Po chwili leje. A Tess stoi bez ruchu na dziedzińcu przed polską parafią. Tusz spływa jej po twarzy. Wszystko po niej spływa. Powoli się budzi. Wniosek tkwi w gardle, jakby bał się urodzić. Ale w końcu znajduje drogę.

Chyba go pojebało.

*

– Seriously? – Oksana unosi brwi. Nie dowierza.

– Powaga.

Leżą na trawie w miejskim parku. Cień rozłożystej sosny chroni je przed natarczywym wiosennym słońcem. W tle ćwierkają ptaki, z od-dali dobiega świst raket tenisowych i pokrzykiwania starszych panów grających z przejęciem w bule. Tess upija łyk słodkiego rosé i podaje butelkę Oksanie.

– I co zrobisz?

– A co mam zrobić? Musiałabym zwariować, żeby coś wpłacić. Przecież nie zabiłam żadnego dziecka.

– A pokuta? Jak to działa? Jesteś teraz, no nie wiem... wyklęta?

– Może i tak. Anyway. Czas najwyższy się z tego wypisać.

– Popieram. Twoje zdrowie! – Oksana wznosi butelkę.

Przez chwilę obserwują grupę brytyjskich Pakistańczyków w krótkich spodenkach. Śledzą ruch czerwonej piłki, kolejne odbicia drewnianym kijem.

– Wiesz, o co w tym chodzi? – pyta Tess.

– No fucking clue. I w sumie nie chcę wiedzieć.

Obie wybuchają śmiechem. Oksana wyciąga empetrójkę, podaje Tess słuchawkę.

– Co to?

– Fajne. Słuchaj.

I już brzdęk gitary. Oksana zaczyna się bujać. Po chwili wrzeszczy na cały park:

*I'm not saying it was your fault Although you could have done more
Oh, you're so naïve, yet so...*

Oksana kołysze się coraz mocniej, macha rękami. Słuchawka wypada Tess z ucha. Oksana nie zwraca na to uwagi, fałszuje z zawzięciem dalej. Nie obchodzi jej, co sądzą o niej ludzie.

Tess zazdrości jej tej swobody. Stara się tego nauczyć, ale rzadko jej wychodzi. Pozostaje podróbką, nieudolną naśladowczynią.

Kiedy Oksana uderza w niewidzialną perkusję, Tess nie może się powstrzymać: dołącza i śpiewają już razem:

Just don't let me down Hold on to your kite.

Opadają z powrotem na trawę, zasapane.

– A co to właściwie znaczy? – pyta Tess na bezdechu.

– Co?

– No ten tekst. *Hold on to your kite*. Że dosłownie? Trzymaj się latawca?

Oksana chichocze.

– No, dummy. To takie „nie poddawaj się”. Trzymaj się tego, co dla ciebie ważne. Jak latawca, żeby ci nie odleciał.

– Aaaa. Nie wiedziałam.

– Nie musisz wszystkiego wiedzieć.

– Też prawda.

Tess sięga po wodę. Zaszło jej w gardle. Próbowwała śpiewać pełną piersią jak Oksana. Ale nie może. Nie umie. Coś ją blokuje.

– Hello ladies. Co za performance! – Chłopak w bejsbolówce, polo w żółto-zielone pasy z kołnierzykiem na sztorc, skinny jeansach i białych conversach pojawia się jakby znikąd. – Może chcecie usłyszeć The Kooks na żywo?

– Co? Gdzie i kiedy? – Oksana natychmiast się ożywia.

– Glastonbury, pod koniec czerwca. Bilety już dawno wyprzedane, ale ja mam jeszcze kilka na zbyciu. Dla was, lovely ladies, tylko trzysta funtów za sztukę.

– What?! Are you fucking kidding me?

– To i tak okazja. Znam takich, co biorą po pięćset.

– No, thanks.

– Wasza strata – rzuca przez ramię i odchodzi.

– O co chodzi z tym Glastonbury? – mruczy Tess. Mieszanka słońca i alkoholu przytępiła jej zmysły.

– Gdzie ty się uchowałaś? To kultowy festiwal.

– No trudno. Może uda ci się w przyszłym roku.

– Ale ja chcę jechać z tobą! – Oksana prawie tupie nogą.

– To pojedziemy za rok.

– Jasne. Już widzę, jak przylatujesz z Polski specjalnie na festiwal.

– Mogłabyś chociaż raz być mniej sceptyczna – sugeruje Tess.

– Jakoś to nie w moim stylu – odpowiada Oksana. Uśmiecha się odruchowo, żeby zatuszować smutek. W myślach już rozstaje się z przyja-

ciólką, przeżywa żalobę, choć mają przed sobą jeszcze cztery wspólne miesiące.

Szpera w torbie, wyłuskuje z paczki dwa papierosy, odpala, głęboko się zaciąga. Podaje jednego Tess. Ta niezdarnie podnosi się z ziemi.

– Jezu. Ale jestem połamana. Idę poszukać toalety.

– Good luck.

– Jak mnie aresztują za sikanie w krzakach, to wpłacisz kaucję, right?

Oksana mimowolnie się uśmiecha. Odprowadza Tess wzrokiem. Bębni tipsami o paczkę lucky strike'ów. Palą to samo, ubierają się tak samo. Już się pogubiły – nie wiedzą, co jest czyje. Podzielią się wszystkim, kiedy Tess będzie się pakować. Ale jeszcze nie czas.

Teraz Oksana czuje na skórze kojący podmuch wiatru, klucie trawy na kostkach, łaskotanie w plecy. Wpatruje się w bezchmurne niebo. „Takie momenty trzeba celebrować” – myśli, przywołując wszystkie deszczowe dni spędzone w mieszkaniu, w którym tak naprawdę nie chce być.

Prawie odpływa. Wrzask Tess stawia ją do pionu.

– Coś mi wpadło do głowy, jak sikałam! W Polsce dwa razy pracowałam na festiwalu jako wolontariuszka. Może tak się wkręcimy?

– You. Are. A. Genius! – Oksana rzuca się na Tess.

– Get off me! – broni się Tess, trochę na pokaz.

Oksana obejmuje ją z chytrym uśmiechem.

– Ale tylko my dwie. Żadnych facetów!

*

Ścisła coraz mocniej. Boi się, że jej spocona dłoń wyslizgnie się z dłoni Oksany i zgubi przyjaciółkę w rwącej rzece łokci, pleców, głów i ramion.

Na szczęście Oksana wreszcie się zatrzymuje. Odwraca się i piszczy tak głośno, że Tess musi zasłonić uszy. Ktoś właśnie wchodzi na scenę przy werblach i wrzaskach festiwalowiczów.

Tess mruży oczy, wspina się na palcach, wpatruje się w podium. Widzi tylko czerwony punkcik szortów i grzywę matowych, czarnych włosów. Piosenkarka o nogach równie cienkich jak jej ramiona wygląda, jakby chciała być gdzieś indziej, gdzieś daleko. Śpiewa z przy-mkniętymi oczami, jakby nuciła do siebie pod prysznicem. Tess nie rozumie o czym. Bez znaczenia. To muzyka jest tu językiem. Dźwięki wnikają w jej ciało, przejmują nad nim kontrolę. Perkusja wyznacza rytm stąpania po grząskiej ziemi, saksofon i trąbka prowadzą głowę.

Tess wtapia się w tłum. Wdycha energię masy, wydycha lęki – swoje i cudze. Czuje, że przynależy. Że to właśnie tu jest jej miejsce. Z Oksaną.

Nie wyobraża sobie, że mogłoby ich tu nie być. A mało brakowało. Z parku pobiegły prosto do biblioteki. Przyssały się do komputera, wyrwały sobie myszkę i klawiaturę. Dyskutowały z takim przejęciem, że bibliotekarka przyszła je uciszyć. Entuzjazm opadł, gdy zobaczyły, że listy wolontariuszy zamknięto już miesiąc temu.

Nazajutrz snuły się bez życia po kanapkarni. Kroiły pomidory i cebulę w milczeniu. Aż Pepik, zaskoczony ciszą, spytał:

– Co do licha? Gdzie wasze żarciki?

– Na emeryturze – odburknęła Oksana. – Przecież ciągle narzekasz, że za dużo gadamy.

– OK, dobra. Ale na serio. Co jest? Spill the tea!

Opowiedziały wszystko jak na spowiedzi: o koniku w parku, rozczarowaniu w bibliotece, straconych nadziejach.

– You know what? Two of my mates were supposed to work at the bar, but they can't go after all. Przedzwonię do nich.

Zniknął na zapleczu. Tess zagryzła wargę. Oksana maszerowała tam i z powrotem.

– Przestań tak łazić. You are driving me crazy – rzuciła Tess.

Oksana stanęła obok przyjaciółki. Obie jak na komendę wbiły wzrok w drzwi prowadzące na tyły, jakby samym spojrzeniem mogły wyczarować happy end. Wreszcie – Pepik wyłania się z zaplecza.

– Wygląda na to, że jednak pojedziecie.

Rzuciły się na niego z piskiem, całowały po czole i policzkach, ściskając jego wątłe ciało z taką siłą, że aż się zachwiało.

– Starczy, starczy – Pepik teatralnie wyswobodził się z uścisków, choć tak naprawdę chciałby i mógłby tak znacznie dłużej.

Oksana podoba mu się od dawna. Skrycie ją obserwuje. Uwielbia jej cięty język, przewrotne poczucie humoru, niesforne loki, które nie dają się poskromić czapką z logo kanapkarni. Podziwia jej umięśnione ramiona, drobne, ledwo widoczne pieprzyki na szyi i ten tatuaż z motylkiem. Myśli o różowistym tipsie sunącym niespiesznie po jego plecach, drażniącym skórę, stawiającym włoski na sztorc, podnoszącym ciśnienie. W tej fantazji Oksana mówi mu, co ma robić. Nie prosi, tylko nakazuje. Karci za każde nieposłuszeństwo, zapędza w zakazane rejony. To ona decyduje.

Tryska inną energią, odkąd pojawiła się Tess: jest śmielsza, zuchwalsza, niepokonana. Te dwie – Pepik chciałby mieć tyle odwagi, żeby tak jak one po prostu wsiąść do autobusu i ruszyć w drogę.

– How ar ya Glastonbury. You o’righ? – Tess wychwytyje strzępki pozdrowienia ze sceny.

– Is she high or drank? – pyta Oksanę.

– Probably both. And we should get wasted, too!

*

– Jezu, gdzie my w ogóle jesteśmy?

Tess marszczy czoło, wpatruje się w przemokniętą festiwalową mapkę. Na zmianę ssie lizaka i zaciąga się papierosem. Drży lekko, bo się pi nieprzerwanie trzecią godzinę. Plastikowe poncho lepi się do karku i dłoni. Gdzie ten pieprzony bar? Od piętnastu minut powinny już zbierać zamówienia, nalewać cydr, pilsnera, jacka danielsa i co tam trzeba.

– Daj to. Pójdę zapytać. – Oksana wyrywa mapkę i rusza w stronę najbliższego stoiska z fish & chips.

Tess pociera zmarznięte dłonie, przebiera nogami, bezskutecznie próbuje rozgrzać stopy w przemoczonych trampkach. Z zazdrością patrzy na festiwalowiczów w gumiakach i kaloszach.

– Już wiem! Follow me! – woła Oksana z triumfalnym uśmiechem i rusza przed siebie. Tess przez chwilę ślizga się w błocie. Grzęzawisko jakby połknęło jej stopy. W końcu się uwalnia, startuje, ale kiepsko jej to idzie. Nie jest w stanie nadążyć za pędzącą Oksaną.

Mija czerwony namiot z błyszczącymi, złotymi pasami. Przygląda mu się z mieszaniną fascynacji i czegoś jeszcze. Melancholii? Uświadamia sobie, że nigdy nie była w cyrku. A przecież jako dziecko siadała po turecku przed telewizorem, żeby dobrze przyjrzeć się wyczynom akrobatów. Może tu to nadrobi.

– Hurry up – pogania ją Oksana z oddali.

– Nie mogę szybciej – syczy Tess. I w tym momencie traci równowagę. Łąduje tyłkiem w błocie. Przez chwilę po prostu siedzi, w szoku. Aż wybucha śmiechem.

*

– You're late. And dirty! – Niski blondyn patrzy z dezaprobatą na obłoczone dżinsy Tess i rozmazany tusz na policzku Oksany.

– Już się przebieram – rzuca Tess przepraszająco i nurkuje między kegi z piwem.

Chłopak przewraca oczami.

– Umiesz łąć piwo?

– Tak jest! – Oksana niemal salutuje.

– Przynajmniej tyle. To będziesz nalewać. Mamy dwa rodzaje: mniej i bardziej rozwodnione.

Oksana patrzy na niego ze zdumieniem.

– Just kidding. Brothers Cider po lewej, Carlsberg po prawej. You ready? – krzyczy, żeby popędzić Tess. Niepotrzebnie, bo ta już wyłania się zza kegow w za dużej koszulce z logo festiwalu. Wyciera wilgotne dłonie o suche legginsy.

– Fucking finally – cedzi chłopak przez zęby. I głośniej: – I’m Greg, by the way.

– Oksana.

– Tess.

– Oksana? Co to za imię?

– Ukraińskie.

– Aha. No dobra. Do roboty. Ty nalewasz. – Greg wbija długi, cienki palec w Oksanę. – A ty – zwraca się do Tess – pomożesz mi przy drinkach. Wszystko stoi w tych kartonach.

Greg nurkuje pod blat, ciągnąc za sobą Tess. Kucają razem.

– Aperol, rum, wódka. Easy. Tu masz listę drinków, tu miarka. Będziesz przygotowywała bazę, ja będę miksował.

– OK – Tess kiwa głową.

– Długo jeszcze? – pyta zniecierpliwiony dryblas w hawajskiej koszuli pod czarną przeciwdeszczową kurtką. W ciągu dwóch minut przed barem ustawiła się spora kolejka.

– Już, już – odpowiada przymilnie Greg. – What can I get you, mate?

– Dwa aperole i dwa cidery.

Greg kiwa głową w stronę Oksany i spogląda na Tess. Ruszają. Bez słowa.

Przy każdym kroku przemoknięte adidas Oksany wydają żaloszny pisk. Kartony, które służą za prowizoryczną podłogę, lepią się pod stopami – jakby ktoś wylał na nie pół beczki cidera.

Tess ociera pot z czoła. W ciągu ostatnich dwóch godzin zrobiła chyba milion przysiadów. Czterogłowe pieką, ramiona drżą od napięcia. Coraz trudniej jej się skupić – ciało natarczywie domaga się papierosa. Palce same wędrują do kieszeni, próbują się dostać do lucky strike'ów, ale Tess wie, że musi poczekać.

*

– Dobrze wam idzie – rzuca Greg, kiedy wreszcie mają chwilę spokoju.

Tess i Oksana tylko się uśmiechają. Nie mają siły odpowiedzieć. Ale cieszą się z komplementu. Z tego, że ktoś je zauważył, docenił. Tess kładzie dłonie na biodra, lekko przechyla się do tyłu, żeby rozprostować plecy. Oksana rozciąga czterogłowy. Szykują się na kolejną rundę. Cztery godziny nieustannej roboty.

– Zostawię was na jakiś czas same. Widzę, że bez problemu dacie radę

– rzuca Greg i już odchodzi.

Tess prostuje się raptownie, Oksana opuszcza nogę. Patrzą na siebie z przerażeniem.

– What the fuck? – piszczy Tess.

– Sneaky bastard – stwierdza Oksana.

*

Nie czują już nóg. Ciągłe w ruchu. Przysiadły może na piętnaście minut.

Na początku żartowały z klientami, rzucały love i darlingami. Teraz tylko kiwają głowami i wykrzykują ceny zachrypniętymi gardłami.

Mija dziewiąta godzina. Greg nie wraca. Ani śladu zmienników, zero odsieczy. Tylko kolejne zamówienia i coraz bardziej podpici Brytyjczycy.

Oksana i Tess wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Chcą się stąd wyrwać, doczłapać się na camping, rozłożyć namiot – byle jak, żeby tylko wytrwał do świtu – paść w ubraniu na dwuosobowy materac, przykryć się śpiworami i zasnąć wtulone w siebie, otoczone wrzaskami i śmiechami imprezowiczów.

– Oi! – krzyczy nagle Tess, jakby zobaczyła upiora. Oksana patrzy na nią zdziwiona. Powinna się zacząć martwić?

– Tam! To ten ziomek! – wskazuje palcem, nie przejmując się kolejką.

– Hey, you blond twat with baggy trousers! – wrzeszczy Oksana.

Tym razem Tess patrzy na przyjaciółkę z niepokojem. Oksana wzrusza ramionami.

– No co? Jakoś trzeba było przykuć jego uwagę.

Greg się odwraca. Powoli rusza w ich stronę.

– What the heck? – Tess wychodzi mu naprzeciw. – Mówiłeś, że zaraz wracasz!

– Zaraz, sraraz. Pojęcie względne. What's your problem anyway? Najpierw ta twoja crazy psiapsiółka mnie wyzywa, a teraz ty się awanturujesz. Nie uczą was w tej Rosji kultury?

– Jakiej, kurwa, Rosji? – parska Tess. – Jestem z Polski, Oksana z Ukrainy. Miałaś w ogóle geografie w szkole?

– Jeden pies – Greg macha ręką. – Tak czy siak, przecież świetnie sobie radzicie.

– Fuck you – mamrocze Tess.

– Co powiedziałaś?

– Nic.

– Jasne – warczy Greg, odchodząc. – Fucking Russians – mamrocze pod nosem.

Wystarczająco głośno, by usłyszała go Oksana.

Jej dłoń zaciska się na plastikowym kubku z piwem. Przez chwilę przygląda mu się, jakby widziała go po raz pierwszy, a nie setny tego wieczoru. Nie myśli. Ciało działa za nią. Z ust wyrywa się okrzyk bojowy:

– Пішов в жопу!

Rzuca. Kubek zatacza łuk, złote krople wirują w powietrzu, opadają na czekających w kolejce festiwalowiczów.

Tess patrzy jak zahipnotyzowana. Zasłania usta dłonią. Nie odrywa wzroku od toru lotu. Nie słyszy muzyki ani własnego pisku. Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Rozciąga się w festiwalowym beczczeniu.

*

Najpierw czuje uderzenie plastiku w tył głowy. Coś zimnego oblewa mu kark, spływa po plecach, lepi się do skóry. Pachnie chmielem.

Greg odwraca się gwałtownie. Jeszcze nie wie, co robi, ale na pewno nie puści im tego płazem.

Zaciska pięści. Rusza z impetem w stronę baru, gotów do szarży. Ale od razu staje jak wryty. Gdzie one są?

Zniknęły.

*

Biegną co tchu. Chichoczą, choć ciężko im oddychać. Zatrzymują się dopiero przy campingu, zasapane, rozgrzane od sprintu, mokre od deszczu i potu.

– Wariatka – rzuca Oksana, chwytając się za bok. Najwyraźniej złapała ją kolka.

– Ja? Przynajmniej nie rzucam w ludzi browarami.

– Aj tam. Była wina, musi być kara.

– Uuhuu, ale pojechałaś Dostojewskim.

– Ta, przynajmniej ten faktycznie był Rosjaninem. Anyway. Umieram. Rozłóżmy ten przeklęty namiot.

Tess wytrzepuje na trawę zawartość pokrowca: tropik, sypialnię, pogięte rurki i śledzie. Przez chwilę patrzy bezradnie na stos metalu i poliestru.

– Oksana... ty w ogóle wiesz, jak to się rozkłada?

– Nie. A co?

Tess wzdycha.

– No ja też nie.

Patrzają na siebie. Parskają śmiechem.

*

– You all right love? – krzyczy sąsiad. Siedzi na campingowym krzeselku, między szeroko rozstawionymi nogami trzyma puszkę budweisera.

– Not really – przyznaje Tess bez wahania.

– Co ty robisz?! – syczy Oksana. – Przecież jakoś damy radę.

– Niby jak? – I już Tess woła o pomoc. – Would you mind giving us a hand with the tent?

– Uuu, nie czujesz, że rymujesz – podśmiewuje się z niej Oksana.

– Shut up! – I radośnie w stronę sąsiada: – We would really appreciate it!

– Sure! No worries.

Typek próbuje się podnieść, ale mu nie wychodzi. Spada z hukiem na ziemię, bełkocząc bloody hell. Z namiotu wyskakują jego koledzy.

– You OK, pal?

– Not really. Oh, you seem not that drunk. Help these girls, will ya?

– Brad, Brad. Go to sleep, mate.

Dwóch brunetów i wysoki, kościsty blondyn ruszają w stronę Tess i Oksany.

– Hiya.

– Hi! Thanks a lot. You are lifesavers – produkuje się Tess. Oksana patrzy na nią z politowaniem.

– Let me see. – Blondyn podnosi po kolei tropik, sypialnię i rurki. – Dziesięć minut i gotowe – ocenia i zabiera się do roboty.

Bruneci przez chwilę wpatrują się w Tess i Oksanę, jakby pierwszy raz widzieli kobiety w opałach.

– Oi. A wy co? Ruszcie dupy! – krzyczy blondyn.

Bruneci się budzą. Od razu meldują się jak na porannej zbiórce podczas kolonii. Blondyn, niczym herszt bandy, przydziela zadania: bruneci ustawiają szkielet, on przymocuje sypialnię śledziami.

– Widzisz? Tak to się robi – Tess puszcza oko do Oksany. Ta ją ignoruje.

*

– To co? Jakiś after u nas? Zmieścimy się wszyscy.

– Chyba pójdę spać. Jestem wykończona – mówi Oksana i ziewa.

– Nie ma mowy! – protestuje Tess. – To nasz pierwszy wieczór na Glastonbury, girl! – mówi z taką werwą, jakby spędziła ostatnie dziewięć godzin w spa, a nie za barem.

– Ale tylko na jednego! – Oksana ulega.

Sadowią się na dmuchanych materacach. Jeden z brunetów podaje im ciepły, puchaty koc. Po czym odwraca się do nich plecami, wyciąga z torby jednorazowe kubeczki, stuka butelkami. Pochyla się nad nimi z namaszczaniem, jakby ważył jakąś starodawną miksturę.

Oksana gładzi koc, jakby głaskała kota. Prawie odpływa. Zaraz zaśnie. Głos bruneta ją wybudza.

– Mademoiselle! Moja specjalność. Gin & tonic na sterydach.

Oksana otwiera szeroko oczy. Tess już przykłada kubek do ust. Oksana wyciąga go jej sprzed nosa.

– What the hell? – Tess nie kryje poirytowania.

– Trust me. Moje drinki są lepsze. I bezpieczne. Nie boli po nich głowa

– ostatnie słowa wypowiada z naciskiem.

Tess zaczyna rozumieć.

– Mhm. No dobra. To zrób nam po takim lekkim.

A do bruneta: – Dzięki, chcemy być jutro w formie.

Oksana wyciąga z plecaka dwie puszki coli i pół butelki rumu, który zwędziły zza baru tuż przed ucieczką. Miesza składniki w plastikowych kubkach.

– Voilà! – podaje drinka Tess.

– Cheers, love – Tess parodiuje brytyjski akcent i wznosi toast. – To us!

*

Leży zwinięta w kulkę, opatulona wilgotnym śpiworem.

– Śpisz? – pyta nagle Oksana, zaskakująco przytomnym głosem.

– Yhy.

– Czyli nie śpisz.

– Teraz już nie. Dzięki tobie.

– Naprawdę musisz wyjeżdżać?

Tess przez chwilę milczy, jakby nie znała odpowiedzi.

– A co? Mam zmywać gary i nakładać szynkę do końca życia? Chcę iść na studia.

– A tu nie możesz?

– Rafał chce wracać.

– A ty, czego chcesz? Zastanawiałaś się w ogóle? Nie masz swojego mózgu?

– Sama nie masz mózgu. Po prostu nie chcę tu siedzieć bez niego.

– Więc zostawisz mnie samą? Z tymi szalonymi Angielkami, które już w lutym biegają w japonkach, i napalonymi Angolami?

– Znam cię. Poradzisz sobie.

Ula Idzikowska

Pstryk to książka o dojrzewaniu młodej kobiety w migracyjnej rzeczywistości Anglii i Belgii. Bohaterka zmienia się z nieśmiałej Tereski w Tess – walczy o niezależność i uczy się mówić własnym głosem po angielsku, niderlandzku i polsku.

Tess doświadcza ciągłej seksualizacji, wchodzi w toksyczne relacje, popełnia błędy, ale nawiązuje też przyjaźnie. Jedną z najważniejszych osi narracji jest jej siostrzana więź z Oksaną, Ukrainką poznaną w pracy w kanapkarni – to relacja, która staje się alternatywą wobec patriarchalnych układów i stereotypów.

Pstryk to powieść feministyczna, która łączy intymne doświadczenie bohaterki z szerszą diagnozą społeczną i kulturową. Powieść pulsuje językiem – potocznym, bezkompromisowym, żywym. Balansuje w szpagacie między intymną narracją a szerszym kontekstem społecznym. Utrzymana w stylu coming-of-age oddaje brutalność postkomunistycznej codzienności i złożoność ludzkich relacji.



0 AUTORKACH I AUTORZE

Alicja Dusza

Poetka, recenzentka. Krakowianka – nie z urodzenia. Publikowała wiersze i teksty krytyczne w „Helikopterze”, „Kontencie”, „Zakładzie”, „Tlenie Literackim”, „Stonerze Polskim” i na instagramowym profilu Śląska Strefa Gender. Pisze o zmysłach, doświadczeniach cielesnych, seksualności i kobiecości. Ukończyła polonistykę-komparatystykę oraz kulturoznawstwo, na co dzień pracuje w korporacji. Jest opiekunką suczki Żaby Aurelii i posiada niepokojącą liczbę roślin doniczkowych.

Helena Piecuch

Urodziła się w 1991 roku w Krakowie. Skończyła dziennikarstwo i podyplomowe edytorstwo na UJ, od ośmiu lat pracuje jako redaktorka dla różnych wydawców. Zredagowała ponad 100 książek, w tym sporo przekładów z angielskiego. Dotąd pisała opowiadania, a podczas kursu udało jej się skończyć pierwszą powieść pod tytułem *Mamuna*. To rozpisana na pięć głosów historia, w której pojawiają się motywy związane z zainteresowaniami autorki: subiektywizmem naszych wspomnień, demonologią ludową, a także etnobotaniką.

Julia Śliwowska

Urodzona w 1998 roku warszawianka ursynowianka. Studiowała hungarystykę na UW i edytorstwo na UJ. Aspirująca tłumaczka. Edukatorka. Finalistka projektu „Połów. Prozatorskie debiuty 2023”. Absolwentka warsztatów literackich Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie. Stale się przemieszcza, lubi śnić, czarować i robić dobro. *Kāmeleona* to jej druga powieść.

Katarzyna Kalwak

Autorka tekstów utylitarnych. Po dekadzie rzeźbienia w cyfrowych kartach aplikacji i reklam wybija się na niepodległość prozatorskim debiutem. Dumny owoc byłego miasta wojewódzkiego, w którym Wokulski rzuca się pod pociąg, a parady Święta Kwiatów, Owoców i Warzyw transmituje sam „Teleexpress”. Z wykształcenia socjolożka absurdów codzienności, naczelny skryba z Pendolino, weekendowy podsłuchiwacz pań z Lewiatana.

Katarzyna Makarewicz

Psycholożka i psychoterapeutka w trakcie specjalizacji. Nauczycielka angielskiego i hiszpańskiego. Siedem lat spędziła w Barcelonie. Z tęsknoty za językiem ojczystym zaczęła pisać książkę. Obecnie mieszka w Poznaniu, pracuje w zawodzie i szlifuje kolejne powieści, w przerwach wymyślając wiersze. Do życia i do literatury ma podejście eklektyczne.

Ola Skalec

Urodziła się w 1994 roku. Absolwentka filologii szwedzkiej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracuje nad debiutancką powieścią w konwencji solarpunktu. Uczestniczka programu pisarskiego „Połów” zorganizowanego przez wydawnictwo Biuro Literackie w 2022 roku. Píše również opowiadania, które zostały docenione m.in. w konkursach organizowanych przez Instytut Literatury w Krakowie oraz przez Wydawnictwo Czarne.

Paulina Goch-Kenawy

Z wykształcenia filozofka. Zajmuje się semiotyką i badaniami kultury. Jej zainteresowania koncentrują się na procesach przemian kulturowych, a także na zagadnieniach z pogranicza ekologii, etyki i socjologii. Fascynuje się tym, jak język i konwencja wpływają na percepcję tematu i jak można je modyfikować. Ukończyła roczny Kurs Kreatywnego Pisania w Polskiej Akademii Nauk (2023). Uczestniczyła w „Pracowni przed debiutem prozą” na festiwalu TransPort Literacki w Kołobrzegu organizowanym przez Biuro Literackie (2024).

Rafał Masny

Youtuber i influencer obecny w polskim internecie od 2012 roku.

Współtwórca Abstrachuje.TV, To Już Jutro oraz kilku innych projektów, które wygenerowały ponad 2 miliardy wyświetleń. Spokojnie, nie trzeba ich znać, nie będzie na kartkówce.

Ula Idzikowska

Reporterka. Pisze o niesprawiedliwości społecznej, kryzysie klimatycznym i sytuacji mniejszości, zawsze przez pryzmat intymnych ludzkich historii. Eksperymentuje z różnymi formami narracji – od reportażu audio, przez dokument, po komiks. Laureatka Festiwalu Wrażliwego 2024, finalistka True Story Award 2024 i 2025. Stypendystka Milena Jesenská Fellowship, uczestniczka Wyszehradzkich Rezydencji Literackich oraz polsko-katalońskiej rezydencji dla początkujących autorów literatury faktu.

Przez piętnaście lat mieszkała w Belgii, Holandii, Czechach i Anglii. Obecnie żyje i tworzy w Szczecinie. Gdy nie pisze, znika w lesie albo gotuje. Uwielbia słuchać i się rozglądać.

Zu Witkowska

Poetka, prozaiczka. Autorka tomów poetyckich *Fluid* (2022, WBPiCAK) oraz *Podręcznik lizania ran* (2025, WBPiCAK). Publikowała m.in. w „Piśmie”, „Dwutygodniku”, „Zakładzie” i „Odrze”. Studiowała nauki ścisłe: technologię chemiczną i astronomię, obroniła doktorat na Politechnice Wrocławskiej. Ukończona podczas kursu *Śluza* jest jej pierwszą powieścią.

O SZKOLE PISANIA KRAKOWA MIASTA LITERATURY UNESCO

Kurs Pisania Powieści jest elementem programu wsparcia debiutów literackich Krakowa Miasta Literatury UNESCO. Należy do niego także przyznawana corocznie Nagroda Conrada wyróżniająca najlepszych debiutantów i ułatwiająca im drogę dalszej kariery. Organizatorem kursu jest KBF, operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO.

Więcej informacji znajdziesz na stronie miastoliteratury.pl.

Copyright © for texts by Authors 2025

Copyright © for this edition by KBF 2025

Wydawca i organizator: KBF, ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków

Program Kursu Pisania Powieści 2024/2025:

Filip Modrzejewski, Marta Syrwid

Korekta:

Dorota Dziunikowska,

Anna Mazur,

Marek Mikos,

Barbara Skowrońska,

Grzegorz Słęcz,

Bartosz Suchecki

Kreacja graficzna :

Nina Gregier

Skład graficzny :

Weronika Kierzkowska

Dyrektorka KBF:

Carolina Pietyra

Kierowniczka zespołu Krakowa Miasta Literatury UNESCO:

Barbara Balmas

Koordynatorka Szkoły Pisania KMLU:

Marcelina Karcz

Kontakt:

pisz@miastoliteratury.pl

**SZKOŁA
PISANIA
KMLU**

